

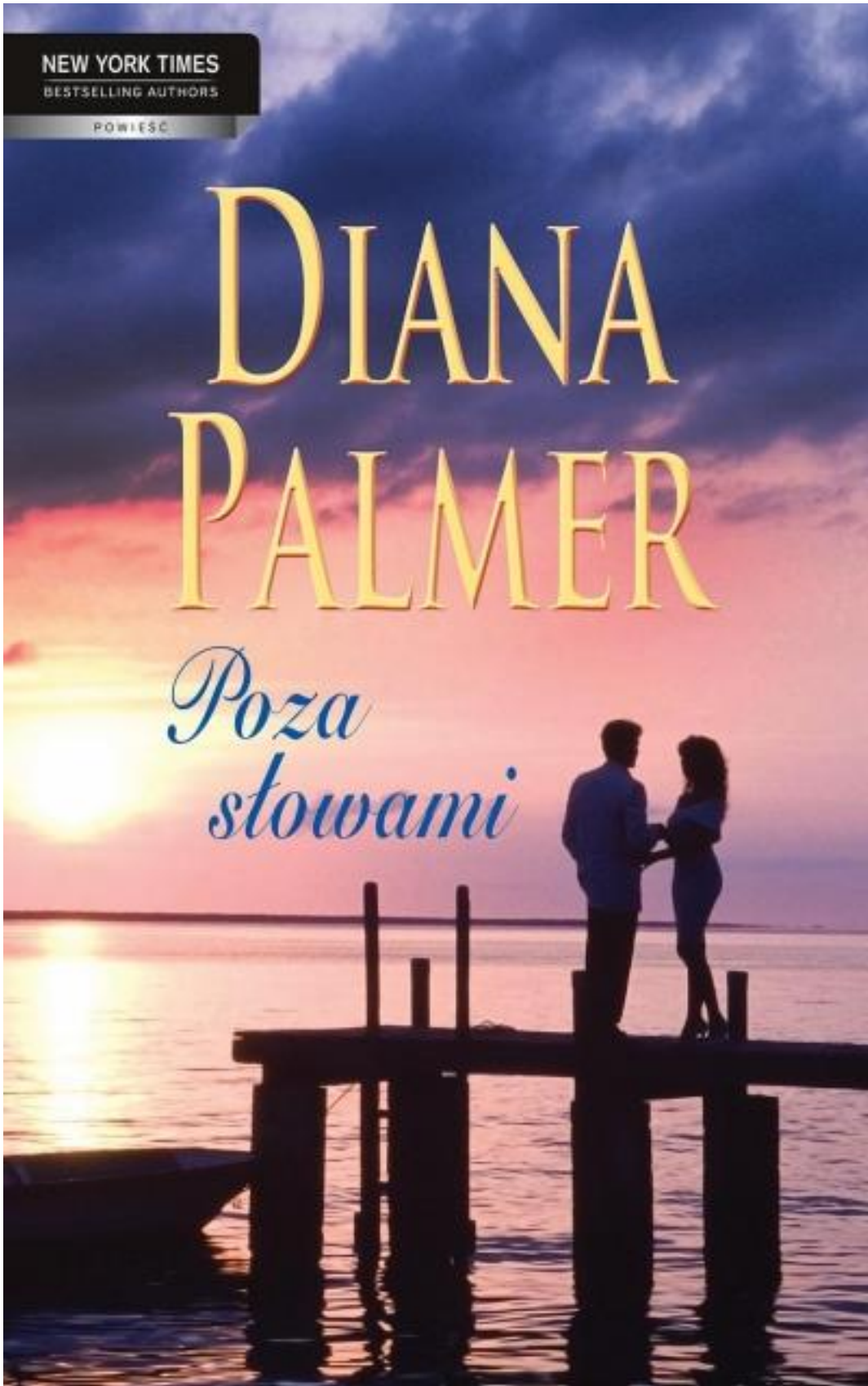
NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

DIANA PALMER

*Poza
słowami*



DIANA PALMER

Poza słowami



Cienie życia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szedł korytarzem w stronę oddziału kardiologii szpitala St. Mary i słyszał za sobą dyskretne szepty. Z trudem powstrzymywał uśmiech. Dziś rano, udzielając wywiadu w telewizji, mówił o swoich zwyczajach w sali operacyjnej. Telewizyście dowiedzieli się, że doktor Ramon Cortero podczas operacji na otwartym sercu, z których słynął na całym świecie, lubi słuchać grupy rockowej Desperado. Pielęgniarki i technicy z kardiologii żartowali z niego przez cały dzień. On i ci ciężko pracujący ludzie tworzyli zespół, więc się nie obrażał. Część z nich zresztą również była fanami Desperado.

Czarne oczy doktora Cortero błyszczały, gdy maszerował w chirurgicznym zielonym fartuchu, szukając żony pacjenta, któremu właśnie wymienił uszkodzoną zastawkę serca.

Nie znalazł tej kobiety w poczekalni przed salą operacyjną na piętrze, gdyż pielęgniarka przez pomyłkę wysłała ją do głównej poczekalni. Jednak i tam jej nie zastał, kiedy zadzwonił. Jej mąż przeżył, choć miał niewielkie szanse. Ratowanie go wymagało wielu godzin ogromnego wysiłku Ramona i kilku modlitw.

Otworzyły się drzwi windy i stanęła w nich kobieta w średnim wieku, której towarzyszył nastoletni syn i kilka osób z rodziny męża. Miała zaczerwienione i opuchnięte od płaczu oczy.

Dostrzegł w nich lęk. Uśmiechnął się, odpowiadając na pytanie, którego kobieta chyba nie miała odwagi zadać.

- Wszystko w porządku - oznajmił bez wstępu. - Ma silne serce.

- Dzięki Bogu - szepnęła kobieta i objęła syna. - Dzięki Bogu. I dzięki panu, panie doktorze. - Uścisnęła mu dłoń.

- *De nada.* - Ramon uśmiechnął się łagodnie. - Cieszę się, że mogłem pomóc.

Jowialny ciemnoskóry kardiolog stanął obok i kobieta jemu też uścisnęła rękę.

- Po to tu jesteśmy - odparł z uśmiechem doktor Ben Copeland. - Pani mąż jest na oddziale intensywnej opieki medycznej. Obok jest pokój, gdzie może pani poczekać, aż podłączą męża do monitorów. Potem będzie go pani mogła zobaczyć.

Pojawiła się pielęgniarka, by wskazać rodzinie drogę.

- Czasami zdarzają się cuda - powiedział Ben. - Kiedy go przywieźli, nie dałbym za jego życie złamanego grosza.

- Ja też nie - zgodził się posępnie Ramon. - Ale niekiedy mamy szczęście. - Westchnął i rozprostował ramiona. - Mógłbym spać przez tydzień, a jeszcze nie skończyłem dyżuru. Ty

pewnie idziesz już do domu?

Ben uśmiechnął się.

- Szczęściarz z ciebie. - Ramon pokręcił głową i pożegnał kolegę skinieniem ręki.

Poszedł obejrzyć jeszcze dwóch pacjentów, których z Bożą pomocą wyciągnął ze szponów śmierci. W tę niedzielę wykonał trzy nagłe operacje. Był zeszywniały, obolały i bardzo zmęczony, ale było to przyjemne zmęczenie. Zatrzymał się przy oknie i spojrzał na wielki oświetlony krzyż widniejący na głównej ścianie szpitala. Czasem modlitwy są wysłuchiwane. Tak jak dzisiaj.

Zbadał pacjentów, wpisał zalecenia, ubrał się i przeszedł do miejskiego szpitala O'Keefe, po drugiej stronie ulicy, by obejrzyć trzech innych pacjentów po operacji. Po drodze do domu musiał jeszcze zajrzeć do szpitala uniwersyteckiego w Decatur. Kiedy wreszcie skończył, wrócił do domu.

Mieszkanie Ramona było duże, lecz nie wyglądało na dom człowieka bogatego. Jego właściciel preferował prostotę. Pozostało mu to z czasów dzieciństwa spędzonego w barrio w Hawanie. Wziął do ręki egzemplarz *Cuentos* Pia Baroi i uśmiechnął się smutno. Na stronie tytułowej przeczytał dedykację, którą znał na pamięć. „Ukochanemu Ramonowi - Isadora”. Isadora była jego żoną, która zmarła na zapalenie płuc dwa lata temu. Umarła, kiedy wyjechał za granicę na konferencję. Jej kuzynka zostawiła ją samą i płyn w płucach oraz wysoka gorączka w końcu ją zabiły.

To ironia losu, pomyślał, że nie było go w domu, kiedy żona go potrzebowała. Opiekę nad Isadora powierzył jej młodszej kuzynce, Noreen, dyplomowanej pielęgniarce. Uważał, że może jej zaufać. Lecz ona zostawiła Isadorę, a kiedy wrócił do domu, znalazł żonę martwą. Wciąż obwiniał za to Noreen. Rozpaczliwie próbowała mu coś tłumaczyć, ale on nie chciał słuchać. Jej wina była oczywista dla wszystkich, nawet jej ciotka i wuj oskarżali ją równie gwałtownie jak on.

Odłożył książkę i delikatnie przesunął palcem po okładce. Baroja, znany hiszpański powieściopisarz z początku dwudziestego wieku, także był lekarzem. Ramon bardzo go lubił. Opowiadania zawarte w tym zbiorze były pełne opisów życia Baroi w madryckim barrio, w czasach przed odkryciem antybiotyków. Były to historie o bólu, tragedii i samotności, a mimo to pełne nadziei. A nadzieja była ważna w zawodzie lekarza. Kiedy wszystko zawodziło, wciąż pozostawała wiara w moce wyższe, nadzieja, że zdarzy się cud. Jeden zdarzył się dzisiaj tej kobiecie, której mąż leżał teraz na oddziale intensywnej opieki medycznej. Ramon cieszył się z tego, bo ci ludzie wyglądali na dobre małżeństwo, kochali się tak jak on i Isadora. Przynajmniej na początku... Westchnął i ruszył do kuchni.

- Ojej - mruknął do siebie, badając zawartość lodówki. - Jesteś słynnym kardiochirurgiem, senor Cortero, a dzisiaj na kolację czeka cię uczta z mrożonego kurczaka i niedogotowanych brokułów. Jakże nisko upadłeś!

Usłyszał dzwonek telefonu i uniósł brwi. Do północy miał dyżur przy telefonie, więc może był potrzebny. Podniósł słuchawkę.

- Cortero - powiedział. Chwila ciszy.

- Ramon? Twarz mu stężała. Znał ten głos tak dobrze, że nie miał kłopotu z rozpoznaniem dzwoniącej do niego osoby.

- Tak, Noreen - odparł zimno. - Czego chcesz? Przez chwilę panowało milczenie.

- Ciotka chciała wiedzieć, czy przyjdiesz na urodziny wuja.

Właściwie Noreen nigdy nie utrzymywała bliskich stosunków z ciotką i wujem, a od śmierci Isadory prawie wcale nie miała z nimi kontaktu.

- Kiedy?

- Przecież wiesz, kiedy. Westchnął z irytacją.

- Nie mam dyżuru w przyszłą niedzielę, więc przyjdę. - Przesuwał kartkę papieru po nieskazitelnie czystym blacie stolika. - Będziesz tam? - spytał posępnie.

- Nie - odparła bez śladu jakichkolwiek emocji. - Dziś zaniiosłam wujowi prezent. Wyjeżdżają z miasta i wrócą dopiero w czasie weekendu, dlatego prosili, żebym cię spytała, czy do nich przyjedziesz.

- Rozumiem. Zapanowała kolejna chwila milczenia.

- Powiem ciotce, że przyjedziesz. - Rozłączyła się.

Z ulgą odłożył słuchawkę. Nie potrafił myśleć spokojnie o tym, że Noreen mogła uratować Isadorę, gdyby była w domu. Ten gniew był nierozsądny i czasem Ramon to sobie uświadamiał. Lecz hodował go, karmił nienawiścią i rozniecał jego płomienie, by w ten sposób ukoić ból po stracie żony. Zmusił się do zapomnienia o tym, że Noreen kochała Isadorę, a jej cierpienie było tak samo szczere jak jego. Nienawidził jej i nie potrafił tego ukryć. Nienawiść do Noreen była jego ukojeniem i pocieszeniem.

Noreen nigdy nie oskarżyła go o to, że jest niesprawiedliwy. Po prostu trzymała się z daleka. Pracowała w szpitalu miejskim, naprzeciwko szpitala St. Mary, gdzie Ramon wykonywał większość operacji. Była jedną z dyplomowanych pielęgniarek, które pełniły dyżury na oddziale intensywnej opieki medycznej. Czasami zajmowała się jego pacjentami, ale nawet tam traktował ją jak zawadę.

Skończyła studia na wydziale pielęgniarskim uniwersytetu. Miała dość talentu i inteligencji, żeby zostać lekarzem, lecz zrezygnowała z takiej kariery. Nigdy też nie wyszła za

mąż. Miała dwadzieścia pięć lat, była dojrzała i rozsądna, ale w jej życiu nie pojawił się mężczyzna. Tak jak w życiu Ramona nie było żadnej kobiety.

Wrócił do kuchni i zaparzył kawę. Nie spał zbyt dużo, praca była jego całym życiem, Nie wiedział, co by zrobił bez pracy po stracie Isadory.

Uśmiechnął się ze smutkiem, wspominając jej blond włosy i żywe niebieskie oczy. Noreen była marną kopia kuzynki. Miała jasne włosy, szare oczy i nic szczególnego poza tym. Isadora była piękna, miała wspaniałą postawę i maniery. Pochodziła z bogatej rodziny. Noreen też nie musiałaby pracować, gdyż była jedyną spadkobierczynią fortuny Kensingtonów, ale wyraźnie nie miała pieniędzy, bo, jak zauważył, ubierała się bardzo skromnie. Wynajmowała mieszkanie i nigdy nie prosiła ciotki czy wuja o pomoc. Zastanowił się, jak by zareagowali, gdyby jednak poprosiła o wsparcie, i zaraz zdziwił się, że w ogóle go to interesuje.

Od sześciu lat, gdy poznał Isadorę, Noreen stanowiła dla niego zagadkę. Isadora była towarzyska, lubiła się bawić, często flirtowała i żartowała z mężczyznami. Noreen z kolei rzadko się pokazywała na przyjęciach i właściwie nie prowadziła życia towarzyskiego. Była opanowana i zamknięta w sobie. Prawdziwa pielęgniarka - praca w jej życiu była najważniejsza.

Ramon zmarszczył czoło. To dziwne, pomyślał, że pielęgniarka z powołania okazała się tak niedbała wobec kuzynki. Na oddziale Noreen była niezwykle dokładna, często strofowano ją za kwestionowanie zaleceń lekarza, które wydawały się jej błędne.

Może była zazdrosna o Isadorę. Mimo to Ramon nie mógł pojąć, jak mogła posunąć się do tego, by kobietę w tak ciężkim stanie zostawić samą przez prawie dwie noce?

Wkrótce po pogrzebie jeden z kolegów mówił mu coś o Noreen, o tym, jak przeżywała śmierć jego żony, a zwłaszcza o tym, jak ucierpiał na tym stan jej zdrowia. On zaś burknął wtedy, że ta kobieta go nie obchodzi, i odszedł. Teraz zastanawiał się, co ten człowiek miał na myśli. Oczywiście było to dawno temu, a kolega już jakieś cztery lata temu przeniósł się do Nowego Jorku.

Odsunął od siebie tę myśl. Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

W niedzielę po południu pojechał odwiedzić Hala Kensingtona, ojca Isadory, i wręczyć mu urodzinowy prezent - złoty zegarek. Mary Kensington powitała go w drzwiach, ubrana w jedwabny kaftan w tygrysie' paski. Jej platynowe włosy, choć spięte w kok, przypomniały mu Isadorę.

- Ramon! Jak miło, że przyszedłeś - powiedziała z radością i ujęła go pod ramię. Skrzywiła się. - Przepraszam, musiałam prosić Noreen, żeby do ciebie zadzwoniła. Wiedziałam, że nie znajdę czasu, żeby skontaktować się z tobą przed wyjazdem.

- Nic nie szkodzi - odparł odruchowo.

- Noreen to utrapienie nas wszystkich. - Westchnęła. - Na szczęście nie widzimy jej, z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a i to tylko w kościele.

Ramon spojrzał na nią uważnie.

- Przecież tu się wychowała.

- I co z tego? - Wzruszyła ramionami. - Jest córką jedyne go brata Hala, więc mieliśmy obowiązek wziąć ją do siebie. Ale ona zawsze była jakaś taka... Zostanie starą panną, ubiera się, jakby była z przytułku, a co do przyjęć, to nigdy jej nie zapraszam, bo wstyd ją komukolwiek pokazać. Zachowywała się tak już jako dziecko. Isadora była całkiem inna, słodka i kochająca. Od dnia urodzin stała się całym naszym światem. Oczywiście Noreen dużo przebywała z moją matką, aż do jej śmierci. - Skrzywiła się. - Noreen była ciężkim brzemieniem. Wciąż nim jest.

To dziwne, ale poczuł współczucie dla smutnej małej dziewczynki, zmuszonej do zamieszkania z ludźmi, którzy jej nie chcieli.

- Nie kochasz Noreen? - spytał otwarcie.

- Mój drogi, kto mógłby kochać taką imitację kobiety? - odparła obojętnie. - Chyba ją trochę lubię, ale nigdy nie zapomnę, że przez nią straciliśmy Isadorę. Jestem pewna, że ty też nie - dodała i poklepała go po ramieniu. - Wszyscy tak bardzo za Isadorą tęsknimy.

- Tak - potwierdził. Hal wyciągnął się w swoim ulubionym fotelu, a jego łysa głowa odbijała światło padające z kryształowego żyrandola. Podniósł głowę znad czytane go magazynu.

- Ramon, cieszę się, że przyszedłeś. Odłożył gazetę i uściskał dłoń zięciowi.

- Przyniosłem ci mały drobiazg - rzekł Ramon, wręczając Halowi elegancko opakowany prezent.

Hal rozpromienił się, rozpakował małą paczuszkę i spojrzał z podziwem na zegarek.

- Taki właśnie chciałem sobie kupić - stwierdził. - Mam sportowy, ale mogę go nosić wybierając się do jacht klubu. Dzięki!

Ramon machnął ręką.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Noreen dała mu portfel - powiedziała wzgardliwie Mary.

- Z wężowej skóry - dodał Hal, potrząsając głową. - Ta dziewczyna nie ma wyobraźni.

Ramon przypomniał sobie, gdzie mieszka Noreen i jak się ubiera poza pracą. Wyraźnie nie miała pieniędzy, a portfele z wężowej skóry były kosztowne. Zastanowił się, z czego musiała zrezygnować, żeby kupić wujowi prezent, który przyjął tak pogardliwie. Ramon wiedział, co to znaczy bieda.

- Słuchasz mnie, Ramon? - dopytywał się Hal. - Mówiłem, że w któryś weekend musimy wybrać się na żagle.

- Chętnie, jak tylko znajdę czas - odparł Ramon, lecz bez entuzjazmu.

Nie czuł się dobrze w towarzystwie tych ludzi. Dobierali sobie przyjaciół według stanu kont bankowych i pozycji towarzyskiej. Ramona akceptowali, ponieważ zyskał sławę i był zamożny. Ale Ramon Cortero, który w wieku dziesięciu lat uciekł z rodzicami z Kuby, nie byłby dobrze przyjęty jako przyszły zięć. Wiedział o tym, a teraz odczuwał to wyraźniej niż kiedykolwiek. Dziwne, ale często dręczyły go takie myśli.

Został chwilę, zjadł kawałek ciasta i wypił kawę, a potem przeprosił i wyszedł. Na zewnątrz spojrzał na wielką ceglana rezydencję. Dom był bez wyrazu jak mieszkający w nim ludzie. Zastanawiał się, dlaczego tak źle czuje się w ich towarzystwie. Przecież zawsze byli dla niego dobrzy.

Wracał do mieszkania srebrnym jaguarem, swoją dumą i radością. Ogarnęło go uczucie wewnętrznej pustki. Chyba był przemęczony i potrzebował urlopu. Mógłby polecieć na Bahamy i przez parę dni wylegiwać się na plaży. To by go ożywiło.

Rozejrzał się. Miasto płonęło kolorowymi światłami. Kiedyś to migotanie przypominało mu piękną Isadorę. Dla niego była samą słodyczą, ale dokładnie pamiętał, jak wszedł kiedyś do jej pokoju, a ona klęła jak bosman i krzyczała na Noreen za to, że włożyła swetry do nieodpowiedniej szuflady. Noreen nie powiedziała ani słowa w swojej obronie. Przełożyła ubrania i wyszła z pokoju, nie patrząc Ramonowi w oczy.

Isadora zaśmiała się zakłopotana i mruknęła, że trudno jest znaleźć dobrą pomoc. Zauważył, że to dość dziwna uwaga o kuzynce. Isadora roześmiała się tylko, ale on od tej chwili zaczął spoglądać na pewne rzeczy uważniej. Wszyscy w tym domu traktowali Noreen bardziej jak służącą niż jak członka rodziny. Zawsze coś przynosiła i przenosiła, załatwiała telefony, zamawiała kucharzy i muzyków na przyjęcia, wypisywała zaproszenia. Nawet kiedy uczyła się do egzaminów, rodzina wciąż czegoś od niej żądała.

Ramon zauważył raz, że aby zdać egzamin, trzeba wiele czasu poświęcić na naukę, lecz cała trójka Kensingtonów tylko wzruszyła ramionami. Żadne z nich nie uczęszczało do college'u i nie mieli pojęcia, o czym on mówi. Noreen musiała wypełniać swoje obowiązki. Dopiero kiedy po ślubie Isadory opuściła dom, Kensingtonowie zatrudnili gospodynię.

Potem rodzina jakby zapominała o jej istnieniu, do chwili gdy trzeba było zrobić coś, co tylko ona potrafiła. Na przykład opiekować się chorą Isadorą.

To przypomniało mu o zapaleniu płuc żony i rozgniewało go na nowo. Mimo wad Isadory, bardzo ją kochał. Nawet jeśli wuj, ciotka i kuzynka źle traktowali Noreen, nie był to

powód, żeby pozwolić Isadorze umrzeć. Być może współczuł jej tego braku miłości, lecz wciąż czuł gniew, gdy sobie przypominał, że przez nią umarła jego żona.

Spędził na Bahamach sześć dni. Samotnie spacerował po plaży i z bólem wspominał szczęśliwe dni, które spędził tu z Isadorą podczas miodowego miesiąca. Wciąż za nią tęsknił, pomimo że ich związek był dość burzliwy.

Zauważył u siebie siwe włosy i poczuł się stary. Powinien znowu się ożenić, mieć syna. Isadora nie chciała mieć dzieci, a on nie nalegał. Uważał, że mają dość czasu.

Zachód słońca był bardzo jaskrawy jak obraz namalowany przez szaleńca. W ognistych kolorach z czarnymi cieniami, wbijał się w horyzont jak zakrwawiony nóż. Ramon westchnął, patrząc na słońce i słuchając cichego szeptu fal, obmywających jego białe stopy. Jak podziwiać te przejmujące widoki, gdy nie ma ich z kim oglądać? Był samotny. Tęsknił za kochającą żoną i gromadką dzieci, bawiących się przy nim na plaży. Może powinien zacząć myśleć o przyszłości, a nie o przeszłości. Dwa lata to dostatecznie długi okres żałoby.

Rozpoczął pracę z zapalem, biorąc na siebie więcej obowiązków niż dotąd. Któregoś dnia operował w miejskim szpitalu O'Keefe. Właśnie zakończył trudny zabieg, gdy wezwano go na oddział kardiologii, żeby obejrzał pacjenta, który nie podobał się dyżurnej pielęgniarce.

Nie był zachwycony, gdy odkrył, która z pielęgniarek ma dyżur. Noreen wyglądała schludnie w fartuchu, białych spodniach i z włosami zwiniętymi w kok. Spojrzała na niego chłodno, gdy zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek.

- Nie sądziłem, że pracujesz akurat dziś w nocy - rzucił krótko.

- Pracuję, kiedy muszę. A co ty tu robisz? - spytała.

- Mam pacjenta, właśnie skończyłem operację. A pracuję w trzech szpitalach. To jeden z nich - odparł równie chłodno.

- Wiem. - Wsunęła ręce w kieszenie fartucha. - Twój pacjent, pan Harris, nie może utrzymać leków.

- Gdzie jest jego karta?

Zajrzała do pokoju pacjenta, z drucianego kosza na ścianie wyjęła kartę i podała ją Ramonowi.

Zmarszczył czoło.

- Wymioty zaczęły się na poprzedniej zmianie. Dlaczego nic z tym nie zrobiono? - zapytał.

- Niektóre pielęgniarki pracują na dwunastogodzinnych dyżurach - przypomniała mu. - A po południu na oddział trafiły cztery nowe przypadki. Wszystkie krytyczne.

- To żadne wyjaśnienie.

- Tak jest - zgodziła się odruchowo, wręczając mu pióro. - Czy możesz coś teraz na to poradzić?

Wypisał nowe zlecenie i obejrzał bladego, wymęczonego pacjenta. Wrócił zagniewany.

- Wczoraj wyjęto mu cewnik, a dzisiaj założono z powrotem. Dlaczego?

- Nie opróżniał pęcherza od ośmiu godzin. To standardowa procedura.

Spojrzał na nią z góry.

- Wymiotował i nie przyjmował płynów. Im dłużej ma założony cewnik, tym większe jest ryzyko infekcji. Proszę go wyjąć i nie zakładać, dopóki nie zacznie się skarżyć. Czy to jasne?

- Tak jest - odparła.

- Kto kazał wyjąć cewnik? - spytał nagle. Uśmiechnęła się tylko.

- Mniejsza z tym - rzucił znużony, wiedząc, że nawet na torturach nie zdradzi mu nazwiska winowajcy.

Przyjrzał się Noreen. Oczy miała zaczerwienione, a twarz bladą i lekko obrzmiałą. Zmarszczył brwi. Nigdy wcześniej tego nie zauważył, ale takie objawy widywał często u chorych na serce.

Odłożyła kartę na miejsce.

- Salowe na tej zmianie padają z nóg. Szkoda, że ktoś nie może przy nim siedzieć i podawać mu lodu. To by mu pomogło.

- Nie ma rodziny? - zapytał, zaskoczony jej troską.

- Ma syna w Utah - odparła. - Przyjedzie, ale dotrze dopiero jutro.

Zauważył jakąś kobietę, która szła korytarzem ze styropianowym kubkiem i plastikowym dzbankiem.

- Dokąd ona idzie? - zapytał. Noreen uśmiechnęła się, a oczy jej błysnęły.

- Ta salowa z Jamajki, pani Hawk, powiedziała jej, gdzie jest maszyna do lodu i automat do kawy. Od tego czasu sama to robi. Nawet przynosi ręczniki i ściereczki. Nikogo o nic nie prosi.

- To takie niezwykle?

- Mamy tu jeszcze trzy kobiety, które przychodzą, pukają do drzwi i proszą, żeby podać ich mężom wodę. I tak co pięć minut, odkąd przywieźli ich z sali operacyjnej.

- Pielęgniarki zwykle robią takie rzeczy - przypomniał jej.

- Pielęgniarki mają zwykle więcej czasu, mniej pacjentów, papierkowej roboty i rzadziej są besztane - odparła i westchnęła.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Dobrze się czujesz? - spytał z wyraźną niechęcią. Znieruchomiała.

- Jestem trochę zmęczona, jak wszyscy na tym dyżurze. Dzięki, że obejrzałeś pana Harrisa.

Wzruszył ramionami.

- Daj mi znać, gdyby znowu zaczął wymiotować.

- Oczywiście. - Była uprzejma, lecz chłodna. Zmrużył ciemne oczy.

- Nie lubisz mnie, prawda? - zapytał śmiało, jakby dopiero teraz sobie to uświadomił.

Zaśmiała się smutno.

- Przecież taka jest moja rola. - Odwróciła się, nie patrząc mu w oczy.

Wyszedł z oddziału, lecz coś go nękało. Coś, czego nie mógł sprecyzować. Był niespokojny i nie wiedział, dlaczego. Wakacje, pomyślał, powinny uspokajać ludzi. Na nim wyjazd wywarł efekt przeciwny.

Noreen próbowała uspokoić swoje zdradliwe serce. Zmusiła się, by nie spoglądać za wysokim, smagłym mężczyzną, którego kochała. On o tym nie wiedział. I nigdy się nie dowie. Isadora sprowadziła go do domu i wtedy serce Noreen pękło z żalu. Nie dla niej były te ciemne zmysłowe oczy i ciepły uśmiech. Piękna Isadora wyszła za mężczyznę, za którego pocałunek Noreen dałaby się zabić. Zachowała tę bolesną tajemnicę przez sześć długich lat: cztery lata małżeństwa Ramona i ostatnie dwa lata oskarżeń. Serce powinno już się zużyć, ale wciąż biło, pomimo swojej niedoskonałości, która pogłębiała się z każdym dniem.

W końcu nadejdzie chwila, kiedy nie zdąży dotrzeć do lekarza. Zresztą to nieważne. Na jej życie składała się tylko praca. Od śmierci rodziców nie zaznała miłości, czuła się zagubiona w wielkim domu, w którym przyjęto ją niechętnie. Stała się pokojówką Isadory, sekretarką ciotki i służącą wuja. Przez większość dorosłego życia była sama i samotna, beznadziejnie zakochana w mężu kuzynki i zbyt dumna, by to okazać.

A teraz ukochany ją nienawidził, oskarżał o coś, co właściwie nie było jej winą. Nawet jako wdowiec należał do pięknej Isadory.

Noreen wróciła do swoich obowiązków i starała się nie myśleć o Ramonie, przeszłości i bólu. Pogodziła się z losem, jak zawsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Noreen wróciła do swojego pustego mieszkania i po raz pierwszy zrobiło się jej żal, że nie ma kota lub psa, który dotrzymałby jej towarzystwa. Jednak w tym domu obowiązywały ściśle reguły: nie wolno było trzymać zwierząt. Mieszkała w pięknym, starym, piętrowym

budynku w stylu południowym. I choć farba łuszczyła się ze ścian, czterej lokatorzy uważali go za swój dom.

Obok stał niewielki garaż, ale na szczęście tylko Noreen i student medycyny mieli samochody. Na rogu był przystanek autobusowy, a tu, na przedmieściu, wszystko można było kupić bez problemów. Noreen lubiła swobodę, którą dawał jej samochód. Był mały i stary, ale jeździł jakoś dzięki mechanikowi z sąsiedniej ulicy, który za skromną opłatą naprawiał wszystko, co konieczne.

Kiedy mieszkała z wujostwem, nie brakowało jej rzeczy materialnych, lecz życie było emocjonalnie puste. Tutaj, posiadając niewiele, czuła się niezależna. Brakowało jej miłości i towarzystwa, ale to nic nowego. Zastanawiała się czasem, czy ciotka się nie złościła, że musiała wynająć gosposię i sekretarkę, kiedy Noreen wyprowadziła się z ich domu. Bratanicy męża nigdy nie musiała płacić za usługi. Nawet jej to nie przyszło do głowy.

Przypomniała sobie, że po śmierci Isadory Ramon przeniósł się do nowego mieszkania. Nie mógł wracać codziennie tam, gdzie samotnie umierała jego żona. Noreen wiele razy próbowała powiedzieć mu prawdę, lecz, oszalały z bólu i cierpienia, nie chciał jej słuchać. Może wolał wyobrażać ją sobie jako kobietę bez serca, bo tak ocenił ją przy pierwszym spotkaniu. Bóg świadkiem, że właściwie nigdy na nią nie spojrział.

Bolesnie wspominała ich pierwsze spotkanie. Wsiadł z jaguara przed wielkim domem wuja i ciotki. Czarne włosy lśniły mu w słońcu. Wysoki, wysportowany, ubrany w szary garnitur wydawał się smuklejszy i bardziej dystyngowany. Gdy wszedł do domu, spojrzenie jego czarnych jak węgiel oczu sprawiło, że serce Noreen zatrzymało się na moment. Nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Skuliła się w fotelu i zarumieniła, a Ramon uśmiechnął się niemal drwiąco. Przedstawił się i szybko odwrócił.

- Nie myśl, że cię zauważył - powiedziała potem kpiąco Isadora. - Mimo tych cielęcych oczu, jakie do niego robisz. Taki człowiek jak on nie spojrzalby na ciebie po raz drugi - dodała ze śmiechem.

Noreen nie mogła spojrzeć w jej pełne pogardy oczy.

- Wiem, że jest twój - powiedziała cicho.

- Nie zapominaj o tym - odparła ostro Isadora. - Wyjdę za niego.

- Czy on o tym wie? - Noreen nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Oczywiście, że nie - mruknęła Isadora. - Ale i tak za niego wyjdę.

I wyszła za Ramona dwa miesiące później. Jej druhną była jedna z koleżanek.

Ramon nie rozumiał takiego wyboru. Dwa dni przed weselem, kiedy ciotka i Isadora zachwycały się ślubną suknią, Ramon przystanął w drzwiach kuchni, gdzie Noreen wyciągała z

piekarnika ciasteczka. Zapytał, czy będzie na weselu.

- Ja? - zdziwiła się Noreen. Zmarszczył brwi.

- Czy zawsze nosisz dzinsy i takie... - machnął w jej stronę ręką - ...bluzy?

Odwróciła wzrok.

- Są wygodne do pracy w domu. Czują, jak na nią patrzy, kiedy zsuwała ciastka na porcelanowy talerz i odkładała blachę do zlewozmywaka.

- Isadora nie lubi gotować - mruknął.

- Nie przeszkadza ci chyba, że robi to kto inny - odparła skrepowana. Nie lubiła, gdy był tak blisko niej. Bała się, że się zdradzi. - Zresztą Isadora jest zbyt piękna, żeby marnować czas na pracę w domu.

- Zazdrościsz jej urody? - spytał. Ten kpiący ton zirytował ją. Szare oczy błysnęły. Na ogół się nie kłóciła, lecz Ramon w tej chwili naprawdę był irytujący.

Pamiętała, że wyprostowała się wtedy i spojrzała na niego gniewnie. Twarz miała zarumienioną od gorąca, a ciemno-blond włosy, wymykające się z upiętego koka, zwisały w nieporządnym kosmykach.

- Dziękuję, że zechciałeś mi przypomnieć o cechach, których nie posiadam. Nie przyszło ci pewnie do głowy, że czasem spoglądam w lustro.

Po raz pierwszy, gdy patrzył na nią, błysnęły mu oczy.

- Więc nie jesteś słomianką pod drzwiami? - zauważył.

- *No, no soy* - odparła po hiszpańsku, którego nauczyła się w szkole - *y usted, señor, no es ningun caballero.*

Uniósł brwi, gdy usłyszał, że nie jest dżentelmenem.

- *Que sorpresa eres* - mruknął, a ona zarumieniła się, słysząc tę formę, używaną tylko między bliskimi przyjaciółmi albo krewnymi. - Jesteś zaskakująca.

- Dlatego że mówię po hiszpańsku? - spytała. Uśmiechnął się, tym razem już bez drwiny.

- Isadora nie zna hiszpańskiego. Przynajmniej jak dotąd. Nauczę ją niektórych zwrotów. Oczywiście takich, których nie używa się publicznie.

Po latach wciąż z dziwnym zaciekawieniem wspominała, jak drażnił się z nią, przypominając o swych uczuciach do Isadory. Tak było od samego początku, a pogorszyło się, kiedy młoda para obchodziła pierwszą rocznicę ślubu.

Noreen nie była pewna, dlaczego zaproszono ją na przyjęcie. Wcale nie miała zamiaru na nie iść, lecz Ramon przysłał po nią samochód.

Hal i Mary Kensingtonowie ze względu na innych gości powitali ją entuzjastycznie, a

potem zupełnie zignorowali. Isadora była wściekła i odciągnęła ją na bok, gdy tylko Ramon wyszedł na chwilę z salonu. Ścisnęła Noreen za ramię tak, że omal nie połamała sobie paznokci.

- Co ty tu robisz? - spytała z furją. - Nie zapraszałam cię!

- Ramon nalegał - odparła Noreen. - Przysłał po mnie samochód.

Isadora uniosła brwi.

- A, rozumiem - mruknęła. Puściła ramię kuzynki. - Wyrównuje rachunki - dodała ponuro. - Tylko dlatego, że zaprosiłam Larry'ego na kolację, gdy on wyjechał do Nowego Jorku. - Nagle zmieniła ton. - Nigdy nie ma go w domu.

Więc niby co mam robić? - Spojrzała gniewnie na kuzynkę.

- Nie wyobrażaj sobie, że mu się choć trochę podobasz, skarbie. Zaprosił cię tylko po to, żebym była zazdrosna.

Noreen westchnęła.

- Przecież to wariactwo - powiedziała ze smutkiem. - Na miłość boską, Isadora, on nawet mnie nie lubi! Drwi ze mnie za każdym razem!

Isadora zmrużyła błękitne oczy.

- Niczego nie rozumiesz, prawda? - rzuciła z roztargnieniem. - Jesteś takim dzieckiem, Noreen.

- Czego nie rozumiem? Ramon z pochmurną miną wszedł do kuchni.

- Czemu się tu chowacie? - zapytał Isadorę. - Mamy gości.

- Tak, mamy - odparła, zerkając znacząco na Noreen.

- Powinnam zaprosić Larry'ego - dodała.

Oczy Ramona błysnęły gniewnie. Isadora przemknęła obok męża, zostawiając go z Noreen, żeby na niej wyładował swój gniew. I rzeczywiście tak się stało.

- Wyglądasz jak posługaczka - zauważył chłodno, patrząc na jej nieśmiertelne dzinsy i bluzę. - Nie mogłaś przynajmniej dziś włożyć sukienki?

- Nie chciałam tu przychodzić - odparła gniewnie. - Zmusiłeś mnie!

- Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiłem. - Jeszcze raz obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czuła się nieswojo; nie pasowała do tego towarzystwa. Podszedł bliżej, a ona się odsunęła. Ten instynktowny odruch pogorszył jeszcze sytuację...

- Jestem dla ciebie odpychający? - mruknął żartobliwie, podchodząc bliżej, aż Noreen oparła się o zlewozmywak. - Zadziwiające, że taki cień kobiety niechętnie przyjmuje jakikolwiek objaw zainteresowania mężczyzny, choćby odpychającego.

Zadrzała, słysząc jego ton, i obronnym gestem założyła ręce na piersi.

- Mężczyzny żonatego - rzuciła mu w twarz. Zacisnął pięści. Jednak słowa wywarły pożądaną efekt.

Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Dziewczyna do wszystkiego - zakpił. - Kucharka, gosposia, sprzątaczką. Nigdy nie masz dość tego poświęcenia?

Przelknęła ślinę.

- Chciałabym już wyjść, jeśli można. Odetchnął głęboko.

- A dokąd chciałabyś pójść? Jak najdalej ode mnie?

- Jesteś mężem mojej kuzynki - syknęła przez zęby.

- Oczywiście, że jestem, szary wróbelku - odparł. - Ta piękna, czarująca kobieta z twarzą anioła należy do mnie. Inni mężczyźni są chorzy z zazdrości. Isadora, urocza i piękna, nosi obrączkę, którą ja jej włożyłem na palec.

- Istotnie twoja żona jest śliczna - przyznała z wysiłkiem.

Wściekłość Ramona trochę ją przerażała; jego czarne oczy lśniły jak stal. Nienawidził jej i ona wiedziała o tym. Nie wiedziała tylko, dlaczego. Przecież nigdy nie zrobiła mu krzywdy.

Odsunął się nagle, z tą wrodzoną uprzejmością, którą zawsze okazywał.

- Dorastałem w hawańskim barrio - powiedział cicho.

- Rodzice z trudem zdobyli wykształcenie. Dzięki niemu chcieli się wyrwać z nędzy. Kiedy przyjechaliśmy do Stanów, zdobyliśmy wysoką pozycję społeczną i majątek, ale nie zapomniałem, skąd pochodzę. Jakaś część mnie czuje pogardę dla tych bogatych ludzi - skinął w stronę salonu - zadowolonych ze swego eleganckiego otoczenia. Nie wiedzą, jak nędza może zmienić ludzki charakter.

- Po co mi to mówisz? - spytała. Twarz Ramona złagodniała.

- Ponieważ poznałaś nędzę - odparł, zaskakując ją tym. Nie miała pojęcia, że cokolwiek o niej wie. - Twoi rodzice byli farmerami, prawda?

Skinęła głową.

- Nie byli w najlepszych stosunkach z ciotką Mary i wujem Halem - przyznała. - Gdyby rodzice twojej żony nie liczyli się z opinią otoczenia, pewnie po ich śmierci poszłabym do sierocińca.

Wiedział, o co jej chodzi.

- A czy sierociniec byłby gorszy?

To pytanie nadał ją nękało. Spytał ją wtedy, jakby wiedział, jakie życie prowadziła przy rodzinie Kensingtonów. Lecz nie liczyła na to, że ją zrozumie.

Z drugiej strony, zastanawiała się, czy Isadora w ogóle go rozumiała i w jaki sposób dzieciństwo wpłynęło na to, kim był dzisiaj. Nigdy nie zlekceważył ubogiego pacjenta, nie odwrócił się plecami do nikogo, kto potrzebował pomocy. Był najszlachetniejszym ze znanych jej ludzi.

Isadora nienawidziła tej cechy jego osobowości.

- Daje pieniądze żebrakom. Możesz w to uwierzyć? - oburzała się w Boże Narodzenia drugiego roku małżeństwa.

- Pokłóciliśmy się o to. Przecież to śmieci, a nie ludzie. Nie można im dawać pieniędzy!

Noreen nie odezwała się ani słowem. Często wpłacała niewielkie kwoty na fundusz wyżywienia bezdomnych, a nawet czasem, w niedzielę, pomagała tę żywność im wydawać.

Kiedyś, ku swemu zdumieniu, zobaczyła, jak Ramon nakłada fartuch na garnitur i staje obok niej za stołem.

- Nie bądź taka zdumiona - powiedział. - Połowa pracowników oddziału wymyka się tutaj od czasu do czasu i robi, co może.

Przez godzinę w ciasnym pomieszczeniu nalewała zupę stojąc tuż obok niego. Nędzarze w kolejce czekali na gorący posiłek. Łzy zapiekły ją, gdy kobieta z dwójką małych dzieci uśmiechnęła się i podziękowała im za pomoc.

Ramon wsunął jej w dłoń chusteczkę.

- *No hagas!* - szepnął po hiszpańsku. - Nie rób tego.

- Ty pewnie nie wiesz, co to łzy - mruknęła, dyskretnie wycierając oczy.

Zaśmiał się cicho.

- Przejmuję się pacjentami - wyjaśnił. - Nie jestem taki. Nie mogę znieść tego, że kóregoś tracę.

Spojrzała na niego uważnie, po czym odwróciła wzrok i skupiła się na nalewaniu zupy.

- Mówią, że Latynosi do wszystkiego podchodzą zbyt emocjonalnie - mruknęła bez namysłu.

- Bo tak jest - odparł tonem, który wzbudził w niej dziwny dreszcz.

Chciała zwrócić mu chusteczkę, lecz z początku odmówił. Spojrzał na nią chłodnym wzrokiem.

- Włóż ją pod poduszkę - zadrwił. - Może sprowadzi sny, które wypełnią pustkę twojego życia.

Aż syknęła ze zdumienia, co chyba przywróciło mu rozsądek.

- Wybacz - powiedział chłodno. Wziął chusteczkę i wsunął ją do kieszeni, jakby gniewał go sam jej widok.

Przez te wszystkie lata zdarzały się też innego rodzaju incydenty. Raz wezwała ją Isadora. Chciała, by Noreen odwiozła ją do miasta, gdyż Ramon nie pozwolił jej używać swojego jaguara.

Gdy wzburzona pokojówka wpuściła ją za próg, usłyszała dochodzące z salonu gniewne głosy.

- Będę wydawała, ile chcę! - krzyczała Isadora. - To chyba zrozumiałe, że należy mi się trochę luksusu, skoro nie mam już męża! Każdą godzinę spędzasz w gabinecie albo w szpitalu! Nie jadamy razem! Nawet razem nie śpimy...!

- Isadora! - zawołała Noreen, żeby poinformować kuzynkę o swojej obecności, zanim kłótnia stanie się jeszcze gwałtowniejsza.

- Co ona tu robi? - usłyszała gniewne pytanie Ramona. Zatrzymała się przed drzwiami.

- Zawiezie mnie na zakupy - wyjaśniła Isadora - skoro ty nie chcesz tego zrobić. - Zerknęła na Noreen. - Wejź, wejź - zawołała gniewnie. - Nie stój tak jak widmo.

Spojrzenie Ramona wyrażało dokładnie, co myślał o jej zwykłym ubiorze. W pracy była wcieleniem elegancji, lecz poza pracą wciąż ubierała się jak dziewczyna z farmy.

- Doprawdy, Norie, nie masz żadnych innych ubrań? - spytała gniewnie Isadora.

- Nie potrzebuję innych - odparła.

- Jesteś bardzo praktyczna - mruknął Ramon. Isadora spojrzała na niego wściekle, chwyciła torebkę i kaszmirowy sweter.

- To z nią powinieneś się ożenić! - krzyknęła. - Potrafi gotować, sprzątać i ubiera się jak bezdomna!

Noreen zaczerwieniła się, Przypomniała sobie, jak przed świętami pracowała z Ramonem w kuchni dla bezdomnych.

- Skąd możesz wiedzieć, jak ubierają się bezdomni? - spytał chłodno Ramon. - Przecież nawet na nich nie patrzysz.

- Boże, uchwaj - zawołała. - Powinni ich wszystkich wpakować do więzienia!

Noreen przypomniała sobie kobietę z dwójką małych dzieci i poczuła mdłości. Odwróciła się, zaciskając wargi, żeby nic nie odpowiedzieć.

- A wydawaj, ile chcesz, do diabła - rzucił Ramon. Isadora uniosła brwi.

- Cóż za słownictwo! - zadrwiła. - Kiedyś nie przeklinałeś.

- Kiedyś nie miałem powodów. Mruknęła coś pod nosem i wyszła, skinąwszy na Noreen.

Na tydzień przed śmiercią Isadora zachorowała na lekkie zapalenie oskrzeli. Ramon obiecał koledze chirurgowi, że będzie mu towarzyszył podczas ważnej międzynarodowej

konferencji o nowych technikach operacji na otwartym sercu, która miała odbyć się w Paryżu. Isadora koniecznie chciała lecieć z Ramonem, lecz on się na to nie zgodził. Przypomnił jej, że lot w hermetycznej kabine samolotu jest niebezpieczny nawet przy lekkiej infekcji.

Isadora jak zwykle dąsała się, ale Ramon nie ustąpił. Zatrzymał się tylko przy szpitalu O'Keefe i poprosił Noreen, żeby przeniosła się do Isadory i zaopiekowała się nią pod jego nieobecność.

- Znajdzie sposób, żeby się zemścić - stwierdził dziwnie ponuro. - Pilnuj jej. Obiecuj, że nie zostawisz jej samej, jeśli stan się pogorszy.

- Obiecuję - powiedziała.

- I zawieź ją do szpitala, gdyby coś się działo. Ma osłabione płuca, bo paliła przez tyle lat - dodał. - Zapalenie płuc może być bardzo groźne.

- Zaopiekuję się nią - zapewniła. Spojrzał na nią badawczo.

- Nie jesteś do niej podobna - powiedział cicho. Zesztywniała.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś. Czy przed wyjazdem masz zamiar dorzucić jeszcze kilka obraźliwych słów?

Był wyraźnie zaskoczony.

- To nie miało być obraźliwe.

- Oczywiście - ucięła krótko i odwróciła się. - Wiem, że nie znosisz mojego widoku, Ramon, ale zaopiekuję się moją kuzynką.

- Jesteś wspaniałą pielęgniarką.

- Nie musisz mi pochlebiać - powiedziała. Zdziwiła się, czując jego dłoń na ramieniu. Odwrócił ją do siebie. Oczy mu błyszczały.

- Nie uciekam się do pochlebstw, żeby zdobyć to, na czym mi zależy - rzucił szorstko. - Na pewno nie z tobą.

- W porządku - powiedziała, próbując wyrwać się z bolesnego uchwytu.

Wydawało się, że nie uświadamiał sobie, jak mocno ją trzyma. Potrząsnął nią nawet, chyba po raz pierwszy wyraźnie tracąc panowanie nad sobą.

- Wy tłumacz jej, dlaczego nie może lecieć samolotem. Mnie nie chce słuchać.

- Oczywiście. Ale powinieneś być zadowolony, że tak pragnie twojego towarzystwa.

Ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Jeden z uczestników konferencji jest jej kochankiem - rzucił i zaśmiał się krótko. - To dlatego tak bardzo chce ze mną lecieć.

Zaszokowana Noreen zastygła.

- Nie wiedziałaś? - zapytał cicho. - Nie wystarczam jej - dodał otwarcie. - Zbyt często

mam dyżury i wracam ze szpitala wykończony.

- Proszę - szepnęła zakłopotana. - Nie powinieneś mi tego mówić.

- Dlaczego? - spytał gniewnie. - Komu jeszcze mogę to powiedzieć? Nie mam przyjaciół ani krewnych, moi rodzice nie żyją. Nie ma na świecie człowieka, który zdołał się do mnie zbliżyć, aż do teraz. - Wpatrywał się uporczywie w jej twarz. - Do diabła z tobą, Noreen - szepnął gorączkowo.

- Do diabła.

Puścił jej rękę i wyszedł. Zostawił ją bladą i oszołomioną. Naprawdę jej nienawdził. Kiedy maska opadła, zobaczyła to w jego oczach. Nie wiedziała, dlaczego. Może Isadora coś mu powiedziała...

Wieczorem poszła zobaczyć, jak czuje się Isadora. Otworzyła jej rozhisteryzowana pokojówka. Isadora w nocnej koszuli siedziała na balkonie i mokła na lodowato zimnym, lutowym deszczu.

- Siedzi tak - wyjaśniła z płaczem pokojówka - odkąd pan wyszedł z mieszkania.

Nie wiedziała, co między nimi zaszło, ale słyszała z sypialni poirytowane, podniesione głosy. Klócili się, a kiedy doktor wyszedł, Isadora zdjęła szlafrok i wyszła na deszcz. Nic nie mogło skłonić jej do powrotu. I tak już kaszlała i miała gorączkę, ale nie pozwoliła mówić o tym mężowi.

Noreen wyszła natychmiast na balkon i z pomocą pokojówki siłą wciągnęła Isadorę do mieszkania. Przebrały ją i położyły do łóżka. Serce Noreen, zawsze słabe, od wysiłku zaczęło bić nierówno.

Pokojówka z płaczem powiedziała, że jej mąż dzwonił już dwa razy i był wściekły, musi więc iść do domu.

Noreen z trudem łapała oddech; czuła się słabo, więc zgodziła się zostać, choć nie miała na to ochoty. Potem osłuchiwała Isadorę. Kuzynka oddychała dziwnie, była prawie nieprzytomna, miała bardzo wysoką gorączkę.

Noreen uznała, że musi wezwać karetkę. Gdy jednak uniosła słuchawkę telefonu, nie usłyszała sygnału. Rozgniewana wyszła z mieszkania, by wezwać pomoc od sąsiadów. I nagle zgasły wszystkie światła.

Teraz była naprawdę przerażona, a serce biło jej jak szalone.

Doszła korytarzem do windy, lecz ta nie działała. Pozostawały schody. Mieszkanie było na czwartym piętrze, niedaleko. Miała jednak straszliwe uczucie, że płuca Isadory są w fatalnym stanie. Mogła umrzeć...

Z ogromnym wysiłkiem doszła do schodów i ruszyła w dół, trzymając się poręczy.

Oddychała z trudem, a każde uderzenie serca sprawiało jej ból.

Nie pamiętała, co było potem. Nagle straciła grunt pod nogami i zapadła się w ciemność.

Odzyskała przytomność w szpitalu, tłumacząc obcemu mężczyźnie w białym fartuchu, że musi wrócić do kuzynki, ale on tylko poklepał ją po ramieniu i zrobił zastrzyk.

Przespała ponad dobę i dopiero następnego ranka wydostała się ze szpitala. Wróciła do mieszkania Ramona, gdzie parę godzin wcześniej pokojówka znalazła martwą Isadorę. A co gorsze, Ramon niespodziewanie wrócił do domu.

Noreen stanęła pod drzwiami w chwili, gdy sanitariusze wynosili ciało Isadory.

Ramon spostrzegł ją i gardłowym głosem zaczął wyrzucać z siebie przekleństwa, kwestionując wszystko, od jej pochodzenia po najbliższą przyszłość.

- Pozwól mi wytłumaczyć - błagała ze łzami, pojmując, co stało się z biedną Isadorą, samą i ciężko chorą. - To nie moja wina! Wytłumaczę ci...

- Wyjdź z mojego mieszkania! - krzyknął po angielsku, gdy wyczerpał cały repertuar hiszpańskich przekleństw. - Będę cię nienawidził aż do śmierci, Noreen. Nigdy ci nie wybaczę, że pozwoliłaś jej umrzeć!

Stała nieruchomo, oszołomiona, a blady i zrozpaczony Ramon ruszył za ambulansem.

Później, na pogrzebie, Noreen próbowała porozmawiać z ciotką i wujem, ale ciotka uderzyła ją w twarz, a wuj nawet nie chciał na nią spojrzeć. Ramon zażądał, by usunięto ją z domu pogrzebowego.

Nie wpuścili jej także na nabożeństwo. Od tej chwili stała się wyrzutkiem. Dopiero niedawno, nie wiadomo dlaczego, ciotka i wuj zaprosili ją na kawę, tuż przed urodzinami wuja. A Ramon wciąż jej nienawidził.

Zachowanie rodziny jeszcze wzmocniło u Noreen poczucie winy. W końcu uświadomiła sobie, że nic jej nie usprawiedliwia. Przyjęła na siebie winę, jakby na to zasługiwała. Praca stała się treścią jej życia. O nic więcej nie prosiła swoich krewnych. Nawet o wybaczenie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ramon miał za sobą pracowity poranek, był więc wykończony. Wykonał jedną skomplikowaną operację, a zaraz po lunchu miał jeszcze zaplanowaną wymianę zastawki. Powinien mieć wolny dzień, ale zastępował w O'Keefe chirurga, który zachorował ciężko na grypę.

Przeniósł tacę z jedzeniem do jadalni i rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego stolika. Nie znalazł go. Jedyne wolne miejsce dostrzegł przy stoliku zajmowanym przez Noreen. Spojrzał na nią z niechęcią ponad tacą z sałatką i kawą.

Noreen wbiła wzrok w talerz, wściekła na siebie, że rumieni się, kiedy Ramon na nią patrzy. Wolałby pewnie wziąć ten lunch do przedsionka stołówki i usiąść na podłodze, niż przysiąść się do niej. Wiedziała o tym. Gdyby tylko potrafiła zmienić swoje uczucia do niego. Gdyby tylko nie miało dla niej znaczenia, co Ramon o niej myśli.

Niemal upuściła widelec, kiedy bez pytania postawił na stoliku kubek i miseczkę z sałatką, przysunął sobie krzesło i usiadł.

Dostrzegł jej zdumienie, co trochę go rozbawiło. Rozłożył na kolanach serwetkę, zdjął plastikową pokrywkę z miseczki i sięgnął po widelec.

- Siedzenie na podłodze zbyt rzucałoby się w oczy? - spytała oschle.

Spojrzał na nią uważnie, a potem pochylił się nad sałatką z tuńczykiem.

- Dobrze ci to wychodzi - stwierdziła.

- Co takiego? - spytał. Przełknęła kawałek gruszki i wyprostowała się.

- Traktowanie mnie z góry - odparła. - Pewnie już w chwili poznania zdenerwowałam cię tym, że w ogóle żyję.

- Nie opowiadaj bzdur - mruknął, pijąc kawę. Spojrzał na zegarek. - Myślałem, że chodzisz na lunch o wpół do pierwszej.

Skrzyżowała długie nogi okryte białymi spodniami.

- Zwykle o tej porze wychodzę. Ale dziś nie powinieneś operować w O'Keefe.

Czarne oczy Ramona błysnęły lekko.

- Więc mnie unikasz?

- Oczywiście - rzuciła krótko. - Przecież tego chcesz. Nawet nie musisz mi o tym mówić. - Patrzyła smętnie w swoją kawę.

Studiował przez moment jej profil. Nie była piękna, jak Isadora, lecz była szczupłą, miała kształtną figurę, choć rysy raczej pospolite, włosy ani blond, ani jasnokasztanowe, a oczy bardziej szare niż niebieskie. Nigdy nie widział jej umalowanej. Właściwie chyba nie dbała o swój wygląd, choć zawsze była czysta i elegancka. W odpowiednim ubraniu i fryzurze byłaby całkiem atrakcyjna. Zmrużył oczy, spoglądając na gruby kok upięty na karku Noreen. Nigdy nie widział jej z rozpuszczonymi włosami. Już od dawna zastanawiał się, jak by wtedy wyglądała.

Dostrzegła jego spojrzenie i zarumieniła się.

- Czuję się jak pod mikroskopem - mruknęła. - Mógłbyś przestać się na mnie gapić?

Wiem, że uważasz mnie za kogoś w rodzaju morderczyni, ale nie musisz tego okazywać publicznie.

Zmarszczył czoło.

- Nie powiedziałem ani słowa. Skrzywiła wargi w uśmiechu. W szarych oczach dostrzegł rozczarowanie i smutek.

- Nie - przyznała. - Nigdy nic nie mówisz. Chociaż jesteś Latynosem, ale nie zachowujesz się jak oni. Nie wybuchasz gniewem, nie rzucasz ciężkimi przedmiotami, nie przeklinasz. Jednym spojrzeniem potrafisz zdziałać więcej niż większość lekarzy machaniem rękami w furii. Nic nie musisz mówić. Twoje oczy mówią za ciebie.

Zmrużył je.

- A co ci mówią?

- Że obwiniasz mnie o śmierć Isadory - odparła cicho. - I bardzo mnie nienawidzisz. Budzisz się co rano i żałujesz, że to nie ja umarłam.

Zacisnął zęby, żeby powstrzymać odpowiedź. Ale oczy mu zaślniły.

- Może w to nie uwierzysz - dodała znużona Noreen - ale są chwile, kiedy chciałabym umrzeć. Nikt z was nie uświadamia sobie, że ja też ją kochałam. Dorastałam z Isadora. Była może trochę okrutna, lecz kiedy chciała, potrafiła być miła. Brakuje mi jej.

Nie mógł powstrzymać słów pełnych gorzkości.

- W dziwny sposób okazałaś tę troskę - mruknął cicho.

- Zostawiłaś chorą samą w mieszkaniu, żeby umarła. - Gdy tylko to powiedział, natychmiast pożałował swoich słów, ale było za późno.

Noreen przymknęła oczy. Poczula się słabo, zakręciło się jej w głowie, co ostatnio zdarzało się często. Oddychała szybko i płytko. Zaciskając dłonie pod stołem, usiłowała zachować spokój, żeby się nie zdradzić. Ramon był znakomitym lekarzem; jeśli przyjrzy się jej dokładnie, nie zdoła ukryć przed nim stanu swego zdrowia. Mógłby powiedzieć coś w administracji szpitala...

Po chwili uniosła głowę. Błada, lecz już nieco silniejsza, powiedziała:

- Muszę już iść. - Wstała powoli i ostrożnie, opierając się o krzesło.

- Czy ty w ogóle śpisz? - zapytał nagle.

- Chcesz powiedzieć, czy moje sumienie pozwala mi zasnąć? - spytała z chłodnym uśmiechem. - Owszem, jeśli chcesz wiedzieć, nie pozwala. Uratowałam Isadorę, gdybym mogła.

- Nigdy nie powiedziałaś, co się właściwie stało - zauważył.

To stwierdzenie ją zaskoczyło.

- Próbowałam - przypomniała mu. - Próbowałam wam powiedzieć, ale nikt nie chciał mnie wysłuchać.

- Może teraz bym chciał - odparł.

- O dwa lata za późno. - Wzięła tacę ze stolika. - Wtedy chciałam ci o wszystkim powiedzieć, ale teraz to już nie ma znaczenia. - Oczy miała spokojne, niezdradzające żadnych uczuć. - I nie ma znaczenia, co o mnie myślicie.

Odwróciła się i wolno podeszła do pasa transportera, na który odłożyła tacę. Nawet się nie obejrzała, wyszła za drzwi i ruszyła do windy.

Ramon odprowadzał ją wzrokiem pełnym żalu. Czy zawsze musiał ją ranić? Ostatnio poruszała się jakby wolniej. Nadal nie spotykała się z nikim, nie słyszał na jej temat żadnych plotek. Nawet kiedy mieszkała z rodzicami Isadory, zawsze siedziała z nosem utkwionym w podręcznikach medycznych. Przypomnił sobie, że ukończyła wydział pielęgniarstwa z najwyższą oceną.

Sączył kawę i wspominał dzień, w którym pierwszy raz ją zobaczył. Spotkał Isadorę na bankiecie dobroczynnym i natychmiast coś między nimi zaiskrzyło. Partnera Isadory szef wezwał na późne spotkanie w interesach, więc Ramon zaproponował, że odwiezie tę piękną blondynkę do domu. Zgodziła się natychmiast.

Mieszkała w wielkim domu na przedmieściach Atlanty. Gdy przedstawiła rodzicom Ramona, traktowali go z rezerwą, dopóki Isadora nie powiedziała, że jest lekarzem i jaką zyskał już sławę.

Noreen była w domu. Zwinęła się w wielkim fotelu przy kominku z podręcznikiem anatomii w rękę. Jeszcze teraz pamiętał jej oczy, gdy podeszli do niej z Isadorą. W ich delikatnej szarości płonął ogień, ogromny, jasny, pełen ciepłych tajemnic. Zrobił na niej wrażenie, co dostrzegł na jej twarzy i w lekkim drgnieniu dłoni, kiedy się witali. Ale wtedy patrzył tylko na Isadorę.

Przez długie tygodnie, kiedy zalecał się do Isadory, nieobecność Noreen stawała się podejrzana. Nie została zaproszona na wesele. Później było mu wstyd, gdy przypomniał sobie, jak nieuprzejmie zachowała się Isadora. Była jakby zazdrosna o kuzynkę. Wydawało się, że lubi szukać sposobów poniżenia Noreen, dawać jej do zrozumienia, że jest niemile widziana lub że jej nie dorównuje.

Isadora była piękna i elokwentna, lubiana w towarzystwie. Ale wewnątrz była pusta, w przeciwieństwie do Noreen. Ta zazdrość o kuzynkę doprowadziła do kłótni przed wyjazdem Ramona do Paryża, tuż przed śmiercią Isadory.

Przymknął oczy i zadrżał, przypominając sobie, co wtedy powiedział, jakie padły

słowa. Potem obwiniął o wszystko Noreen, ale on też ponosił winę za śmierć żony.

Jakiś ruch przy sąsiednim stoliku oderwał go od tych myśli. Spojrzał na zegarek i szybko dokończył posiłek. Musiał wracać do pracy.

Noreen chciała jak najszybciej wrócić z pracy do domu. Z każdą chwilą czuła się słabsza, oddychała z trudem, miała mdłości, a jej serce biło nierówno. Położyła się do łóżka i zasnęła, zanim uświadomiła sobie, jak bardzo jest senna. Była zbyt zmęczona, by zjeść jakąkolwiek kolację.

Rano czuła się lepiej, a puls miała mniej nieregularny. Musiała wracać do pracy. Jeśli straci posadę, straci też ubezpieczenie, a było ono niezbędne przy operacji zastawki serca. Operacja była kosztowna, ale bez niej nie pożyje zbyt długo. Wiedziała, że uszkodzona zastawka przecieka. Tak powiedział jej kardiolog. Ale wiedziała też, że ludzie żyją czasem z taką zastawką bardzo długo. Wszystko zależy od rozmiarów uszkodzenia, a także poziomu opieki medycznej. Od śmierci Isadory aż do teraz właściwie nie miała z sercem większych problemów.

Pijąc sok pomarańczowy skrzywiła się na wspomnienie chorej Isadory i tego, że Ramon dopiero teraz chciał się wszystkiego dowiedzieć. Nie miała zamiaru mu mówić. Nie było dla niej miejsca w jego życiu. Zapłaciła zbyt wysoką cenę za swoje uczucia. Samotność jest bezpieczna.

Czasami Noreen zastanawiała się, o co Ramon pokłócił się z Isadora, że ta chora i z gorączką wyszła na lodowaty deszcz. Dostała, co prawda, antybiotyk, lecz później Noreen odkryła pełną fiolkę leku, schowaną pod materacem.

Isadora była wściekła na Ramona, że nie chciał zabrać jej do Francji. Przynajmniej tak twierdziła, ale pokojówka mówiła o głośnej kłótni, o której nikt nigdy nie wspomniał. Ramon powiedział, że Isadora chce go ukarać, mówił też o jej kochanku. I chociaż Isadora próbowała przedstawiać swoje małżeństwo jako wzór doskonałości, Noreen wiedziała, że takie nie było.

To dziwne, że Ramon próbował je idealizować teraz, gdy Isadora umarła.

Noreen zastanawiała się, czy Isadora naprawdę chciała umrzeć, czy po prostu nie doceniła zagrożeń swojego postępowania. Może nie przyszło jej do głowy, że chore płuca przestaną funkcjonować. Przez cztery lata była żoną chirurga, ale ani nie rozmawiała z nim o jego pracy, ani nie interesowała się medycyną.

Ramon nie wiedział, że Isadora świadomie wyszła na deszcz i zimno. Pokojówka po tym, jak znalazła jej ciało, wpadła w histerię i nie wróciła już nawet po pensję. A zatem Ramon wiedział tylko tyle, że Noreen zostawiła Isadorę samą. Ani on, ani rodzice Isadory nie pozwolili opowiedzieć jej całej historii. Rozpaczali, przeklinali ją i wciąż obwiniali o śmierć córki.

Nie lubili jej, oczywiście, i nie dbali o to, co czuje po stracie kuzynki. Isadora i Noreen dorastały razem, lecz Kensingtonowie usunęli Noreen ze swego życia. To zaproszenie na kawę bardzo ją zaskoczyło. Rozmowa się rwała i Noreen nie wspominała dobrze tej wizyty. Podejrzewała, że znajomi wujostwa zaczęli plotkować, że ją odepchnięto. Nie wyobrażała sobie innego powodu zaproszenia. Wiedziała, że ciotka nienawidziła plotek.

W pracy zdołała przeżyć cały dyżur bez wyraźnych kłopotów, ale częste zadyszki naprawdę ją niepokoiły.

Po południu umówiła się ze swoim kardiologiem z Macon i zajrzała do niego po dyżurze. Był wysokim jasnowłosym mężczyzną. Uśmiechał się często i był sympatyczny.

Zrobił badania i osłuchał jej serce.

- Jest pani pielęgniarką - przypomniał jej. - Potrafi pani chyba stwierdzić, kiedy serce nie działa jak należy?

- Tak, ale miałam nadzieję, że to z przepracowania.

- To prawda - przyznał. - Lecz nieszczelność zastawki trochę się powiększyła. Musi pani pójść na operację, i to szybko. Nie chcę pani straszyć, ale jeśli ta zastawka nagle puści, może zabraknąć czasu, by dowieźć panią do szpitala. Na pewno zdaje sobie pani z tego sprawę.

Oczywiście. Czy mogła mu wytłumaczyć, że czasem z ulgą myślała, że skończą się wreszcie zarzuty i wrogość Ramona?

Umieram z powodu nieszczęśliwej miłości, pomyślała i uśmiechnęła się. Mam złamane serce, nie tylko w przenośni.

- Nie ma się z czego cieszyć - odparł stanowczo lekarz, źle interpretując jej uśmiech. - Muszę porozmawiać z ordynatorem i ustalić termin operacji. - Zmrużył oczy. - Dlaczego nie zwróci się pani o pomoc do męża kuzynki? To jeden z najlepszych kardiochirurgów w kraju.

- Nie wie, że jestem chora, a ja nie chcę mu o tym mówić.

- Dlaczego?

- Mógłby opowiedzieć komuś o moim stanie zdrowia i wtedy straciłabym pracę - wyjaśniła. - Nie mogę sobie na to pozwolić. Teraz ważne jest moje ubezpieczenie. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, jakie mam kłopoty ze zdrowiem.

- Nie wyrzucą pani z pracy.

- Mogą to zrobić - odparła. - Trudno ich za to potępiać. Pielęgniarka powinna cieszyć się idealnym zdrowiem, skoro odpowiada za życie pacjentów na oddziale. Zdaję sobie sprawę z moich ograniczeń. Dlatego nalegałam, żeby na dyżurze towarzyszyła mi inna pielęgniarka. Na wszelki wypadek. - Uśmiechnęła się lekko. - Oczywiście nie powiedziałam im, dlaczego.

- Prowadzi pani niebezpieczną grę. - Pokręcił głową. - Może pani umrzeć.

Wstała z krzesła.

- Wszyscy kiedyś umrzemy. Lekarz wstał także.

- Proszę nie czekać zbyt długo - poprosił. - Jest pani lubiana w O'Keefe. Mam tam pacjentów i docierają do mnie plotki. - Przyjrzał się jej bladej twarzy. - Nadal nie powiedziała pani doktorowi Cortero, dlaczego nie było pani wtedy przy jego żonie?

Pokręciła głową.

- Teraz to już nie ma znaczenia. - Odgarnęła kosmyk jasnych włosów. - Jest mi łatwiej, gdy mnie nienawidzi. Proszę nie pytać, dlaczego.

- Nie będę. Ale proszę obiecać, że zdecyduje się pani szybko.

- Dobrze - odparła i odetchnęła głęboko. - Zastanawiam się, na jak długo będę musiała przerwać pracę. Nie wiem, za co przeżyję.

- Pani ciotka i wuj wyposażyli cały oddział pediatryczny w St. Mary. Na pewno pani pomogą.

Roześmiała się.

- Nienawidzą mnie bardziej niż Cortero. - Wzruszyła ramionami. - I dobrze. Jeśli umrę na stole operacyjnym, nikt nie będzie po mnie płakał.

Podziękowała mu i wyszła, ściskając w ręku recepty. Leki ustabilizują puls i rozrzedzą krew, pozwolą zyskać trochę czasu przed operacją. Za trzy tygodnie powinna mieć dość oszczędności, by zapłacić czynsz na dwa miesiące z góry. Jeśli ubezpieczenie pokryje osiemdziesiąt procent rachunku za pobyt w szpitalu, powinna to wytrzymać finansowo.

- Wyglądasz jak topielica - powiedział Brad Donaldson, kiedy weszła na oddział.

Brad był technikiem, i to dobrym. Zaczął pracować w O'Keefe cztery lata temu, razem z Noreen. Był jej jedynym przyjacielem. Bradowi biło serce na widok młodej lekarki, pracującej w pogotowiu, lecz ona zupełnie go nie dostrzegła. Połączyła ich więc nieszczęśliwa miłość, choć Brad nie miał pojęcia, do kogo wzdycha Noreen.

- I tak się czuję - odparła. Przechylił blond głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- Masz fatalną cerę.

- Wiem. - Próbowwała uspokoić oddech. - Nic mi nie będzie. Lekarz dał mi coś, co ustabilizuje serce.

- Może mógłbym ci pomóc? Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, to mój problem. Poradzę sobie.

- Martwisz mnie - mruknął. - Dlaczego pielęgniarki nigdy nie chcą przyznać, że są chore?

- Bo są dzielne, ale głupie - podpowiedziała i uśmiechnęła się. - Chodź. Musimy podać

lekarstwa, obiad, a potem będzie obchód. Rozkręcimy ten cyrk.

- Ty idź przodem.

Kobietę z wadą zastawki przywieziono na oddział tuż przed końcem dyżuru. Noreen dopilnowała, by sanitariusze położyli chorą na łóżku, podłączyła tlen i kroplówkę, sprawdziła na karcie, czy chirurg nie zlecił stosowania leków. To była pacjentka Ramona - poznała po podpisie na karcie.

Kobieta otworzyła oczy. Była blada, słaba i przestraszona. Noreen położyła jej dłoń na czole i łagodnie odgarnęła siwe włosy.

- Jest pani na oddziale kardiologii. Zajmiemy się panią. Jestem Noreen. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę nacisnąć ten guzik. - Ułożyła szczupłe palce kobiety na przycisku w poręczy łóżka. - Dobrze?

- Pić - wychrypiała kobieta.

- Czy jest tu pani rodzina? - spytała Noreen.

- Nie mam nikogo - wyszeptała. - Nikogo... na świecie. Noreen wiedziała, że już niedługo ona też będzie się tak czuła po operacji. Zupełnie sama, bez przyjaciółki, która by usiadła przy łóżku i pottrzymała ją za rękę. Na operację pojedzie do Macon, by Ramon o niczym się nie dowiedział. Tak więc nawet Brad przy niej nie usiadzie.

- Przyniosę pani trochę lodu - powiedziała. - To pomoże. Zaraz podam leki.

- Dziękuję - szepnęła chrapliwie kobieta.

- To moja praca. - Noreen uśmiechnęła się. - Zaraz wracam.

Przy automacie z lodem spotkała żonę jednego z pacjentów. Napełniała lodem wiaderko.

- Jestem całkiem zbędna - oświadczyła. - Już sam potrafi nalać sobie soku i wziąć lód.

Oczy Noreen błysnęły.

- A chciałyby pani podawać lód nowej pacjentce, zaraz obok? Nie ma rodziny, a umiera z pragnienia.

- Z przyjemnością - odparła kobieta. - Biedactwo. Moja rodzina jest taka liczna, że wyznaczyliśmy ochotników, którzy czuwają tu dniem i nocą. Ale Saul chce, żebyśmy dali mu spokój i nie przeszkadzali w oglądaniu seriali. - Parsknęła śmiechem. - Nie ma pani pojęcia, jaka to radość widzieć go, jak siedzi na łóżku i znów się uśmiecha. Myślałam, że go stracimy.

- Cieszę się, że mąż czuje się lepiej. Pani Charles będzie wdzięczna za każdą chwilę, jaką zechce jej pani poświęcić.

- Z chęcią to zrobię. Noreen zaprowadziła ją do pokoju i przedstawiła starszej kobiecie. Panie od razu nawiązały ze sobą kontakt.

Potem wróciła do dyżurki, wypila trochę kawy i wprowadziła do komputera informacje o pani Charles.

Brad zatrzymał się obok niej.

- Chyba nie powinnaś przyswajać tyle kofeiny - szepnął tak, by tylko ona słyszała.

- Nie pomyślałam o tym. Chyba rzeczywiście nie powinnam. - Skrzywiła się.

- Trzeba na ciebie uważać, mała. - Położył jej dłoń na ramieniu i uśmiechnął się.

Wchodząc na oddział, Ramon zobaczył Brada pochylającego się nad Noreen. Zobaczył jego uśmiech i dłoń spoczywającą poufale na ramieniu dziewczyny. Ogarnął go gniew.

Zatrzymał się przed dyżurką i spojrzał na Noreen. Zauważyła go i przestała się uśmiechać.

- Chcę zobaczyć panią Charles - powiedział bez wstępów. - Czy znajdziesz chwilę czasu? - dodał, zerkając gniewnie na Brada, który aż się zaczerwienił.

- Jest tam - odparła Noreen i poprowadziła Ramona, nie oglądając się na kolegę.

Uwaga Ramona była niegrzeczna i niesprawiedliwa. Pracowała równie ciężko jak on. Brad był miły, a Ramon pewnie nie mógł pojąć, że ktoś może ją uprzejmie traktować.

Starsza pani uśmiechnęła się ciepło do Ramona.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem i wyciągnęła do niego rękę. - Uratował mi pan życie.

- Z przyjemnością - odparł i ujął jej dłoń. - Zapisalem pani coś przeciwbólowego. Proszę brać w razie potrzeby, lecz najważniejszy jest wypoczynek. Za dzień lub dwa będzie pani już chodzić. - Zmarszczył brwi. - Ma pani rodzinę?

Pokręciła głową.

- Wszyscy moi bliscy już nie żyją - wyjaśniła ze smutkiem. - Ale pani Green podaje mi lód. To pomysł tej miłej panienki.

Ramon spojrzał na Noreen.

- Oszczędzasz siły? - spytał cichym, lecz oskarżycielskim tonem.

Noreen zignorowała tę uwagę i poprawiła pościel pani Charles.

- Gdyby coś było pani potrzebne, proszę dzwonić - powiedziała.

- Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy.

- Łatwo być dobrym dla kogoś tak miłego jak pani - odparła Noreen z uśmiechem.

Ramon zbadał pacjentkę, mruknął coś z zadowoleniem, pożegnał się uprzejmie i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Jak śmiesz powierzać gościom opiekę nad moją pacjentką? - zapytał wściekły, podnosząc głos.

Serce Noreen podskoczyło i zabiło nierytmicznie. Musiała nabrać tchu, zanim odpowiedziała.

- Nie powierzyłam opieki gościom - rzuciła. - Mąż pani Green czuje się dobrze, jest gotów do wyjścia i nie chce, żeby żona ciągle przy nim siedziała. Szukała jakiegoś zajęcia, a ja nie mam czasu, by co pięć minut podawać lód pacjentom. Znam swoje obowiązki, doktorze. Nie trzeba mnie uczyć, jak je wykonywać.

Nie mógł odmówić jej racji, ale wcześniej rozwścieczyła go poufalskość Brada, a jeszcze bardziej fakt, że się tym przejął.

- Karta mojej pacjentki ma być systematycznie uzupełniana. Jeśli nastąpi jakakolwiek zmiana jej stanu, chcę o tym wiedzieć. Nawet jeśli to będzie o trzeciej w nocy.

- Tak, panie doktorze. - Teatralnym gestem chwyciła się za serce. - Ona ma arytmie.

- Zwlekała z operacją - odparł. - Jej stan wciąż jest poważny. Uważaj na nią.

- Na pewno będę.

Irytowała ją świadomość, że przy operacji zastawek czas jest ważnym czynnikiem. A jeśli i ona czekała już zbyt długo? Była młodsza od pani Charles, ale też miała arytmie...

Ramon dostrzegł nieregularne poruszenia płóciennego fartucha.

- Dobrze się czujesz? - Zmarszczył czoło. - Twoje serce bije chyba w dziwny sposób.

Oddychała zbyt szybko.

- To dlatego, że stoję tak blisko pana, doktorze - szepnęła dramatycznie, lecz tak cicho, że nikt poza nim nie mógł tego usłyszeć. Szeroko otworzyła oczy. - To takie podniecające...

Mruknął coś po hiszpańsku, a Noreen była zadowolona, że nie potrafi tego przetłumaczyć. Potem odwrócił się i odszedł. Noreen odetchnęła z ulgą. Jakoś przeżyła ten nieoczekiwany przyływ jego ciekawości. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle zauważył, co dzieje się z jej sercem. Pewnie byłby zadowolony, gdyby całkiem przestało bić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Trzy dni później lęk o zdrowie i napięcie w pracy powaliły Noreen. Nawet nie mogła podnieść się z łóżka. Zadzwoiła do pracy zawiadamiając, że jest chora i tłumacząc to atakiem grypy. Obiecała, że wróci do szpitala za dwa dni. Myślała, że przez ten czas odpocznie i opanuje osłabienie. Miała tylko nadzieję, że to z przepracowania, a nie z powodu pogarszającego się stanu serca.

Brad wpadł po pracy i przyniósł jej trochę zupy i kanapki. Była tak słaba, że ledwie doszła do drzwi, a kiedy wróciła do łóżka, brakowało jej tchu.

- Tak być nie może - stwierdził ponuro Brad, siadając przy łóżku. - Zabijesz się, jeżeli nie pójdziesz na tę operację.

- Potrzebuję... jeszcze trzech tygodni... żeby więcej zaoszczędzić. - Była blada i wyczerpana. - Wtedy wystarczy mi na czynsz, zanim... dojdę do siebie.

- Uparta kretynka - mruknął cicho. - Twoja rodzina nie widzi, co się z tobą dzieje?

- Nie widuję ich. To tylko ciotka i wuj... Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym wiele lat temu.

- Ci ludzie wychowali cię. Czy w ogóle nie interesują się twoim losem?

- Interesowali się trochę, zanim umarła Isadora - odparła Noreen ze smutkiem. - Chciałabym zmienić przeszłość. Tak bardzo bym tego pragnęła.

- Biedne maleństwo. - Brad westchnął ciężko i poklepał ją po dłoni. - Możesz coś zjeść? Masz tu zupę i kanapki.

- Dzięki. Zjem wieczorem, bo w tej chwili nie mogłabym niczego przełknąć.

- Zadzwońię po lekarza. Pokręciła głową.

- Jeszcze nie. Rano na pewno poczuję się lepiej. Nie muszę iść do pracy, mam dwa dni urlopu.

- Przez ten czas przynajmniej zostań w łóżku - poprosił. - Unikaj wysiłku.

Posiedział jeszcze kilka minut, a potem poszedł na dyżur. Kiedy Noreen zamknęła za nim drzwi, poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie zjadła zupy, bo zasnęła i spała aż do następnego dnia. I chociaż rzeczywiście czuła się lepiej, to jednak nadal niezbyt dobrze.

Rankiem, kiedy już wracała do pracy, lało jak z cebra. Tuż za drzwiami domu usłyszała żalosne miauczenie. Rozejrzała się i pod krzakiem przy chodniku zauważyła małego kotka. Był zmarznięty, trząśł się i był straszliwie wychudzony.

- Małe biedactwo - powiedziała i podniosła go. Mruczał ocierając głowę o jej podbródek. Przyjrzała mu się ze smutnym uśmiechem. W jej domu nie można było trzymać zwierząt. Ale jeden mały kotek...

Wsunęła go pod pachę i wróciła do mieszkania. Zdyszana, zostawiła kotka w kuchni, stawiając na podłodze miskę z mlekiem i reszką klopsa. Przygotowała wyścieloną gazetami pokrywkę pudełka i zamknęła pokój. Jeśli ją wyrzucą, poszuka sobie mieszkania gdzie indziej. Przecież nie mogła zostawić tego biednego kotka na deszczu.

Dotrzyła mi towarzystwa, pomyślała. Wsiadła do samochodu i próbowała uruchomić silnik, który szwankował od dawna, lecz na razie nie było jej stać na naprawę auta. I właśnie dzisiaj samochód nie chciał ruszyć.

Posiedziała chwilę, by wyrównać oddech, a potem wysiadła i poszła na przystanek.

Nadjechał autobus i dotarła nim do pracy.

To był najdłuższy dzień w życiu Noreen. Dwie pielęgniarki z jej oddziału rozchorowały się na gripę. Było za mało personelu i w rezultacie musiała zostać na drugi dyżur. Te dodatkowe godziny mocno dały jej się we znaki.

- To jest bez sensu - mruknął Brad, patrząc, jak oddycha z trudem, opierając się o ścianę w dyżurce. - W. tym tempie długo nie pociągniesz.

- Muszę pracować - odparła ze znużeniem. - Nie było kogo wezwać, a w końcu miałam dwa dni urlopu.

Przyjrzał się jej bladej cerze.

- Wyglądasz gorzej niż w domu.

- Dzięki. Ty też jesteś przystojny. Zachichotał.

- Co ja mam z tobą zrobić?

- A nie masz się czym zająć? - mruknęła.

- O to samo chciałem zapytać - odezwał się głęboki głos od drzwi.

Odwrócili się oboje. Ramon Cortero z kartą pacjenta w dłoni spoglądał na nich gniewnie.

- Czy któreś z was tu pracuje? Dlaczego mój pacjent nie dostał lekarstwa o piątej? - Machnął kartą.

Noreen zamrugła nerwowo powiekami.

- Który pacjent?

- Hayes - rzucił oschle. - Jest już ósma.

- Nie zdążyłam - tłumaczyła się. - Przepraszam. - Odsunęła się od ściany. - Zaraz mu podam.

- A ja obejrzę karty moich pozostałych pacjentów - rzekł gniewnym tonem. - Muszę sprawdzić, czy nie było innych... zaniedbań. - Wyszedł za nią, zerkając gniewnie na Brada.

- To nie wina Brada - zaczęła.

- Och, dobrze o tym wiem - odparł, a oczy mu błysnęły. - Jest podatny na uwodzenie jak większość mężczyzn.

Zacisnęła zęby.

- Ja nikogo nie uwodzę.

- Nazwij to, jak chcesz. Zaczekam, aż podasz lek panu Hayesowi.

Wciąż zgrzytając zębami, wzięła tabletki. Miał rację, spóźniła się, co mogło mieć poważne następstwa. Gdyby nie to, że pracowała drugą zmianę po dwóch dniach spędzonych w łóżku, nigdy by do tego nie doszło.

Podawała Hayesowi lek i sprawdziła wszystkie inne zalecenia. Główne badania były zaznaczone, lecz zapomniała zmierzyć temperaturę pani Green. Miała ochotę głośno jęknąć.

- Nie zgłoszę tego - obiecał Ramon, kiedy skończył obchód. - Ale jeśli popełnisz jeszcze jeden błąd, pójdę prosto do dyrektora. Nie będę ryzykował zdrowia pacjentów z powodu niekompetencji pielęgniarki.

- Nie jestem niekompetentna.

- Flirtuj z Donaldsonem w czasie wolnym - dodał uprzejmie.

- Nie flirtuję...

Nie słuchał dalszych usprawiedliwień. Zagniewany wyszedł z oddziału.

Noreen powstrzymywała łzy. Miała wrażenie, że z każdym dniem Ramon bardziej jej nienawidzi. Nigdy nie zmieni o niej zdania.

Brad wyszedł z pokoju pacjenta po podłączeniu inhalatora.

- Poszedł już? - zapytał i rozejrzał się wokół. Kiwnęła głową i odgarnęła włosy.

- Nie wiem, co zrobię. Zaniedbuję moje obowiązki. Ktoś przez to mógł umrzeć.

- Nie od tego, że dostał lek trochę później - pocieszył ją. - Powiniennem być uważniejszy i pilnować cię. - Objął ją ramieniem. - Głowa do góry, dziewczyno. Jakoś to, przeżyjesz.

- Mam nadzieję - odparła ze znużeniem. Zerknęła na zegarek. - Jeszcze godzina i wracam do domu.

- Idź do lekarza - poradził jej z powagą Brad. - Ryzykujesz życie.

Zgarbiła się.

- Chyba tak. Może dodatkowe pieniądze nie są tak ważne. Lubisz koty? - spytała z nadzieją.

Pokręcił głową.

- Mam alergię na ich sierść. Dlaczego pytasz?

- Och, mniejsza z tym.

Musiała przecież coś zrobić z kotem.

Skończyła pracę, przekazała swoje uwagi następnej pielęgnowarce i z trudem trzymając się na nogach, wyszła ze szpitala. Wciąż padał deszcz i było zimno, ale przez resztę dnia słyszała surowe słowa Ramona. Nawet nie zauważyła wilgoci na policzkach.

Ramon przyszedł na oddział pół godziny po wyjściu Noreen i raz jeszcze zbadał swoich pacjentów. Szczególnie dokładnie obejrzał mężczyznę, który za późno otrzymał leki. Stwierdził, że jego stan się poprawia.

Po tej napaści na Noreen czuł się trochę nieswojo. To do niej niepodobne, żeby przeoczyła wskazówki lekarza. Nie wiedział, co się z nią dzieje.

Brad wychodził właśnie ze sprzętem z pokoju pacjenta; zobaczył czekającego Ramona. Uniósł głowę, spodziewając się ataku, bo lekarz wyglądał groźniej niż zwykle.

- Dlaczego Noreen nie podała leku na czas? - zapytał Ramon wprost.

Brad skrzywił się.

- Ponieważ wróciła po dwóch dniach choroby i musiała pracować przez dwie zmiany.

Dwie nasze pielęgniarki chorują na gripę.

Ramon zeszywniał.

- Rozumiem. Brad spojrział mu w oczy.

- Powinien pan dokładnie przyjrzeć się Noreen - rzucił cicho.

- A o co chodzi? Brad bardzo chciał mu powiedzieć prawdę, ale przyrzekł zachować tajemnicę.

- Mniejsza z tym. To nie moja sprawa. - Skinął Ramonowi głową i odszedł.

Ramon zrobił notatki, skończył pracę i wrócił do domu. Ale już wstawiając samochód do garażu wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie przeprosi Noreen. Westchnął głęboko, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na ulicę, by odwiedzić ją w jej domu.

Wydawała się zaskoczona, gdy usłyszała jego głos w domofonie, ale wpuściła go do środka. Czekala w progu.

- Czego chcesz? - spytała, przytrzymując pod szyją kołnierz niebieskiego szlafroka. Była boso i miała potargane włosy, jakby leżała w łóżku, a przecież nie było jeszcze dziesiątej.

- Donaldson powiedział, że pracowałaś przez dwie zmiany - rzucił krótko. - Nie wiedziałem o tym.

- Czy to ma znaczenie? - Uniosła lekko brwi. - Nie sędzę.

- Mimo to nie chciałem na ciebie napadać z powodu... - przerwał, słysząc jakiś cichy odgłos. - Co to?

Skrzywiła się i spojrzała w głąb korytarza. Otuliła się mocniej szlafrokiem i cofnęła do mieszkania.

- Wejdz, proszę. Wszedł do małego saloniku, a Noreen szybko zamknęła drzwi. Mały kotek, miaucząc, wyszedł z kuchni.

Ramon wytrzeszczył oczy. Zwierzak był mniejszy od stopy Noreen, chyba ledwie odstawiony od piersi matki i wygłodzony. Noreen podniosła go i pogłaskała, a kociak zamruczał.

- Tu nie wolno trzymać zwierząt - wyjaśniła. - Ale nie mogłam go zostawić na deszczu. Jest taki mały.

Właśnie wtedy zaczął mieć wątpliwości, że Noreen mogłaby coś zaniedbać i przyczynić

się do śmierci Isadory. Nie potrafił oderwać wzroku od kociaka na jej rękach. Miała miękkie serce. Ludzie ją wykorzystywali, ponieważ pozwalała im na to. Ciotka wiecznie narzekała, że sprowadza do domu jakieś znalezione zwierzaki, które trzeba było podkarmić, a potem oddać w dobre ręce. Ciotka i wuj nie lubili zwierząt i Noreen nie wolno było żadnego zatrzymać, co jednak nie powstrzymało jej od ratowania różnych nieszczęśników.

Zaniepokoiło go to wspomnienie, gdyż mówiło wiele o charakterze tej dziewczyny. Nie zostawiłaby zagubionego kota na pastwę losu, więc skąd wziął się pomysł, że porzuciłaby ciężko chorą kuzynkę? Tak bardzo to do niej nie pasowało, że aż i zdumiał się, iż tak łatwo obwinił ją o śmierć Isadory.

Zauważyła nagłą błądź Ramona i mocniej przytuliła kotka.

- Czego chcesz? - spytała ostro. - Jestem bardzo zmęczona i chcę się położyć.

Spojrzał na nią inaczej niż zwykle. Twarz miała bardzo bladą z plamami czerwieni na policzkach. Oddychała szybko i nierówno, jakby jej serce biło nierytmicznie. Coś z nią było nie w porządku.

- Byłaś u lekarza? - spytał.

- Z powodu grypy? - Roześmiała się. - Po co mam niepokoić lekarza czymś, z czym sama sobie poradzę.

- Mam w samochodzie torbę... - zaczął. Jej nierówno bijące serce zupełnie oszalało na myśl, że Ramon mógłby ją badać.

- Mam swojego lekarza - wycodziła przez zęby. - Czy sądzisz, że pozwoliłabym ci się zbadać, nawet na łóżu śmierci? - dodała z goryczą. - Nie mogę dopuścić, byś podszedł do mnie ze skalpelem w ręku. Pokusa mogłaby być zbyt silna.

Syknął głośno.

- Jak śmiesz! - warknął. Czowała się tak fatalnie, że nie przestraszyło jej to groźne spojrzenie.

- Jestem zmęczona - oznajmiła i cofnęła się o krok. - Czy mogę już się położyć?

Zawahał się. Coś było z Noreen nie w porządku, ale ponieważ mu nie ufała, nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Nagle zabrakło mu pewności siebie, poczuł się winny, choć nie wiedział, dlaczego. Przyjrzał się jej raz jeszcze; dostrzegł wychudzenie i ciemne kręgi pod oczami.

- Jesteś chora - stwierdził nagle cicho, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

- Jestem zmęczona - powtórzyła. - Za szybko wstałam z łóżka po grypie i za długo pracowałam. Jutro poczuję się lepiej. I nie potrzebuję lekarza, żeby mi to tłumaczył.

Miała szeroko rozstawione kości policzkowe i piękne usta. Dostrzegł też, że włosy

związała w koński ogon i znów się zastanowił, jak by wyglądała z rozpuszczonymi.

- Proszę, idź już - powtórzyła nerwowo. Nie chciał wychodzić. Naprawdę się o nią martwił.

- Przynajmniej pozwól się zbadać innemu lekarzowi - powiedział.

- Bardzo chętnie, ale nie dzisiaj. A teraz, czy mogę już iść do łóżka?

Ramon mruknął coś pod nosem i odwrócił się na pięcie.

- Jeśli rano nie poczujesz się lepiej, zostań w domu - poradził.

- Nie wydawaj mi poleceń - odparła chłodno. - Zrobię, co będę chciała.

Obejrzał się przez ramię. Niemal przez cały okres ich znajomości trzymała się na uboczu, ale nic nie mogło ukryć faktu, że była dzielną, niezależną i inteligentną kobietą. Isadora poddawała się jego woli, pochlebiała mu, budziła w nim namiętność, dopóki nie dostał obsesji na jej punkcie. Ale nie była inteligentna i nigdy nie walczyła z nim otwarcie. Raczej dąsała się i udawała chorobę, by wzbudzić jego współczucie. Nigdy nie ubrudziłaby sobie rąk mokrym kotkiem... Ta myśl go zaszokowała. Jak może być tak nielojalny wobec jedynej kobiety, którą kochał?

- Dobranoc - powiedział sucho. Zatrzymał się jeszcze w progu. - Zamknij za mną drzwi - dodał.

Spoglądała na niego gniewnie. Zatrzasnęła drzwi i zasunęła zasuwę, a potem oparła się o ścianę i z trudem łapała oddech. Dlaczego tu przyszedł? Czy naprawdę gryzło go sumienie? Nie potrafiła tego zrozumieć. Nigdy nie wyobrażała sobie nawet, że mógłby stanąć w progu jej domu.

W drodze do domu Ramon też zastanawiał się nad motywami swojego postępowania. Wciąż widział to skromne mieszkanie, brak jakichkolwiek luksusów, funkcjonalne meble. Najwyraźniej żyła z pensji, nie korzystając z pomocy ciotki i wuja. Czy był to jej wybór, czy po prostu Kensingtonowie ignorowali ją po śmierci Isadory? Nie mógł zapomnieć, że, tak samo jak on, obwiniali ją o śmierć córki.

Dręczyło go to i następnym razem, gdy jadł obiad w towarzystwie Kensingtonów, wprost zapytał ich o Noreen.

- Ma niezłą pensję - odparła Mary. - Poza tym nic jej nie jesteśmy winni. Jest odpowiedzialna za śmierć Isadory. Dlaczego interesujesz się tym, jak żyje?

- Przyniosła do domu znalezionego kotka. Mary machnęła ręką.

- Noreen zawsze lubiła brudne zwierzaki! Wciąż przynosiła je do domu. Nie pamiętam już nawet, jak często musieliśmy jeździć z nimi do weterynarza.

- Zawsze miała miękkie serce - dodał Hal Kensington. - Odziedziczyła tę cechę po

moim bracie - dodał ze smutkiem.

Ramon zmrużył oczy.

- Więc dlaczego kobieta o tak miękkim sercu świadomie zostawiła chorą kuzynkę?

Oboje wzruszyli ramionami.

- Nie zastanawialiście się nad tym, prawda? - zapytał spokojnie. - Nie zadaliście sobie też pytania, czy Noreen, wykwalifikowana pielęgniarka, mogłaby być tak nieczuła, żeby pozwolić umrzeć komukolwiek, a tym bardziej bliskiej osobie?

Spoglądali na niego w milczeniu. Po dwóch latach mogli już myśleć logicznie. Może po śmierci Isadory w ogóle nie myśleli?

- Widzieliście ją ostatnio? - zapytał.

- Zaprosiliśmy ją na kawę przed urodzinami Hala - przyznała Mary. - Ludzie zaczęli gadać, że się nią nie interesujemy. A dlaczego pytasz?

- Myślę, że jest chora - odparł Ramon. - Źle wygląda i traci oddech przy najmniejszym wysiłku. Czy jest pod opieką jakiegoś lekarza?

- Już od dawna nie mieszka z nami - wyjaśniła Mary. - A my niewiele wiemy o jej prywatnym życiu.

- Czy miała kiedyś robione wszystkie badania? Spojrzeli ze zdziwieniem.

- Zawsze była taka zdrowa... Wydawało nam się, że to niepotrzebne - powiedziała Mary, niemal zawstydzona.

Nie pytał ich o nic więcej. Ale obiecał sobie, że rozwiąże tajemnicę dziwnego zachowania Noreen i dowie się, co ona ukrywa.

Nie mógł jej zbadać, ale mógł ją obserwować. W następnym tygodniu spędził więcej czasu w szpitalu O'Keefe. Nie dziwiło to nikogo, gdyż miał tu kilku wracających do zdrowia pacjentów.

Stanął blisko Noreen, kiedy oglądali kartę pani Green. Słyszał jej zadyszkę, dostrzegł nieregularnie drgającą żyłę nad kołnierzykiem bluzki. Noreen była wyraźnie blada, z podkrążonymi oczami i osłabiona, co objawiało się apatią.

W końcu przyszło mu do głowy, że Noreen jest podniecona jego bliskością. Pamiętał jej drwiącą uwagę, którą wtedy zignorował. Lecz teraz widział, że reagowała na niego.

Niepokoilo go też, że on jest na to równie podatny jak ona. Zaczął dostrzegać piękno jej długich palców, skórę bez skazy, delikatny kształt ust. Zmuszał się, by za życia Isadory nie zwracać na nią uwagi, ale teraz przypominał sobie różne rzeczy. Jak się rumieniła, kiedy na nią patrzył, jak go unikała, jak nigdy właściwie nie potrafiła z nim rozmawiać, chyba że o pracy. Przez tyle lat zdradzała swoje uczucia do niego na setki sposobów, ale on świadomie nie chciał

tego zauważyć.

Spojrzał jej w oczy i widział, jak zwięzały się jej źrenice. Była tak delikatna, że chciał ją chronić. Nie odczuwał tego nigdy wobec Isadory. Obsesyjnie pragnął swojej żony, kochał ją, ale nie była kobietą, którą udawała w okresie narzeczeństwa. Po ślubie kłócili się bez przerwy: o to, że ona potrzebuje towarzystwa, o przyjęcia i spotkania. Nie chciała nawet rozmawiać o dziecku, brać na siebie takiej odpowiedzialności. Zmarszczył czoło, wspominając to wszystko.

- Nie musisz tak miażdżyć mnie wzrokiem - mruknęła Noreen, spoglądając na kartę pacjenta. - Nie spóźniłam się z lekami.

- Nie o to chodzi - powiedział wolno. Zauważył nierówny rytm jej oddechu. Odsunęła się od niego, ponieważ bliskość tego mężczyzny zawsze ją niepokoiła.

- Gdzie są pozostałe karty, które miałeś przejrzeć? - spytała niepewnie.

Włożył ręce w kieszenie fartucha i spojrzał na nią uważnie.

- Chcę, żebyś poszła do swojego lekarza i zrobiła wszystkie badania - oznajmił nagle, spoglądając w jej oczy. - Jesteś chora i próbujesz to ukryć. Ale to ci się nie uda. Nie możesz dłużej tak ciągnąć.

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Badałam się - wykrztusiła zdziwiona, że nagle zainteresował się jej zdrowiem.

- I co?

- Lekarz stwierdził, że potrzebuję więcej witaminy B12, i dał mi tabletki z żelazem - skłamała.

- To nie wyjaśnia tego. - Lekko dotknął jej krtani, gdzie nierówno bił puls.

Odkoczyła i zaczerwieniła się.

- Doktorze Cortero, nie mam obowiązku informować pana o stanie mojego zdrowia. Nie jest pan moim lekarzem.

- Nie, ale pracuję tutaj - odparł krótko. - Zalecam ci badania i ostrzegam, że zażądam kopii wyników. Odkładając to, narażasz nie tylko pacjentów, którzy są pod twoją opieką, ale i własne zdrowie.

Był zbyt spostrzegawczy, lecz Noreen wiedziała, że nie chodziło o nią. Nie chciał, by coś się stało jego pacjentom. Zabawne... jak mogła pomyśleć, że doktor Cortero spojrzy na nią z czułością i troską, jaką okazywał swojej żonie.

Spuściła głowę, patrząc na swoje białe buty.

- Dobrze - powiedziała znużona walką. - Wygrałeś.

- To nie są zawody - stwierdził z powagą.

- Nie? - spytała. - Dobrze, skontaktuję się z lekarzem.

- Cieszę się, że okazujesz rozsądek.
- Nie martw się, nie będę narażać twoich pacjentów. Zmarszczył brwi.
- Nie dlatego...
- Przepraszam - przerwała mu - ale do końca dyżuru daleko i mam jeszcze sporo pracy. Wzięła karty pacjentów i wyszła z dyżurki, nie oglądając się za siebie.
Ramon spoglądał na nią z mieszanymi uczuciami. Był jeszcze bardziej zakłopotany niż przedtem.

Noreen nie patrzyła, jak wychodzi z oddziału. Od tak wielu lat cierpiała z miłości, że jego pogardę uważała za rzecz naturalną. Jeżeli martwił się o jej zdrowie, to tylko z powodu pacjentów. Nie powinna o tym zapominać. Jest zbyt dorosła na głupie marzenia.

Z drugiej strony miał rację co do stanu jej zdrowia. Odkładała tylko to, co nieuniknione. Wróciła do domu i zadzwoniła do lekarza w Macon. Umówiła się, że za tydzień zgłosi się na operację.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Noreen wypięła na śniadanie filiżankę kawy. Musiała iść do pracy, a nie wiedziała, jak przetrwa kolejny dzień. Spojrzała w lustro, zobaczyła swoją bladą, zmęczoną twarz. Puls miała dzisiaj o wiele bardziej nieregularny niż zwykle. Oddychała z trudem. Może i dobrze, że zgodziła się pójść na operację. Spojrzała na chodzącego za nią kotka i przypomniała sobie, że musi oddać go komuś pod opiekę. To najważniejsza sprawa do załatwienia. Chwilowo wołała nie myśleć o swoich finansach.

Oparła się o urny walkę i pochyliła głowę. Trudno jej było myśleć rozsądnie, kiedy czuła nierówne i trochę przerażające uderzenia serca.

Chirurg zapewnił ją, że obecnie to będzie nieskomplikowana operacja i poddaje się jej wielu ludzi. A ona jest młoda i silna, więc nic jej nie grozi.

Oczywiście, że nic, przekonywała samą siebie. Ale gdzieś w głębi serca żałowała, że nie mogła być operowana przez Ramona. Jest najlepszy ze znanych jej kardiochirurgów.

Wyszła za próg i wszystko zaczęło się źle układać. Samochód nie chciał ruszyć. Zresztą nie pierwszy raz. Usłyszała obrzydliwy dźwięk i przypomniała sobie, iż mechanik uprzedzał ją ostatnio, że musi zmienić akumulator. Oszczędzała pieniądze, w nadziei że samochód wytrzyma jeszcze trochę. Spojrzała na zegarek i jęknęła. Musi biec na przystanek, a i tak się spóźni.

Gwałtownie zatrzęsnęła drzwi samochodu, zapominając, że w środku zostawiła

kluczyki i torebkę. Zdesperowana patrzyła na nią przez szybę. Portfel, karta kredytowa, klucze do mieszkania - wszystko zostało wewnątrz auta.

Nie będę wpadała w panikę, postanowiła. To bezpieczna okolica, więc nic się nie powinno stać. Później będzie się martwić o torebkę.

Miała na sobie płaszcz, a w kieszeni trochę drobnych na autobus i kanapki w pracy. Klucze będą jej potrzebne dopiero po powrocie, a właściciel, mieszkający z żoną na parterze, miał zapasowe.

Wybiegła na ulicę, dotarła na przystanek i wsiadła do autobusu, który miał ją zawieźć prosto do szpitala.

Ranek był chłodny i deszczowy. Myślała tylko o tym, żeby zdążyć do pracy. Nie zauważyła, że zadyszka, która zwykle szybko mijała, tym razem trwała dłużej, a serce biło inaczej. Dziwnie i przerażająco.

Ludzie wokół zmienili się w jasne plamy, potem w jeszcze jaśniejsze i nagle zniknęli.

Ramon kończył już pracę w St. Mary, kiedy wwieźli na salę pacjentkę z ulicy. NN, pomyślał zirytowany, taka, o której nie ma żadnych informacji. Jeden z kolegów wykonał już cewnikowanie serca, co sugerowało nieszczelną zastawkę, która nie nadawała się do leczenia. Musi wymienić ją na sztuczną i mieć nadzieję, że stan zdrowia kobiety nie skomplikuje operacji. Nie miał pojęcia, jakie brała leki i jaki był ogólny stan jej zdrowia, poza problemami z sercem. Operacja takiego pacjenta zawsze bywa ryzykowna, ale nie miał wyboru.

Kobiecie założono już maskę tlenową na twarz. Po chwili zebrał się zespół i mogli zacząć. Skóra pacjentki była jasna i gładka; aż żałował, że pozostanie jej długa blizna, gdy otworzy i zamknie klatkę piersiową.

Operacja trwała prawie cztery godziny. Ramon wyprostował plecy i westchnął ciężko, zadowolony nie tylko z zabiegu, ale i z delikatnego nacięcia. Kobieta będzie miała tylko cienką bliznę. Później może jej polecić dobrego chirurga plastycznego, jeśli tylko będzie ją stać na operację. Nie wiedział, czy jest bogata; równie dobrze mogła być bezdomna. Jedyne, co widział, to jej miękką, delikatną skórę. Na szczęście miała zdrowe płuca. Oprócz lekkiego przeziębienia raczej nic jej nie dolegało.

Wywieźli ją na oddział intensywnej opieki medycznej, a Ramon przeszedł do następnego pacjenta. Kilka godzin później, wciąż w chirurgicznej bluzie, poszedł obejrzeć młodą kobietę, którą operował. Była podłączona do aparatury kontrolnej i wciąż miała w ustach rurę płuco-serca. Ale kiedy stanął przy niej, serce w nim zamarło. Technik patrzył na niego z wyraźnym zaciekawieniem. Ramon wiedział, że krew odpłynęła mu z twarzy. Przed sobą miał Noreen. Miała chore serce, a on o tym nie wiedział!

Wstrząśnięty, skinął na pielęgniarkę.

- Powiedziano mi, że nie można ustalić tożsamości tej kobiety! - rzucił szorstko.

- Nie ma przy sobie żadnych dokumentów - odparła.

- To kuzynka mojej zmarłej żony! - Rozzłościł się i zacisnął pięści. - Nigdy bym jej nie operował, gdybym wiedział, kto to jest!

Pielęgniarka skrzywiła się.

- Jestem pewna, że gdyby ktokolwiek wiedział... Myśleliśmy, że jest biedna...

- Jest pielęgniarką - przerwał jej z irytacją. - Pracuje w O'Keefe na kardiologii.

Mówiąc to, przypomniał sobie, jak niesprawiedliwie ją potraktował, gdy była chora i próbowała to ukryć. Jaki był wobec niej okrutny. Mogła przecież umrzeć...

- Ale skąd się tu wzięła? - spytała pielęgniarka. - Bez żadnych dokumentów? Przecież ma chyba jakiś portfel?

- Nie wiem.

Spojrzał na nieruchomą po narkozie, bladą twarz, na drobne dłonie, z których wybiegały rurki kroplówek, i na krótkie, niepomalowane paznokcie.

Miała chore serce, wadliwą zastawkę i nie powiedziała mu o tym. Dlaczego? Naprawdę się bała, że mógłby ją operować? Sama myśl o tym była dla niego torturą.

- Spróbuję się dowiedzieć, skąd się u nas wzięła - obiecała pielęgniarka.

- Mniejsza o to - rzucił krótko Ramon i odwrócił się. - Sam sprawdzę. Proszę dać znać, gdyby nastąpiła jakaś zmiana. Jakakolwiek.

- Tak, panie doktorze. Przeszedł do następnej sali, by obejrzyć innego pacjenta, a potem wrócił, raz jeszcze spojrzał na Noreen i zszedł do izby przyjęć.

Kilka minut zajęło mu odkrycie, że Noreen straciła przytomność w autobusie, przywiozła ją karetka i rzeczywiście nie miała żadnych dokumentów. Może kiedy zemdlą, ktoś ukradł jej torebkę?

Jej ubranie leżało w plastikowym worku. Zabrał je ze sobą do samochodu i postanowił odwiedzić do mieszkania. Nie miał klucza, więc poszukał właściciela domu.

- Zatrzasnęła torebkę i kluczyki w samochodzie. Zauważyłem to - stwierdził mężczyzna. - Widziałem, jak biegnie do autobusu. Myślę, że była zdenerwowana.

- Dziś rano miała operację serca. Poleży w szpitalu przez parę dni - odparł krótko Ramon.

Właściciel był zaszokowany.

- Taka miła, cicha, spokojna dziewczyna - zauważył. - Dla każdego miała uprzejme słowo i uśmiech. Niech pan powie, że życzymy jej z żoną wszystkiego najlepszego i

popilnujemy mieszkania, póki nie wróci. Chce pan coś jej zawieźć?

- Może później. Porozmawiam z nią i dowiem się, czego potrzebuje.

Musi też zrobić coś z tym kotem, który zdechnie, jeśli go samego zostawi. Poza tym Noreen nie chciała, żeby właściciel się o nim dowiedział.

- Będę w domu, gdyby pan czegoś potrzebował. Jest pan krewnym Noreen?

- Tak - odparł Ramon. Wyszedł z zamiarem powrotu do domu na kolację. Ale nie pojechał do siebie. Mimowolnie skręcił w stronę szpitala.

Noreen nie odzyskała przytomności. Nie było to czymś niezwykłym, lecz Ramon zmartwił się. Ośluchał ją starannie, zauważył regularny rytm nowej, metalowej zastawki, która otwierała się i zamykała, brzęcząc cichutko. Przetrwła wiele lat i z pewnością Noreen będzie się żyło łatwiej. Koniec zadyszek przy najmniejszym wysiłku, koniec zmęczenia i nierównego pulsu.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, od kiedy o tym wiedziała. Na pewno coś zauważyła i była u lekarza. Sądząc po stanie tej zastawki, musiała zdawać sobie sprawę, że coś jej dolega. Nawet jej cera świadczyła o kłopotach z sercem.

Siedział w bufecie, jadł, nie czując smaku potraw i rozmyślał. Dlaczego nikomu nie powiedziała o chorobie? Czy miała kiedyś atak serca? Czy jej ciotka i wuj wiedzieli, co się z nią dzieje? Czy w ogóle ich to interesowało?

Skończył posiłek, odstawił tacę na taśmociąg i cały czas się zastanawiał nad Noreen. Spojrzał na zegarek; wkrótce minie osiem godzin od operacji.

Służbową windą wrócił na oddział intensywnej opieki medycznej i ruszył wprost do pokoju Noreen. Westchnął, wszedł do środka i sprawdził czujniki. Wszystkie wskazywały stan mniej więcej normalny. Więc dlaczego nie odzyskała przytomności?

Pochylił się.

- Noreen - zawołał.

I nagle otworzyła oczy. Serce podeszło mu do gardła na widok tej nieoczekiwanej, choć pozytywnej reakcji. Przyglądała mu się z ciekawością, jakby nadal nie do końca była przytomna. I rzeczywiście. Efekty narkozy trwały w jej przypadku dość długo.

Sprawdził źrenice, ośluchał ją i pokiwał głową, słysząc równy rytm serca. Płuca miała chyba czyste, przewód tlenowy już odłączono. Uniósł głowę, spojrzał jej w oczy. Próbowwała przełknąć ślinę.

- Pić... - Głos miała słaby i drżący. Znalazł tampon, wyjął ze sterylnej opakowania i zwilżył jej usta.

- To skutek narkozy - wyjaśnił. - Pozostawia nieprzyjemny posmak i wysusza jamę

ustną. Ale to minie.

- Co tu... tu robisz? - spytała sennie.

- Nikt nie wiedział, kim jesteś, kiedy przywieźli cię na salę - wyjaśnił. - Operowałem cię.

Zmarszczyła czoło.

- To nieetyczne - szepnęła.

- Owszem. - Wzruszył ramionami. - Ale nie widziałem twojej twarzy i nie miałem pojęcia, że to ty.

Z trudem otwierała oczy.

- Doktor Myers... będzie zły.

- Myers? - spytał.

- W Macon... Szpital miejski. Miał mnie operować... w przyszłym tygodniu.

Znowu zasnęła, zmęczona wysiłkiem. Pielęgniarka podała jej lek przeciwbólowy.

Ramon odsunął się od łóżka i westchnął cicho; skoro już był na oddziale, obejrzy jeszcze drugiego pacjenta.

Był prawie pewien, że prześpi resztę nocy. Wrócił do domu i pod wpływem impulsu odszukał numer telefonu kardiochirurga w Macon.

Znalazł go bez większych kłopotów. Kiedy doktor Myers dowiedział się, kto mówi, był zaskoczony.

- Słyszałem o panu - powiedział Ramonowi. - Jest pan znany. - Przerwał. - Czy chodzi o mojego pacjenta?

- Kuzynka mojej zmarłej żony, Noreen Kensington...

- zaczął.

- Ach, Norie. Trudno ją namówić na operację. Dwa lata temu odwiedzałem przyjaciela w Atlancie, kiedy dozorca znalazł młodą kobietę, która zemdląca na schodach. Zadzwonił po karetkę i poprosił mnie o pomoc. Zbadałem ją, pojechałem z nią do szpitala i rozmawiałem z lekarzem dyżurnym. Już po prześwietleniu było widać, że coś jest nie tak. Echokardiografii wykazał, że zastawka trochę przepuszcza; zaleciłem operację, lecz była dostatecznie przytomna, żeby odmówić. Mamrotała coś o kuzynce, która stała w deszczu, i że musi wracać. Uznałem, że stan jej zdrowia tego wymaga, więc uspiłem ją i przytrzymałem ponad dobę, aż stan się ustabilizował.

To dlatego Isadora umarła, pomyślał Ramon i zamknął oczy.

- Czy to był atak serca? - spytał.

- Tak, ale lekki. Doszła do siebie i ponownie odmówiła operacji, ale chciałem ją

przypilnować. Przyjeżdżała do mnie co trzy miesiące. Mniej więcej miesiąc temu nieszczelność zastawki się powiększyła, więc nalegałem na operację, zanim sytuacja stanie się krytyczna. Pojawiły się pierwsze symptomy... - Ucichł, jakby milczenie Ramona go wystraszyło.

- Jak się czuje?

- Dziś rano straciła przytomność w autobusie. Zatrzasnęła drzwi samochodu, zostawiając wewnątrz torebkę i musiała biec, żeby zdążyć do pracy. Nie dotarła na miejsce. Przywieźli ją do mojego szpitala bez dokumentów. Wykonałem operację, nie wiedząc, kogo mam na stole.

- No cóż, dobrze, że miała najlepszą opiekę w tych okolicznościach. Z ulgą słyszę, że trafiła w dobre ręce. Wszystko z nią w porządku?

- Jest już przytomna i stan ogólny jest w normie - wyjaśnił Ramon. - Myślę, że w pełni wróci do zdrowia. - Odetchnął głęboko. - Nie wiedziałem, że ma kłopoty z sercem. Nic mi nie powiedziała.

- Proszę się nie obwiniać. Nikomu o tym nie mówiła - odparł lekarz. - Jak rozumiem, jest niezależną młodą kobietą, bez bliskiej rodziny.

- Ma ciotkę i wuja, którzy wzięli ją pod opiekę po śmierci rodziców...

- Oczywiście, ale wie pan, jak to jest, kiedy krewni niespodziewanie dostają na wychowanie dziecko. Nigdy nie uważają go za własne.

Ramon próbował się opanować.

- Powiedziała panu, że mieszkała z rodzicami kuzynki?

- Tak. Może dlatego myślała o wyjeździe za granicę, żeby popracować w jakimś afrykańskim kraju, Kiedy była u mnie ostatnim razem, miała przy sobie podanie o paszport. Dzięki Bogu, że to wszystko stało się, zanim opuściła Stany.

Ramon usiadł.

- Tak.

- No cóż, miło mi słyszeć, że moja pacjentka przeżyje. Proszę jej przekazać, że chciałbym ją zobaczyć, kiedy poczuje się lepiej.

- Oczywiście. I dziękuję za wszystko, co pan dla niej zrobił.

- Nic nie zrobiłem, tyle że Noreen przyjeżdżała do mnie na kontrolę.

- Proszę mnie odwiedzić, gdy będzie pan znowu w Atlancie. Pracuję w szpitalu St. Mary.

- Na pewno. Może pan również mnie kiedyś odwiedzi w Macon?

- Nie zapomnę o panu. - Ramon uśmiechnął się. - Dobranoc.

Odłożył słuchawkę i uśmiech znikł z jego twarzy. Jak mało znał Noreen. Ciekawe, czy Kensingtonowie wiedzieli o jej chorobie.

Musiał to sprawdzić. Wykręcił ich numer, lecz automatyczna sekretarka poinformowała, że wyjechali z miasta i wrócą w przyszłym tygodniu.

Od właściciela domu pożyczył klucze od garażu i ściągnął ślusarza, by otworzył samochód Noreen. Potem, skinąwszy głową właścicielowi, zabrał ze środka torebkę i otworzył drzwi mieszkania. Kociak wybiegł mu na spotkanie. Pewnie jest wygłodzony, pomyślał Ramon, podniósł zwierzątko i wsunął go pod kurtkę, żeby nikt nie widział, jak go wynosi. Zamknął mieszkanie i wyszedł.

W drodze do domu zajrzał do sklepu, by kupić parę drobiazgów dla kota, który okazał się dobrze wychowanym maluchem. Leżał na przednim siedzeniu i nie ruszał się. Mruczał tylko z zadowolenia.

W domu stał się miłym towarzyszem swojego opiekuna. Ramon nawet nie zdawał sobie sprawy, jak jest samotny. Zaparzył cały dzbanek kawy, usiadł w fotelu i otworzył pismo medyczne, które nadeszło dziś pocztą. Kociak wspinał mu się na kolana, zwinął w kłębek i zasnął.

Zanim poszedł spać, zadzwonił na oddział intensywnej opieki medycznej; musiał sprawdzić, co dzieje się z Noreen.

Dowiedział się, że stan pacjentki jest dobry. Kiedy zasypiał, słyszał mruczenie kociaka leżącego obok na poduszce, tuż przy głowie.

Następnego dnia miał dużo pracy, więc dopiero po południu, jeszcze w zielonej bluzie, stanął przy łóżku Noreen. Bez słowa sprawdził monitory i osłuchał serce pacjentki.

- Czuję się dobrze... Mogę iść do domu? - spytała. Uniósł brew.

- Bardzo zabawne.

- Nie dają mi nic do picia - poskarżyła się, - A ta pielęgniarka blondynka nie odpowiada na żadne pytania.

- Każę ją zastrzelić - obiecał spokojnie. - Rano przeniosą cię do separatki. Zatrudnię pielęgniarkę, żeby z tobą siedziała.

- Nie potrzebuję... - skrzywiła się i wciągnęła powietrze - ...od ciebie pomocy!

- Dziękuję. Ja też cię lubię. - Spojrzał w jej pełne gniewu oczy i uśmiechnął się lekko. -

Tak, zdecydowanie czujesz się lepiej. Zajrzę tu jeszcze.

Zamrugła powiekami, wciąż trochę otępiła.

- Lepiej śpij - poradził. Posłusznie zamknęła oczy. Zauważył jasnowłosą pielęgniarkę i skinął na nią, by podeszła.

- Wiem - powiedziała, unosząc dłoń. - Jestem tu złą czarownicą i torturuję ją. - Uśmiechnęła się przeprasząco. - Co pięć minut prosiła o wodę. Mam jeszcze dwóch pacjentów, którzy nawet w połowie nie czują się tak dobrze jak ona. Muszę podać leki, brakuje nam jednej pielęgniarki...

Poklepał ją po ramieniu.

- Proszę wziąć dwie aspiryny i przyjść do mnie rano - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Wyszedł, zanim zdążyła zamknąć usta.

Ostatnia operacja nie udała się. Pacjent był w takim stanie, że nawet umiejętności Ramona nie wystarczyły, by ocalić mu życie. Ramon wyszedł z sali, żeby zawiadomić rodzinę. Czuł pustkę, widząc ich żal, a w żaden sposób nie mógł im pomóc.

Potem poszedł się przebrać i w nocy jeszcze raz poszedł na oddział intensywnej opieki medycznej. Była tam już nowa zmiana. Młoda czarnoskóra pielęgniarka uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Karmiłam dziś pannę Kensington. Zjadła całą kolację. Ma świetny apetyt.

Uśmiechnął się.

- To świetnie. Żadnych załamań? Pokręciła głową.

- Wszystkie wyniki są coraz lepsze.

- Dzięki - rzucił i poszedł do pokoju Noreen. Była całkiem przytomna.

- Operowałeś mnie - powiedziała z wyrzutem.

- Już ci mówiłem, nie wiedziałem, że to ty. Nie miałaś przy sobie żadnych dokumentów.

- Zostawiłam torebkę w samochodzie i pobiegłam do autobusu. - Westchnęła ciężko i dotknęła piersi pod szpitalną koszulą. - Boli.

- Dadzą ci coś na uśmierzanie bólu - powiedział. - Ten bieg do autobusu pewnie przyspieszył atak. Pamiętasz, co czułaś, tracąc przytomność?

- Nic nie czułam - odparła. - Zobaczyłam, że podłoga zbliża się do mnie, i pomyślałam, że złamię sobie nos. Potem wszystko zbiałało.

- Żadnego bólu?

- W każdym razie bólu nie pamiętam. - Przyjrzała się jego twarzy. - Jesteś zmęczony - zauważyła.

Ze zdziwieniem odkrył, że serce zabiło mu mocniej.

- Miałem męczący dzień. I straciłem pacjenta.

- Przykro mi. Twarz mu trochę stężała.

- Taka praca. Ale to zawsze boli. - Spojrzał na nią uważnie. - Masz o wiele lepszą cerę.

- Kiedy będę mogła wrócić do pracy?
- Kiedy poczujesz się dobrze. Spojrzała na niego gniewnie.
- Umrę z głodu, jeśli nie będę pracować.
- Nie, nie umrzesz. Twoje ubezpieczenie obejmuje także okres niezdolności do pracy.
- Skąd wiesz?
- Sprawdziłem. Twoje dane są w komputerze. Przy okazji próbowałem zadzwonić do twojej ciotki i wuja, ale wyjechali z miasta.

Odwróciła głowę.

- Nie warto ich kłopotać. Nie lubią szpitali.
- Jesteś ich najbliższą krewną - wyjaśnił. - Martwią się o ciebie.
Milczała. Wiedziała, że Ramon się myli, ale nie miała ochoty teraz z nim dyskutować.
- Jutro przenosisz się do pokoju numer trzy, we wschodnim skrzydle - oznajmił.
- Tam są tylko separatki, ale brakuje pielęgniarek. Będę tam leżeć i umrę, a nikt nawet tego nie zauważy.

- Podłączą cię do monitora, który będzie bez przerwy obserwowany. A technicy są na całym oddziale. Na wszelki wypadek wynająłem dla ciebie pielęgniarkę.

- Nie stać mnie, żeby...

- Uspokój się. Nie forsuj nowej zastawki - ostrzegł. - I nie martw się. Mnie na to stać. Jesteśmy rodziną.

- Nie, nie jesteśmy - burknęła. - Nie ma między nami żadnego pokrewieństwa.

Zobaczył niechęć w jej oczach i wiedział, że miała do tego prawo. Przez dwa lata obwinał ją o coś, czego nie zrobiła, a gdy próbowała wszystko wyjaśniać, nie chciał jej słuchać. Zasłużył na jej pogardę.

Włożył ręce w kieszenie.

- Wiedz, że i tak wynajmę pielęgniarkę. Zajrzę do ciebie rano.

Miała mu wiele do powiedzenia, lecz nie został, by tego wysłuchać. Patrzyła, jak znika za drzwiami, i uderzyła pięścią w łóżko, aż poczuła ból w piersi. Jęknęła.

- Podać coś przeciwbólowego? - zapytała pielęgniarka.

- Tak, poproszę. - Chciała spytać, czy nie mają czegoś, co wypłoszy ciemnoookich prześladowców.

Następnego dnia odkryła, że Ramon nie żartował, mówiąc o wynajęciu pielęgniarki. Zaraz po kolacji wpadło do pokoju pulchne tornado z torbą wełny i drutami. Przedstawiła się jako panna Polly Plimm. Pracowała już dla Ramona, więc z przyjemnością przyjęła to zlecenie. Rok temu przeszła na emeryturę, więc podejmowała się opieki nad chorymi. Przyniosła

kubelek pełen lodu, regularnie sprawdzała monitory i worek cewnika.

Odwiedził ją Brad, ucieszony, że trafiła w dobre ręce. Miał dzienne zmiany i zaglądał do niej wieczorem na parę minut. Doceniał poprawę stanu zdrowia przyjaciółki, ale martwił się, jak sobie Noreen poradzi sama po powrocie do domu. Miał nadzieję, że doktor Cortero jej pomoże. Naprawdę nie mogła zostać sama.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po drugim dniu pobytu na kardiologii Noreen była bardziej przytomna, a jej pierwsza całkowicie logiczna myśl dotyczyła biednego kotka, samotnego w jej mieszkaniu. Wraz z panną Plimm przeszła dwa razy dookoła łóżka. Martwiła się przez cały czas, że zapomniała o zwierzaku.

Zajrzał Brad i zaczekał, aż podłączają do tlenu, kroplówki monitora.

- Mój kotek - powiedziała żałośnie - został zupełnie sam w mieszkaniu. Tkwi tam już dwa dni bez jedzenia i wody. Pewnie zdechł.

- A, kociak - mruknął Brad. - Mieszka z doktorem Cortero.

Serce stanęło jej na moment.

- Z Ramonem?

- Owszem. Kto by pomyślał! Wydawało mi się, że pan doktor nie cierpi zwierząt.

- Mnie też.

- Nie uwierzyłabyś, co o nim opowiada. Kupił mu obrozę, mnóstwo zabawek i śpią razem.

- Masz rację, nie wierzę. Żartujesz sobie ze mnie.

- Spytaj go, kiedy przyjdzie na obchód.

Noreen nie bardzo wierzyła w prawdziwość tych informacji. Isadora powiedziała jej kiedyś, że Ramon nienawidzi zwierząt. Mówiła też, że Ramon nie lubi dzieci i nie ma zamiaru zostać ojcem. Lubi przyjęcia, spotkania towarzyskie, a w domu ma fioła na punkcie porządku.

Noreen nie wydawał się taki, ale właściwie go nie znała. Jediną osobą, która zdołała się do niego zbliżyć, była Isadora. Po jej śmierci został zupełnie sam.

Nie zaskoczyło to Noreen, ponieważ zdawała sobie sprawę z jego obsesji na punkcie Isadory. Jej kuzynka przez całe życie przyciągała uwagę wszystkich. W domu Kensingtonów Noreen nie znalazła miłości, gdyż była ona w całości zarezerwowana dla Isadory. I tak pozostało nawet po jej śmierci.

Panna Plimm zeszła do bufetu, żeby przynieść jej kolację. Noreen była tak pogrążona

we własnych myślach, że nawet nie zauważyła wchodzącego Ramona. Dostrzegła go dopiero wtedy, gdy pochylił się nad nią ze stetoskopem. Drgnęła gwałtownie.

- Nie rób tego - mruknął niecierpliwie, przykładając jej zimny metal do piersi. - Oddychaj normalnie.

Nie było to łatwe, gdy widziała tak blisko jego twarz. Odsunął się i patrzył, jak otwiera oczy. Unikała jego spojrzenia.

- Czuję się dobrze - powiedziała.

- Tak, wiem. - Wsunął ręce w kieszenie. - Masz apetyt?

- Jem wszystko, co mi przynoszą.

- Wcale nie - odparł. - Zjadasz supę i galaretki, a zostawiasz całą resztę. Tak być nie może. Musisz dostawać proteiny.

- Mam wzdęcia - odparła wojowniczo.

- Coś ci na to przepiszę. - Zanotował swoje uwagi na karcie. - Jedz albo będę cię trzymał pod kroplówką.

- Dobrze - zgodziła się. Spojrzała na niego i znów odwróciła wzrok. - Jak sprawuje się mój kotek? - spytała.

Uśmiechnął się, a jego ciemne oczy rozbliły.

- Wsuwa za dwóch.

- Dziękuję, że się nim zająłeś.

- To żaden kłopot.

- Nie wierzę. Wiem, że nie lubisz zwierząt. - I mnie, dodała w myślach.

Jęknął. Może po narkozie nie przyszła jeszcze do siebie? Zawsze lubił zwierzęta. Mieszkał sam, gdyż nie mógł poświęcić żadnemu stworzeniu dość czasu.

- Czujesz ból? - zapytał.

- Czuję się świetnie. Zawahał się. Nie chciała na niego spojrzeć i nie miała ochoty rozmawiać. Uniósł jej rękę, zbadał wenflony wprowadzone do żył i zmarszczył czoło.

- Kiedy ci je zmieniali? Meredith zawsze je datuje, żeby nie zostawały dłużej niż przez trzy dni.

- To nie Meredith je zakładała - odparła. - To Annie. Nie tkwią w moich żyłach dłużej niż dzień.

Znów zanotował coś na karcie. Potem ujął jej drugą rękę, sprawdził wenflon, dostrzegł krótko przycięte paznokcie i jedwabistą skórę.

- Chyba ciągle używasz kremu - zauważył. - Masz niesamowicie miękką skórę.

Wyrywała mu dłoń. Wciąż nie chciała na niego spojrzeć.

- To nie są dłonie modelki, tylko pracującej kobiety.

- Wiem o tym, Noreen.

Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że ją dręczy? Przymknęła oczy, modląc się, by sobie poszedł i zostawił ją samą.

Było jasne, że chce się go pozbyć. Zbyt wiele wycierpiała przez te lata, żeby go teraz zaakceptować. Zmarszczył czoło. Nie podobało mu się, że Noreen nie lubi, gdy jej dotyka. Przypomniawszy sobie, jak na przyjęciu z okazji pierwszej rocznicy ślubu cofnęła się przed nim, będąc w kuchni. Nawet wtedy go to niepokoiło, choć był jeszcze żonaty.

- Odwiedzę cię później.

- Dziękuję, nie trzeba. Panna Plimm jest bardzo troskliwa.

- Wolałabyś, żeby na obchód przychodził John? - spytał uprzejmie.

- Tak byłoby lepiej, jeśli ci to nie przeszkadza - odparła ścisłym głosem.

Ogarnął go gniew. Bez słowa odłożył kartę pacjenta i wyszedł z pokoju.

Noreen odetchnęła z ulgą. Wytrzyma jakoś jeszcze kilka dni, powtarzała sobie. Wyjdzie stąd. Kiedy odzyska już siły, znajdzie jakąś pracę w szpitalu na przedmieściu, gdzie Ramon nie miewa pacjentów. Zawdzięczała mu życie, ale nie miała zamiaru znowu przez niego cierpieć. Przypomniała sobie, że parę miesięcy temu złożyła podanie o paszport. Chciała wtedy poświęcić się pracy w jakimś odległym kraju i uciec przed Ramonem.

Spoglądała przez okno i zastanawiała się, czy ciotka i wuj faktycznie wyjechali z miasta. Ramon pewnie pragnął złagodzić cios. Przecież nigdy jej nie chcieli. Wzięli ją do siebie tylko z poczucia odpowiedzialności. Była w ich życiu niczym piąte koło u wozu. Cierpiała jako dziewczynka, ale potem przywykła, że nie bierze udziału w rodzinnych rozrywkach i wykonuje liczne domowe obowiązki. Od śmierci Isadory tylko raz zaprosili ją do siebie, ale wizyta była nieudana i nie warto było jej powtarzać.

Westchnęła i zamknęła oczy. Zacznie nowe życie, postanowiła. Przystanie wzdychać do Ramona, rozpaczać nad obojętnością ciotki i wuja, i tym, że wszyscy obwiniają ją o śmierć Isadory. Teraz, kiedy znów była zdrowa, mogła snuć plany na przyszłość.

Ramon wpadł do mieszkania wściekły jak burza gradowa. Był zły, że Noreen nie chce, by doglądał jej rekonwalescencji. Ocalił jej życie. Czy to nie miało znaczenia?

Nalał sobie drinka i usiadł ciężko w fotelu. Natychmiast przybiegł kociak, wspiął się na jego kolana, zwinął w kłębek i zamruczał.

- Przynajmniej ty się cieszysz na mój widok - burknął, gładząc go z roztargnieniem.

Towarzystwo kociaka przypadło mu do gustu. Myślał o tym, jak wiele stracił w życiu. Wracał do pustego mieszkania, żalu i samotności. Za życia Isadory przywykł do hałasu,

śmiechu, domu pełnego ludzi, gdyż jego żona lubiła przyjęcia i często je urządzała. Nigdy nie miał spokoju, by poczytać czasopisma medyczne.

Zastanawiał się teraz, czy towarzystwo nie było jej potrzebne, by wypełnić pustkę życia z nim. Isadora nie lubiła zwierząt i dzieci. Wciąż słyszał jej śmiech, gdy zasugerował powiększenie rodziny. To zrujnuje jej figurę i zrobi z niej niewolnicę dzieciaka, oświadczyła. Która rozsądna kobieta zrezygnuje ze swojej niezależności, żeby zostać kurą domową? Co do zwierząt, to nie będzie zbierać kociej sierści z eleganckich mebli, a z psami jest równie dużo kłopotu jak z dziećmi.

Kochał Isadorę, więc po tej rozmowie na jakiś czas zrezygnował ze swoich marzeń o rodzinie. Oddalili się od siebie po pierwszych miesiącach małżeństwa i każde z nich poszło swoją drogą. Przed śmiercią Isadora zbyt dużo piła. Drwiła z niego, groziła, żądała rzeczy niemożliwych, oskarżała go o oziębłość. Nie była szczęśliwa. Obiecała, że się zabije, jeśli on nie zabierze jej do Francji, dokąd wyjeżdżał też jej kochanek.

Odmówił z powodu stanu jej zdrowia, nie z zazdrości. Ale dla Isadory powody nie miały znaczenia. Krzyczała, że on pragnie Noreen. Oskarżała go o to nie po raz pierwszy. Lecz Noreen nigdy go nie zechce, gdyż boi się mężczyzn, a zwłaszcza jego. Nigdy tego nie wyjaśniła, a on nie zastanawiał się nad jej słowami. Aż do tej pory.

Sączył drinka i wspominał inne kłótnie, które często odbywały się w tym doskonałym małżeństwie, jakie wraz z Isadora demonstrowali światu. Nienawidziła jego pracy, nieobecności z powodu dyżurów. Raz odłożyła słuchawkę, odmawiając rozhisteryzowanej żonie pacjenta wezwania Ramona do telefonu. Mężczyzna dostał zawału i na szczęście jakiś inny chirurg przybył mu z pomocą. Zdarzyło się to na tydzień przed wyjazdem Ramona do Francji. Wtedy Isadora wyszła na deszcz bez płaszcza.

Wyjechał do Francji i poprosił Noreen, żeby zaopiekowała się Isadora. Noreen zgodziła się chętnie i wzięła urlop.

Wszyscy myśleli, że pozwoliła jej umrzeć. A teraz Ramon poznał prawdę. Nastąpił tragiczny zbieg okoliczności, zakończony lekkim atakiem serca u Noreen. On i Kensingtonowie nawet nie pozwolili jej się bronić. Obwiniali ją, odsunęli się od niej, karali za coś, co nie było jej winą. I to przez dwa lata. Nic dziwnego, że cofała się przed dotykem Ramona i nie chciała jego pomocy.

Jęknął głośno. Jak mógł być tak arogancki i osądzać tę kobietę bez wysłuchania jej? Jak mógł przeoczyć cierpienie Noreen? Był tak samo winny jak ona. Nawet bardziej. Zostawił Isadorę, bo nie mogła podróżować z powodu choroby. Ale dopiero teraz przyznał się przed sobą, że nie chciał jej ze sobą zabrać.

Ich małżeństwo wcale nie było udane. Kłócili się bez przerwy, a zwłaszcza tego dnia, kiedy wyjeżdżał. Sumienie go gryzło. To jego nieobecność, nie tylko nieobecność Noreen, doprowadziła do śmierci Isadory. Ale nie potrafił przyznać się do winy i wyznać, że jego małżeństwo było piekłem. A teraz jest już za późno. Noreen nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Zresztą przez ostatnie sześć lat zawsze trzymała się z dala od niego. Jak mógł ją winić?

Gdyby tylko miał czas, może mógłby jej to wynagrodzić. Nie potrafił cofnąć minionych dwóch lat, ale chciałby choć trochę ułatwić jej życie. Porozmawia z Kensingtonami. Oni też muszą to zrozumieć. Noreen doznała wielkiej krzywdy. Teraz mógł naprawić błędy. Miał nadzieję, że potrafi to uczynić.

Następnego dnia, z pomocą Brada, Noreen spacerowała korytarzem oddziału. Żartowała z doznawanych zawrotów głowy szła uparcie. Kilku pacjentów również wyszło na przechadzkę. Stymulacja ruchowa pomogła oczyścić płuca i wzmocniła Noreen. Nigdy nie miała wątpliwości, że zacznie chodzić po paru dniach. Promieniała z radości, dopóki Ramon nie przyszedł na oddział. Kiedy go zobaczyła, jej uśmiech zgasł, a oczy sposepniały. Opuściła głowę i mocniej ścisnęła ramię Brada.

- Świetnie - oświadczył Ramon, nie zwracając uwagi na jej niechęć. - Spacer dobrze ci zrobi. Wychodź tak często, jak tylko zdołasz. Szybciej wyzdrowiejesz.

- To nasza trzecia runda - wyjaśnił Brad. - Robi postępy.

- Tak, widzę.

- Chodźmy już - zwróciła się do Brada. - Nogi mi się trzęsą, kiedy stoję w miejscu.

- Odprowadzę cię i pędzę na dyżur.

- Ja cię odprowadzę - powiedział Ramon i zajął jego miejsce.

Brad spojrział przepraszająco na Noreen, a ta zrobiła minę, jakby oddawał ją w ręce kata.

- Nie umrzesz od mojego dotknięcia - rzucił Ramon, podając jej ramię. - Chodź.

Posłuchała. Nienawidziła go, nienawidziła zaciekawionych spojrzeń innych pracowników, którzy dziwili się, że chirurg podczas obchodu tracił czas na prowadzenie pacjentki.

- Czujesz bóle? - zapytał, gdy mijali dyżurkę pielęgniarek.

- Coraz rzadziej - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Skinął głową. Prowadził ją powoli, aż wrócili do pokoju.

Pomógł Noreen położyć się do łóżka, zdjął jej kaptur i podłączył tlen, zanim zjawił się technik.

Potem osłuchiwał ją uważnie, a Noreen walczyła z własną reakcją na jego bliskość. Spojrzała mu w oczy. Znieruchomiał.

- Boli mnie pierś - powiedziała niespokojnie.

- Przyniosą ci jakieś środki przeciwbólowe. - Okrył ją kołdrą. - Nie marzniesz?

- Nie. - Spuściła oczy. Słyszała, jak Ramon wzdycha.

- Nie spytałaś o kotka.

Rozpaczliwie próbowała zapanować nad oddechem.

- Wszystko z nim w porządku?

- Czuje się świetnie. Na pewno się ucieszysz, gdy znów będziesz go miała w domu. -

Uśmiechnął się lekko. - Przyzwyczyłem się do niego.

- Na świecie jest mnóstwo bezdomnych kociaków - odparła obojętnie.

- Miałem nadzieję, że zgodzisz się na moje odwiedziny. Uniosła głowę i spojrzała na niego martwym wzrokiem.

- Raczej nie - odparła. Zmarszczył lekko brwi.

- Czy teraz tak będzie między nami? - spytał.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Wiesz - odparł. - Dobry Boże, przecież musiało ci przyjść do głowy, że w końcu odkryję, co się stało. Byłem i wstrząśnięty, kiedy usłyszałem, że to z powodu ataku serca zostawiłaś Isadorę samą.

- Owszem, przyszło mi to do głowy - odrzekła. - Ale chyba zapomniałeś, że próbowałam to wyjaśnić, a ty nie chciałeś słuchać. Żadne z was nie pozwoliło mi powiedzieć, co się stało. - Znieruchomiała. - Przez dwa lata traktowaliście mnie jak morderczynię. Czy sądzisz, że mogę tak po prostu o tym zapomnieć?

Wyprostował się.

- Nie - przyznał. - Powinienem zdawać sobie z tego sprawę. Przeprosiłbym cię - dodał cicho - lecz zbyt wiele się zdarzyło, żeby zwykle przeprosiny zwały przeżycia dwóch minionych lat. Ale naprawdę bardzo mi przykro, jeśli to ci pomoże.

Przymknęła powieki. Była zmęczona, znużona.

- Nie wiedziałeś - stwierdziła smutnie. - Oni też nie wiedzieli. Zresztą, co to za różnica - dodała żałośnie, przygryzając wargę. - Ona nie żyje. I to przeze mnie. Powinna przekonać doktora, że muszę wrócić do domu. Te słowa zaboląły go niczym cios noża.

- Noreen! - zawołał cicho. Weszła pielęgniarka. Ramon patrzył bezradnie, jak łzy spływają po policzkach Noreen. Wstał i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

- Proszę podać pacjentce środek przeciwbólowy. Szedł korytarzem jak we mgle.

Widział już wcześniej łzy na twarzy Noreen, ale wtedy nie zwrócił na nie uwagi. Teraz cierpiał, widząc, jak płacze. Myślał chyba, że wystarczy machnąć ręką, a znikną dwa lata niechęci i obojętności. Po raz pierwszy zrozumiał, jak długa czeka go droga, by zdobyć zaufanie Noreen. I ta myśl go przerażała.

Panna Plimm, pielęgniarka, trzy razy została z Noreen na noc. Lecz czwartego dnia Noreen podziękowała grzecznie i odesłała ją do domu. Nie chciała, by Ramon z jej powodu ponosił wydatki.

Dobrze, że nie mogła spojrzeć w przyszłość, wiedzieć, co zdarzy się w następnym poniedziałek, kiedy wypisano ją ze szpitala. Pielęgniarka wypełniła wszystkie dokumenty, wręczyła Noreen recepty i wyznaczyła kontrolne wizyty u kardiologa. Noreen zaczekała, aż sanitariusz przyjedzie z wózkiem, a pielęgniarka wezwie dla niej taksówkę. Nie przewidywała żadnych kłopotów, chyba że z kotkiem, ale może zdoła przekonać właścicieli, by dla niej złagodzili trochę zasady.

Kiedy podjechał sanitariusz z wózkiem, ze zdumieniem zobaczyła stojących przed drzwiami Kensingtonów. Spojrzała na nich niepewnie.

- Ramon zawiadomił nas, że dziś wychodzisz ze szpitala - zaczął wuj Hal.

- Tak, wracam do domu. - Westchnęła. - Co tu robicie? Wuj wyraźnie się zdziwił.

- Miałaś poważną operację - wyjaśnił.

- Byliśmy na wakacjach - dodała ciotka. - Wróciliśmy dzisiaj. Gdybyśmy wiedzieli, z pewnością byśmy...

- Po co udajecie? - spytała ze znużeniem. - Złożyliście mi obowiązkową wizytę i nikt nie będzie was obgadywał. A teraz, jeśli wam to nie przeszkadza, pożegnaj was, bo nie czuję się zbyt dobrze. Chcę wrócić do domu.

- Możesz zamieszkać w swoim dawnym pokoju - powiedziała z wahaniem ciotka Mary.

- Sprowadzimy pielęgniarkę.

- Wracam do siebie, ciociu - odparła i odwróciła wzrok.

- Ale mieszkasz sama - tłumaczył wuj. - Nie możesz zostać bez opieki.

- Byłam sama przez lata - odparła spokojnie. Dostrzegła ich zakłopotanie. - I niech tak zostanie. - Skinęła na sanitariusza, by popchnął wózek. - Dziękuję, że wpadliście - rzuciła, nawet się nie oglądając.

Sanitariusz dowiózł ją do windy. Kensingtonowie stali obok siebie, zakłopotani. Mieli nadzieję, że ucieszy ją ich troska. Ale Noreen nie była już tą potulną, cichą dziewczynką, którą wiele lat temu przyjęli pod swój dach.

- Ramon mówił, że nie jest już taka sama - zwróciła się do męża Mary Kensington. -

Musimy chyba to zrozumieć, biorąc pod uwagę jej cierpienia i brak naszego zaufania. Potraktowaliśmy ją bardzo źle.

- Wszyscy troje - zgodził się jej mąż. - Gdybyśmy tylko słuchali, kiedy próbowała tłumaczyć. Czuję się okropnie. Miała chore serce i mogła umrzeć, a my nic o tym nie wiedzieliśmy.

- Jakoś się z tym pogodzi.

- Tak myślisz? - Hal zaśmiał się smutno. Włożył ręce do kieszeni. - Chodź, pójdziemy coś zjeść. - Wziął Mary pod rękę i razem ruszyli do wyjścia.

Drzwi zamykały się już za Noreen, gdy zauważyli Ramona zbliżającego się od strony służbowej windy.

- Gdzie ona jest? - zapytał Kensingtonów.

- Zjeżdża w dół do taksówki - odparł smętnie wuj. - Nie chciała z nami rozmawiać.

- Do taksówki? Nie czekając na odpowiedź, pomknął do windy i zdążył tuż przed zasunięciem się drzwi.

W holu sanitariusz zostawił Noreen przy recepcji, a sam wyszedł zobaczyć, co dzieje się z taksówką. Ramon chwycił wózek i popchnął go w stronę wyjścia, gdzie zostawił samochód.

- Co się dzieje? - syknęła Noreen, kiedy zrozumiała, dokąd jada.

- Jack, otwórz mi drzwi - krzyknął do sanitariusza. - I spław taksówkę. Zabieram tę panią do domu.

- Tak, proszę pana.

Młody człowiek pomógł usadzić z przodu nadąsaną, protestującą Noreen. Ramon wrzucił jej walizkę do bagażnika.

- Chcę jechać taksówką - zaprotestowała, kiedy usiadł obok i uruchomił silnik.

- Będiesz robiła to, co ci każę - odparł, a w jego głosie niespodziewanie zabrzmiał lekki hiszpański akcent.

- Nie z tobą! - oznajmiła gniewnie.

- *Calmate* - rzucił cicho. - Uspokój się. Nie czuła się najlepiej. Przymknęła oczy, walcząc z mdłościami i bólem. Miała za sobą męczący poranek.

- To ty ich przysłałeś? - spytała, kiedy wjechali na autostradę.

- Kensingtonów? Nie. Wiedziałem, że dziś wracają, więc zadzwoniłem, żeby spytać, czy wiedzą o twojej operacji. Byli zaszokowani.

- Dlaczego? Zerknął na nią.

- Wyglądałaś na zdrową, kiedy mieszkałaś w domu.

- To nigdy nie był mój dom - odparła, wpatrując się w okno.
- Zawsze sprawiałaś wrażenie, że wtapiasz się w boazerię.
- Oczywiście - westchnęła. - Byłam tam częścią umeblowania. Większą część mojego życia spędziłam na uboczu. To się zmieni. Gdy stanę na nogi, porzucę wszystko i zacznę od nowa.

Serce w nim zamarło. Nie spodziewał się, że Noreen może wyjechać, i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie chce tego. Było to zaskakujące uczucie, jakby nagle wyszedł na otwartą przestrzeń. Popatrzył na nią swymi czarnymi oczami.

- Jeszcze przez trzy miesiące nic nie zrobisz - oświadczył spokojnie. - Włożyłem sporo pracy, żebyś stanęła na nogi. Nie pozwolę tego zmarnować.

- Przez trzy miesiące będę robić to, co mi każą - zgodziła się - a potem to, co mi się spodoba.

- Musisz regularnie zgłaszać się na kontrolę - stwierdził. - Musisz brać środki na rozrzedzenie krwi i leki na serce. Trzeba obserwować twoje reakcje.

- Znajdę sobie dobrego lekarza. Umilkł. Po kilku minutach zahamował przy wjeździe do budynku i skinął portierowi, żeby wyjął z bagażnika walizkę. Wziął Noreen na rękę i ruszył do windy.

- Co... ty robisz? - krzyknęła.

- Bądź cicho. Podszedł do idącego z walizką portiera.

- Moja kuzynka wyszła ze szpitala - wyjaśnił - Zamieszka ze mną, dopóki sama nie zacznie sama sobie radzić.

- Rozsądne posunięcie, proszę pana - przyznał mężczyzna, naciskając guzik windy.

Nadjechała winda i wszyscy wsiedli. Noreen była bliska łez. Spoczywała bezradna w mocnych ramionach Ramona i wdychała zapach kosztownej wody kolońskiej. Nieruchoma jak deska, starała się nie okazywać, jak jej ciało reaguje na jego dotyk.

Nie dla mnie to robi, przekonywała siebie, gdy przycisnął ją mocniej do siebie. Robi to dlatego, że jestem krewną Isadory i nie może sobie pozwolić, by ludzie plotkowali, że zostawił ją w takim stanie.

Winda stanęła i Ramon ruszył do drzwi. Postawił ją na podłodze, by znaleźć klucz i otworzyć drzwi mieszkania. Kluczyki od samochodu wręczył portierowi, żeby mógł zaparkować wóz. Wziął od niego walizkę Noreen i wstawił do przedpokoju.

- Proszę zostawić klucz w recepcji, za chwilę zjadę na dół.

- Oczywiście, proszę pana. Mam nadzieję, że pani szybko wyzdrowieje. - Portier uśmiechnął się i skłonił Noreen.

Ramon znów wziął ją na ręce, przeniósł do gościnnej sypialni i delikatnie ułożył na łóżku.

- Nie ruszaj się - polecił. Wygładził i poprawił poduszki. Potem wyszedł i po kilku minutach przyniósł dzbanek z sokiem, szklanę, leki i kociaka. Maluch usiadł na kolanach Noreen i mruzczał głośno.

- Moje maleństwo - powiedziała przez łzy, głaszcząc go z uśmiechem.

- Dotrzyma ci towarzystwa, zanim wrócę do domu. Muszę obejrzyć pacjentów i zrobić obchód. Wrócę jak najszybciej. Tutaj stoi telefon. Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, zadzwoń na dół. Sprowadzę pannę Plimm - dodał, przypominając tym, że zwolniła biedną kobietę bez jego zgody.

- Nie mogę tu zostać - zaczęła.

- Nie możesz zostać sama - odparł. - Liczyłem, że wrócisz do domu z Kensingtonami.

- Ale nie wróciłam i teraz masz mnie na głowie, choć wcale tego nie chcesz. - Poczowała gorące łzy pod powiekami i przymknęła oczy. - Wielki Boże, dlaczego nie mogłeś zwyczajnie puścić mnie do domu?

W jednej chwili zapomniał o szpitalu i pacjentach. Usiadł na łóżku, objął ją delikatnie i przyciągnął do siebie tak blisko, jak tylko się ośmielił. A ona płakała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nie chciałem powiedzieć, że jesteś dla mnie ciężarem - wyszeptał. Smagłą dłonią delikatnie odsunął włosy z jej bladej twarzy.

Zacisnęła pięści.

- Nie chcę tu zostać - łkała.

Nie widziała jego pełnych cierpienia oczu.

- Wiem.

- Proszę - szepnęła. - Brad może się mną zaopiekować:

- Nie możesz zostać sama, a Brad pracuje - odparł krótko. - Zresztą to nie byłoby właściwe rozwiązanie.

- Ale również nie jest właściwym rozwiązaniem to, żebym mieszkała tutaj!

- Będzie, kiedy zjawi się pielęgniarka - stwierdził spokojnie.

Ostrożnie oparł ją o poduszki, wziął z pudełka chusteczkę i delikatnie otarł jej zaczerwienione oczy. Wydawała się całkiem pogodzona z sytuacją. Serce ścisnęło mu się na jej widok, tak była chuda i blada.

- Przyniosę kolację i zjesz ze mną. Nie możesz dalej tak egzystować.

- Nie jestem głodna - oświadczyła.

- Będziesz jadła, nawet jeśli miałbym każdy kawałek wpychać ci do gardła.

Przyjrzała mu się wilgotnymi oczami. Pogłodził jej chłodny, mokry policzek. Była tak delikatna, że poczuł, iż musi ją chronić.

- Zaopiekuję się tobą - powiedział cicho. - Spróbuj zasnąć. - Pochylił się i, ku jej zdumieniu, leciutko musnął wargami jej usta. - Wrócę jak najszybciej.

Wyprostował się i spojrzał na nią, chcąc zobaczyć jej reakcję. Wyglądała na zaszokowaną.

- Przynieść ci coś, zanim wyjdę? Pokręciła głową; odruchowo głaskała kotka i próbowała odgadnąć, jaki był powód tej nieoczekiwanej pieszczoty.

- Zostań w łóżku. Kiwnęła głową i odwróciła wzrok. Spojrzał na nią lekko rozbawiony.

- Nie chcesz zapytać, dlaczego cię pocałowałem? Zarumieniła się gwałtownie i zacisnęła palce na kołdrze.

Niemal czuł jej zakłopotanie.

Za szybko, pomyślał, zaskoczony własnym zachowaniem. Nie chciał jej niepokoić. Wiedział, przez co przeszła.

- Spróbuj zasnąć - rzucił bardziej oficjalnym, niemal zawodowym tonem.

Zatrzymał się jeszcze i podrapał kotka za uszami.

- Nazwałem go Moskitem, bo zawsze gdzieś brzęczy w pobliżu. Może lepiej zastanów się nad właściwym imieniem.

Nie odpowiedziała. Zsunął palce z kociej sierści na jej zaciśniętą pięść i ścisnął ją lekko.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie.

Zobaczymy się później.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Słyszała, że rozmawia przez telefon, ale była zmęczona i senna. Zanim wyszedł z mieszkania, zapadła w drzemkę.

Panna Plimm przyszła po południu i natychmiast przejęła dowództwo w mieszkaniu. Gdy Ramon wrócił z kolacją, wyjęła talerze, zaparzyła kawę i naląła soku. Stała nad Noreen, dopóki zrezygnowana chora nie uniosła do ust kawałka kurczaka.

- Pyszne, prawda? - spytała. - Teraz proszę jeść, a ja przyniosę lekarstwa.

Gdy tylko zniknęła, Noreen odłożyła widelec, patrząc tępo na owocowy kompot i szparagi. Nie była głodna. Jak zdoła to wszystko zjeść? W mieszkaniu Ramona czuła się jak intruz, nawet jeśli nie było to mieszkanie, które dzielił ze swą ukochaną Isadorą. Obecność Noreen będzie dla niego niczym powtórka z koszmaru.

- Nie jemy? - zapytał, stając w drzwiach. Zdjął marynarkę i krawat, rozpiął kołnierzyk i podwinął rękawy koszuli. Nawet bez garnituru był elegancki i nazbyt pociągający.

- Próbuję - odparła, spoglądając na talerz.

Wszedł do pokoju i usiadł przy niej na łóżku. Wyjął widelec ze sztywnych palców, nabił cząstkę jabłka i wsunął jej owoc do ust.

- Przestań - zaprotestowała. Przesunął owocem po jej lekko rozchylonych wargach.

Uniosła głowę. Oczy miał ciemne, na wpół przymknięte. Jest taki przystojny, pomyślała. Nigdy nie spotkała przystojniejszego, bardziej zmysłowego mężczyzny. Ona sama wygląda pewnie jak zmokła kura.

Pochylił się nad nią.

- Zjedz - szepnął.

Odruchowo otworzyła usta, lecz nie czuła smaku owocu.

Zerknął na bliznę, widoczną ponad białą bawełnianą koszulą, którą włożyła z pomocą pielęgniarki. Uderzenia jej serca były silne i regularne, ale też szybkie. Słyszał mechaniczny stuk nowej zastawki.

- Dalej cię boli? - spytał. - Gdybyś potrzebowała, weź leki.

- Tylko trochę mi dokucza.

- Tutaj? - Przesunął palcem wzdłuż blizny w dół, pod koszulę.

Syknęła i chwyciła go za rękę.

Uśmiechnął się, jakby podobała mu się ta reakcja. Opuścił dłoń i zajął się kolejną porcją jedzenia na talerzu.

- Nie możesz... - zaprotestowała szeptem.

- Owszem, mogę. Karmił ją powoli, zmysłowo obserwując usta, kiedy żuła kęs za kęsem. Jego spokojny wzrok przyspieszał bicie jej serca. Z pewnością widział to i słyszał.

Ramon był zachwycony. Czuł, że nie jest jej obojętny, więc może zdoła naprawić wyrządzoną krzywdę. Podobało mu się, że tak na niego reaguje. Od dawna nie czuł się tak ożywiony i męski.

Wejście panny Plimm przerwało jego rozmyślenia.

- Pora na lekarstwo - oznajmiła pielęgniarka i wręczyła Ramonowi kubek. - Przyjemnie jest mieć lekarza przy sobie, prawda? - zażartowała i wyszła.

Ramon podał Noreen tabletki i sięgnął po kubek z sokiem. Uniósł ją trochę, by mogła bez trudu się napić. W tej pozycji cienka koszula zwisała luźno, ledwie zakrywając ładne piersi. Noreen zauważyła, że Ramon zerka w dół, i szybko opadła na poduszki, zarumieniona. Spojrzał jej w oczy.

- Jestem lekarzem - przypomniał. Spuściła wzrok na kubek z sokiem i nie odpowiedziała. Usłyszała ciche westchnienie, gdy wstał z łóżka i stanął obok z rękami w kieszeniach.

- Zjedz kolację - powiedział cicho. - Później cię zbadam. Mam jeszcze trochę papierkowej roboty.

Nie patrząc na niego, skinęła głową. Serce biło jej mocno i to nie z powodu sztucznej zastawki. Nienawidziła swojego zachowania i tego, że Ramon je dostrzega.

Zauważył niechęć na jej twarzy, ale nie znalazł właściwych słów. Przed operacją wydawało mu się, że on ją pociąga, ale teraz myślała chyba tylko o tym, by trzymać go na dystans.

Wspomniał minione lata i młodzieńką Noreen, rumieniącą się, gdy tylko na nią spojrział, kryjącą się przed nim, obserwującą go i spuszczać wzrok. Zawsze ubraną w niegustowne ciuchy. Ciągle trzymającą się na uboczu.

Zmarszczył czoło w zamyśleniu. Tak było od chwili, gdy pierwszy raz przyszedł do domu z Isadorą. Oczywiście Isadora była piękna, więc nie oglądał się za jej bladym cieniem, jakim była Noreen. Po ich ślubie Noreen nigdy nie odwiedziła kuzynki. Unikała go nawet w pracy. Tak układała sobie dyżury, że rzadko go spotykała.

Nie lubił tych wspomnień, bo budziły w nim niepokój. Dlatego nigdy nie pozwolił sobie przyjrzeć się Noreen dokładnie, ani zastanowić się, dlaczego tak często się z nią spiera.

Odsunął te wspomnienia i wyszedł z pokoju zajmowanego przez Noreen. Przez cały wieczór zachowywał się tak cicho, że zaskoczył obie kobiety, wchodząc nagle do sypialni. Zbadał Noreen pobieżnie, poprosił pannę Plimm, by podała chorej środki przeciwbólowe i poszedł do łóżka, wciąż zamyślony i roztargniony.

Zirytował się bardziej, niż chciał to przyznać, kiedy w sobotę przed drzwiami mieszkania stanął Brad z bukietem kwiatów dla Noreen. Wpuścił go do środka i polecił pannie Plimm, by zaprowadziła go do sypialni.

Nie pomyślał o kwiatkach. Było jasne, że Noreen jest wzruszona i zaskoczona gestem Brada. Ramon nie dał jej nawet kaczeńca. Ciężko przeżywał swoje przeoczenie, widząc, jak młody mężczyzna pochyla się i całuje blady policzek Noreen, a ona uśmiecha się ciepło.

Wrócił do gabinetu i zamknął drzwi. Życie uczuciowe Noreen nie jest jego sprawą, tłumaczył sobie. Jej fizyczna reakcja na jego obecność to tylko przypadek, okrutny kaprys losu. Nie lubiła go. Może pociągał ją fizycznie, lecz walczyła z tym całą siłą woli.

Dopilnował przecież, żeby nie dać jej żadnych powodów do sympatii. Traktował ją z sarkazmem w okresie małżeństwa i nienawidził po śmierci Isadory.

Spojrzał na ścianę, gdzie wisiał portret żony. Tuż po ślubie zażyczyła sobie, by namalował go znany portrecista. Jasno-błękitne oczy były pozbawione jakichkolwiek uczuć. Oczywiście, artysta uchwycił samą istotę jego żony, kobiety pięknej i pustej wewnątrz. To zabawne, że Isadora lubiła ten obraz.

Nie miał dyżuru, więc nalał sobie drinka i usiadł w fotelu.

W chwilę później kociak przebiegł po dywanie, wskoczył mu na kolana, zwinął się w kłębek i zamruczał.

Ramon pogłaskał go czule, a wielkie zielone oczy spojrzały na niego z zachwytem. Przynajmniej kot mnie lubi, pomyślał.

Weszła panna Plimm, a wraz z nią od strony sypialni dobiegł wesoły śmiech.

- Mam poprosić kucharkę, żeby podała kolację pół godziny później? - spytała cicho.

- To dobry pomysł. - Westchnął. - Z odgłosów wynika, że mają sobie dużo do powiedzenia.

- Wygląda pan na zmęczonego - stwierdziła. - Może coś panu przynieść?

Uniósł szklankę.

- Mam wszystko, czego mi trzeba. Zerknęła w stronę sypialni.

- Przyniósł jej duży bukiet kwiatów, a ona dopiero co wyszła ze szpitala - mruknęła. - Ich zapach może jej zaszkodzić, ale ludzie nigdy nie myślą o takich rzeczach.

Wróciła do swojego pokoju, a Ramon spojrzał na drzwi sypialni. To dziwne, ale myśl o kochanku Isadory nie irytowała go tak bardzo, jak przyjaciel Noreen. Oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy.

Godzinę później panna Plimm potrząsnęła nim delikatnie.

- Telefon? - zapytał, przytomniejąc natychmiast.

- Nie, proszę pana, kolacja. A pan Donaldson już sobie poszedł.

- Aha. Trzymała w ręku bukiet kwiatów.

- Postawię je w jadalni - oświadczyła.

- A co ona na to? - spytał spokojnie. Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

- Nie pytałam - odparła i wyszła. Zajrzał do sypialni. Noreen nie było w łóżku. Usłyszał, jak otwierają się drzwi łazienki i zobaczył, że chora wychodzi z niej wolno, z trudem stawiając kroki.

- Nie mogłaś poprosić o pomoc? - mruknął. Zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją na rękę i zaniósł do łóżka.

Wyczuł, że Noreen sztywnieje. Zatrzymał się przy łóżku i spojrzał na nią, marszcząc czoło.

- Jesteś przestraszona - powiedział nagle. - Dlaczego? Przełknęła ślinę.

- Postaw mnie... Nie zwrócił uwagi na tę nerwową prośbę. Wpatrzony w przeszłość, myślał gorączkowo.

- Bezkształtne ubrania - mruknął. - Żadnego makijażu, zawsze się trzymałaś na uboczu. Dlaczego?

- Nie masz prawa... - zaczęła.

- Ale i tak mi odpowiesz.

- Nic nie powiem. Trzymając Noreen na kolanach, usiadł na brzegu łóżka.

Oparł ją o swoje ramię, a ręką sięgnął do jedwabnej koszuli, tuż pod kształtną piersią.

Chwyciła jego rękę w nadgarstku i próbowała odepchnąć, ale nawet nie drgnął. Wolno zaczął przesuwać dłoń, przez cały czas przyglądając jej się czule.

Syknęła, gdy jego palec delikatnie dotknął twardej sutki. Zadrzała i jęknęła.

- *Querida* - szepnął, nie przejmując się tym gdzie są, nie myśląc o otwartych drzwiach, o przeszłości. Zsunął koszulę z ramienia Noreen i delikatnie przytknął wargi do ciepłej, miękkiej skóry odsłoniętej piersi.

- Ramon - szepnęła, wsuwając palce w jego ciemne włosy. Starła się odzyskać panowanie, utracone w chwili, gdy jej dotknął. - O Boże... przestań!

Lecz gdy jej chrapliwy głos prosił, ciało wygięło się w łuk, próbując zbliżyć się do ciepłych ust Ramona. Drżała z rozkoszy, jaką wywoływał dotyk jego warg.

Czuła, jak Ramon delikatnie przesuwa dłonie, jak układa ją na łóżku. Wyczuwała jego oddech i przyspieszone bicie swego serca.

Ramon usłyszał stuk talerzy stawianych na stole i uniósł głowę. Zerknął na piękną pierś Noreen, na wąską czerwoną bliznę wzdłuż mostka, a potem spojrzął w jej szeroko otwarte, przerażone oczy.

Chwyciła koszulę, lecz powstrzymał ją i znów spojrzął na pierś, zafascynowany jej kształtem i kremową barwą.

- Zaraz będzie kolacja! - krzyknęła panna Plimm z sąsiedniego pokoju.

Ramon z trudem oddychał. Spojrzął w oczy Noreen, jęknął cicho, okrył ją i wstał. Odwrócony tyłem do łóżka i drzwi, pozornie wyglądając przez okno, walczył z demonami pożądania. To już tyle lat...

Usłyszał kroki.

- Doktorze? - zawołała panna Plimm.

- Zaraz przyjdę.

- Przynieść coś pani, panno Kensington?

- Nie, dziękuję - odparła Noreen.

- Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę wołać. Noreen drżała od stóp do głów. Nie mogła nawet patrzeć na Ramona. Wstydziła się swojej bezradności i niemocy.

Po minucie podszedł do łóżka, a błysk pożądania w jego oczach wzbudził w niej dreszcz. Podciągnęła kołdrę pod szyję, a ten ruch wywołał ból, natychmiast widoczny na jej twarzy.

Ramon bez słowa otworzył fiolkę i wysypał na dłoń dwie tabletki. Przysunął lek do jej ust i podał szklankę wody.

Z ponurą miną odsunął kosmyk włosów Noreen, pochylił się i musnął wargami jej czoło.

Próbowała coś powiedzieć, ale przyłożył jej palec do warg.

- Są w życiu chwile tak piękne - szepnęła - że każde słowo wydaje się bluźnierstwem.

Wstrzymała oddech, widząc wyraz jego twarzy, chociaż to, co mówił, nie miało chyba sensu.

- Śpij - powiedział łagodnie. Zdumiona, wciąż czując jego dotyk, przymknęła oczy.

Ból, szok i zmęczenie z wolna wzięły górę nad resztą doznań. Po chwili zapadła w głęboki sen.

Uparcie udawała, że nic się nie stało. Ale Ramon zrozumiał już jej dawne zachowanie. Te stare ciuchy, usuwanie się w cień, wszystko to po to, by ukryć, jaki on ma na nią wpływ, jak jest bezbronna. Gdy tylko jej dotknął, należała do niego. Teraz już wiedział. I ona także.

Noreen bała się, że Ramon zechce to wykorzystać. Z każdym dniem była bardziej niespokojna i wystraszona. Czuła się coraz gorzej. Bolała ją rana, nie mogła zasnąć bez leków. Dobrze, że miała przy sobie pannę Plimm, nie tylko ze względu na fachową opiekę, ale też dlatego, że pielęgniarka stanowiła bufor między nią a Ramonem. Mimo wszystkich jego czułości, Noreen nie ufała mu ani trochę.

Na pewno było mu przykro, że tak źle ją osądził, ale żał po stracie ukochanej żony był jak najbardziej rzeczywisty. Ten żal i gniew nie zniknął tylko dlatego, że Noreen przeszła operację serca. To jedynie cisza przed burzą. Nie miała wątpliwości, że poczuje się dobrze, kiedy tylko Ramon powróci do swego zwykłego, pełnego mściwości zachowania. Nie mogła mu ulec. Słabość jest niebezpieczna. Jeśli okaże, jak ją pociąga, może to wykorzystać, by znowu ją zranić.

Te myśli i lęki powodowały, że gdy Ramon wchodził, Noreen zamykała się w sobie, zachowując się chłodno i oficjalnie.

Tymczasem Ramon pracował do utraty sił, by stłumić wspomnienie Noreen trzymanej

w swoich ramionach. Była słaba po operacji, delikatna i w dodatku gościła w jego domu. Nie miał prawa tego wykorzystywać.

Problem w tym, pomyślał smętnie, że przez lata tłumił uczucie do Noreen i teraz z trudem nad nim panował. Dopiero jej nagła choroba sprawiła, że spojrzął na nią innymi oczami. Nawet teraz trudno było mu to przyznać.

Wystarczyły dwa miesiące małżeństwa z Isadorą, by zrozumiał, że popełnił błąd. Lecz honor i duma nakazywały mu żyć w związku pobłogosławionym przez Kościół. Tradycja nie pozwalała złamać małżeńskiej przysięgi. Nikt nie znał jego prawdziwych uczuć, gdyż dobrze je ukrywał. Demonstrował światu głęboką miłość, przekraczając wszelkie romantyczne oczekiwania żony. Ale za uśmiechami i kłamstwami kryło się zimne, pozbawione uczucia małżeństwo dwóch zupełnie niepasujących do siebie osób. Uroda Isadory ukryła przed nim jej prawdziwy charakter.

Sączył kawę w szpitalnym bufecie, wykorzystując zbyt krótką przerwę między operacjami. Śmierć Isadory uświadomiła mu, jak nieudane było ich małżeństwo. Poczucie winy, że tak często zostawiał ją samą, nabrało wtedy wielkiej wagi, więc wygodniej mu było obwiniać Noreen za opuszczenie kuzynki. Teraz widział, jak okrutnie potraktował kobietę, która mogła umrzeć tej samej nocy.

Kensingtonowie chyba też mieli wyrzuty sumienia. Odkąd Noreen opuściła szpital, nie zdradzała chęci spotkania z ciotką i wujem. Ich sugestie, że chcą ją odwiedzić, całkiem zignorowała. Oni, podobnie jak Ramon, chcieli zacząć wszystko od nowa. Noreen najwyraźniej nie.

Dopił kawę i przeciągnął się. Ciekawe, co Noreen czuje do swojego przyjaciela Brada, który przyniósł jej kwiaty i siedział przy niej przez godzinę. Ten młody człowiek nie podobał mu się, i to bez żadnych powodów. Ramon nie chciał przyznać, że jest po prostu zazdrosny.

Westchnął ciężko, spojrzął na zegarek i skrzywił się. Czas wracać do pracy.

Wracając po operacji, ze zdumieniem ujrzał w poczekalni Kensingtonów.

Hal odezwał się pierwszy, kiedy tylko usiedli w spartańsko urządzonej gabinecie Ramona.

- Co moglibyśmy dla niej zrobić? - zapytał bez wstępu.

- Chcemy jakoś jej pomóc - dodała Mary, - Na pewno coś się znajdzie. Rachunek za szpital, leczenie, stracone dochody...

- Nie chce z nami rozmawiać - mówił dalej wuj, przerywając żonie. - Ale, wiesz, nie mamy do niej pretensji. Chcemy tylko jej dobra. Zawiniłiśmy - dodał zakłopotany.

- Ja również - odparł Ramon. - Wszyscy tak łatwo obciążyliśmy ją winą. Lekarz uważa,

że to był lekki atak serca. Próbowala mu wtedy wytłumaczyć, że musi wracać do Isadory, a on dał jej środki usypiające. - Ramon splótł palce i położył dłonie na biurku. Wpatrywał się w lśniącą powierzchnię blatu. - Mimo to sama się obwinia, a my nie braliśmy pod uwagę tego, co ona czuje. Kochała Isadorę. A my nawet nie pozwoliliśmy jej na wzięcie udziału w pogrzebie.

Mary przygryzła wargę, by powstrzymać łzy. Kochała córkę tak bardzo, że bez namysłu odepchnęła bratanicę. Nie było łatwo spojrzeć na te wszystkie lata i uświadomić sobie, że nigdy nie dbali o uczucia Noreen.

- Nie wiedzieliśmy, że ma kłopoty z sercem - mruknęła.

- Nie sprawdziliśmy nawet, czy przeszła jakiegokolwiek badania.

- To nas nie obchodziło - stwierdził krótko Hal. - Ona nigdy nas nie obchodziła. - Oparł głowę na dłoniach i westchnął znużony. - Czuję się okropnie. Wiesz, oskarżyła nas, że przyszlismy ją odwiedzić tylko dlatego, żeby ludzie nie gadali o naszej niewrażliwości. I pewnie tak to odczuła. - Podniósł głowę. - Ale nie o to chodziło. Byliśmy naprawdę wstrząśnięci i było nam przykro z powodu tego, co jej się przydarzyło. Chcielibyśmy ją zobaczyć. Pomożesz nam? Przekonaj ją, poproś o wybaczenie w naszym imieniu. Możemy jej przynajmniej pomóc finansowo, jeśli tego potrzebuje.

Ramon spoglądał na nich przez chwilę.

- Muszę o tym pomyśleć przez parę dni - powiedział.

- Spróbuję znaleźć sposób. Mam nadzieję, że jeden dla nas wszystkich.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jeśli nawet rozmyślanie o tym, jak przekonać Noreen, były łatwe, to wprowadzenie ich w czyn okazało się znacznie trudniejsze. Odkąd ją pocałował, zamknęła się w grubej skorupie. Panna Plimm zauważyła nagłą wstydlivość Noreen i lęk przed Ramonem. Rozmawiała z nim o tym wieczorem.

- W jej wieku, mimo osłabienia i bólu, powinna szybciej wracać do sił - oświadczyła z przekonaniem. - Zauważyłam, że jest bardziej nerwowa, gdy pan jest w pobliżu.

Ramon usiadł w skórzanym fotelu, zmęczony po długim dyżurze.

- Też to zauważyłem - odparł spokojnie, wskazując pannie Plimm sofę stojącą naprzeciw. - Czy wie pani, że przez lata między mną a Noreen były nieporozumienia? - spytał.

- Powiedziała mi o tym.

- To była moja wina. Uznałem, że zostawiła moją żonę samą w krytycznym stanie i pozwoliła jej umrzeć. - Uniósł rękę, gdy pielęgniarka usiłowała coś powiedzieć. - Proszę

pozwoić mi skończyć. Teraz wiem, że nie można jej winić za to, co się stało. Myliłem się bardzo, podobnie jak jej ciotka i wuj. Przyznaję to. Ale Noreen tak się od nas oddaliła, że nie potrafimy się do niej zbliżyć. - Rozłożył ręce. - Jesteśmy w kropce. Żadne z nas nie wie, co robić. Nie mamy do niej pretensji o to, co czuje, ale chcemy zawrzeć pokój. A ona nam nie pozwala.

- Ona wciąż cierpi - odparła panna Plimm. - I potrzebuje czasu, żeby się przystosować. Proszę być cierpliwym.

- Obawiam się, że cierpliwość nie jest moją zaletą, chyba że w czasie operacji - odparł z lekkim uśmiechem. - Ale spróbuję.

Panna Plimm wstała.

- Powiedziała panu Donaldsonowi, żeby nie przynosił kwiatów - dodała. - Ich zapach jest niezdrowy, zwłaszcza dla chorej po operacji. Powinien sam o tym wiedzieć.

- Odwiedzał ją ostatnio? - spytał Ramon, mrużąc oczy. Teraz panna Plimm była zakłopotana.

- Przychodzi co drugi dzień. Myślałam, że pan o tym wie. Pielęgniarka wyszła, a on siedział zamyślony. Nie, nie wiedział o wizytach Brada. Irytowało go, że ten chłopak wciąż tu przychodził. Noreen była pod jego opieką, nie Donaldsona. Postara się być w domu przy następnej wizycie i powie mu, co o tym myśli.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że jest nierozsądny, do chwili gdy w piątek otworzył Donaldsonowi drzwi i powiedział, że Noreen nie może przyjmować tak częstych odwiedzin.

- Dlaczego? - spytał Brad. Ramon patrzył na niego zaskoczony. Nie mógł znaleźć słów, gdyż, oczywiście, nie było żadnego rozsądnego powodu wypraszania gościa.

- Staram się jej nie przemęczać - mówił dalej Donaldson, próbując udobruchać Ramona.
- Wiem, jaka jest delikatna.

Delikatna. Tak, Noreen jest delikatna, pomyślał Ramon, niemal krucha. Ale jej poczucie niezależności i niezłomny duch sprawiły, że niczego nie zauważył. Oparł się ciężko o framugę.

- Nie wraca do zdrowia tak prędko, jak się tego spodziewałem - powiedział po chwili. - Mimo środków przeciwbólowych, nie śpi po nocach i jest bardzo niespokojna.

Donaldson uniósł głowę.

- Może to reakcja na otoczenie. Wiem, że nic nie może pan na to poradzić. Rozumiem to. Ale nawet ukryta wrogość z pewnością jej nie pomaga. Noreen przez cały czas jest spięta.

Był to ciężki cios, lecz Ramon zdołał przyjąć go spokojnie. Okazywał Noreen wrogość od tak dawna, że wszyscy znali jego uczucia. Teraz umieścił ją w swoim mieszkaniu i

spodziewał się, że natychmiast go polubi. Chyba stracił rozum, licząc na to. Nieważne, że topniała w jego ramionach, gdyż nawet wtedy musiał się jej wydać zagrożeniem. Może uznała, że to kolejny sposób, by ją zranić. Nigdy by tak nie postąpił, ale ona mogła o tym nie wiedzieć. To on był największą przeszkodą w jej rekonwalescencji. Zdumiewające, że musiał mu to uświadomić obcy człowiek.

Odsunął się.

- Proszę z nią porozmawiać - powiedział nagle. - Może wracać do siebie. Panna Plimm mogłaby z nią pojechać. Pomogę jej we wszystkim.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony - odparł zdziwiony Brad.

- Zaskoczyłem pana, panie Donaldson? - Ramon uniósł brwi.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę.

- Wszyscy wiedzą, jak bardzo nie lubi pan Noreen. Ramon skinął tylko głową w stronę sypialni i wrócił do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Był jednak zbyt poruszony, żeby móc pracować.

Brad uśmiechnął się do Noreen, a ona rozpromieniła się na jego widok.

- Znowu jesteś w dołku? - zażartował, przytykając drzwi, i natychmiast spowaźniał. Usiadł przy niej na łóżku.

- Doktor Cortero powiedział, że jeśli chcesz, możesz wrócić do swojego mieszkania. Wyśle z tobą pannę Plimm i pomoże ci we wszystkim.

Odetchnęła ciężko. Co za ulga. Przebywanie w pobliżu Ramona było torturą.

- Kiedy? - spytała.

- Kiedy tylko zechcesz, jak zrozumiałem. Prosił, żebym ci o tym wspomniał. - Delikatnie pogładził ją po włosach.

- Nie czujesz się tu dobrze, prawda?

Pokręciła głową i spuściła wzrok.

- Ramon jest bardzo uprzejmy, ale wolałabym być w domu, gdzie wszystko jest znajome. Jestem pewna, że mu przeszkadzam, chociaż tego nie okazuje. Nie może nawet... nikogo przyjąć... kiedy ja tu leżę.

- Nikogo?

- Żadnej kobiety - mruknęła.

- Tak, jest pod względem wstrzemięźliwości seksualnej rekordzistą. Nawet szpitalne plotkarki nie mogły wykryć żadnych pogłosek na jego temat. Z nikim się nie spotyka. Pewnie wciąż oplakuje swoją żonę.

- Miał obsesję na punkcie Isadory - przyznała.

- Na pewno bardzo ją kochał.

- Nad życie. Dlatego tak bardzo mnie nienawidzi. Przypuszczam, że nie osądza mnie tak surowo jak dawniej, odkąd miałam operację. Ale trudno zaprzeczyć, że zostawił żonę pod moją opieką, a ja pozwoliłam jej umrzeć. - Oczy Noreen były pełne bólu. - Ja też ją kochałam - szepnęła. - Nawet jeśli żadne z nich się tego nie domyślało. Potrafiła być dobra, jeśli tylko chciała. Wszyscy ją rozpieszczali, bo była taka piękna.

- Piękno jest tylko zasłoną - odparł chłodno. - Nie ma żadnego związku z ludzkim charakterem. - Poklepał ją po ręku. - Ty też z nikim się nie spotykasz - zauważył. - Czy pęka ci serce, w przenośni, oczywiście, z powodu kogoś, kogo nie możesz zdobyć?

Nie odpowiedziała. Musiała się opanować. Ramon zgodził się ją odesłać do domu, gdyż pewnie był zmęczony jej obecnością w jego mieszkaniu. To ciągle wspomnianie Isadory musi być dla niego torturą. Nie myślała o pocałunkach. Pewnie był samotny już tak długo, że każda kobieta, w każdym stanie wywołałaby u niego taki odruch.

Opadła na poduszki. Musi zabrać ze sobą pannę Plimm i zdobyć jakoś pieniądze, żeby jej płacić.

- Zapytaj go - powiedziała w końcu - kiedy mogę wyjechać.

Twarz Ramona nie zdradzała żadnych emocji, kiedy Brad zadał mu to pytanie.

- Zorganizuję wszystko - oznajmił, odprowadzając go do drzwi. - Im szybciej, tym lepiej.

- Dzięki. Naprawdę wydaje mi się, że szybciej stanie na nogi w znajomym otoczeniu. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

- Rozumiem. Ramon zamknął za nim drzwi i zawahał się, zanim wszedł do sypialni Noreen. Siedziała sztywno, oparta o poduszki.

- Jeśli chcesz, możesz wrócić do siebie jutro rano. Porozmawiam z panną Plimm - dodał. - Jest tylko jedna sprawa. - Skinął głową na kotka, zwiniętego u jej stóp. - Nie możesz zabrać ze sobą Moskita.

- Wiem - odparła ze smutkiem. Przywiązała się do malca. Ale nie mogła go ukrywać, gdyż właściciel i jego żona z pewnością z czystej zyczliwości będą często do niej zaglądać.

- Zaopiekuję się nim - obiecał Ramon. Kiwnęła głową.

- Dlaczego nie chcesz tu zostać? - spytał w końcu, zirytowany. - Masz pod ręką wszystko, czego ci trzeba. Donaldson odwiedza cię bez przerwy. Dlaczego tak bardzo chcesz wrócić do pustego mieszkania?

- Bo jest moje - odparła, unosząc głowę. - I lubię mieszkać sama. Źle się czuję w towarzystwie.

- W moim towarzystwie, chciałaś powiedzieć. Zacisnęła zęby.

- Tak. Podszedł bliżej, sondując ją ciemnymi oczami.

- Budzę w tobie niepokój.

Odwróciła głowę. Serce biło jej szybko, zdradzając podniecenie.

- Odpowiedz - rzucił ostro.

Zacisnęła mocno dłonie, jakby zależało od tego jej życie. Nie chciała na niego patrzeć.

Włożył ręce w kieszenie, żeby nie chwycić jej za ramiona.

- Oczywiście jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś - odparła po chwili.

- Uratowałeś mnie, lecz nie musiałeś poświęcać aż tyle swojego czasu. Ciągłe ci go brakuje w twoim prywatnym życiu.

- Moje prywatne życie, jak to określiłaś, jest dość samotne. - Spojrzała ze zdziwieniem na jego smukłą twarz. - Nie przyjmuję gości. Myślałem, że wiesz.

- Ale... zawsze przyjmowałeś.

- Kiedy żyła moja żona - zgodził się. - Isadora wciąż wydawała przyjęcia. Nie potrafiła żyć bez ludzi i muzyki. Spędzałem coraz więcej czasu w gabinecie, bo tutaj nigdy nie mogłem zostać sam, by poczytać czasopisma medyczne czy przygotować artykuł. Od samego początku naszego wspólnego życia nie lubiła mojej pracy. Chciała, żebym z niej zrezygnował. Nie wiedziałaś o tym?

Pokręciła głową.

- To byłaby wielka szkoda. Jesteś najlepszy w swojej dziedzinie. Nie wiedziała, ile osób ocaliłeś?

- Nie obchodziło ją to - odparł. - Isadora tak naprawdę interesowała się tylko sobą. Zdarza się to wielu rozpuszczonym dzieciom: wyrastają bez współczucia dla innych, zajmują się jedynie swoimi zachciankami i kapryсами. Potem zakładają rodziny i nie są przygotowani do poświęceń. W końcu załamują się, tak jak Isadora.

- Zawsze wydawała się bardzo szczęśliwa. Ty też.

- Człowiek udaje, żeby nie przyznać się do porażki - mruknął. - Byliśmy ideałem szczęśliwego małżeństwa, prawda? Ale gdzieś pod jego powłoką tkwiła zazdrość Isadory, niezadowolenie, coraz silniejsze uzależnienie od alkoholu i przyjęć, dzięki którym mogła przeżyć długie samotne dni i noce.

Nigdy nie mówił o tym. Patrzyła na niego i nie mogła wykrztusić słowa.

- Kochać to dla niej za mało. Musiała posiadać. Ale wewnątrz była zimna. Nie miała do ofiarowania nic, oprócz swojej urody - westchnął, patrząc na Noreen. - Miała obsesję na punkcie antykoncepcji.

- Mówiła, że to ty nie chcesz dzieci - wyrzuciła z siebie.

- Chciałem je mieć. Pragnąłem też kobiecej namiętności - dodał łagodnie. - Dlatego przy tobie straciłem panowanie. Chętne usta kobiety, obejmujące mnie ramiona... To było dla mnie zbyt wiele. Widzisz, nigdy tego nie miałem. Isadora chciała mojej sławy, pieniędzy, nazwiska. Ale nigdy mnie.

- Podziwiała cię - zaprotestowała.

- Podziwiała moje pieniądze - odparł cynicznie. - I to, co mogła za nie kupić. Wiesz, że przede mną miała kochanka? Nie zrezygnowała z niego, wychodząc za mnie za męża. Kochanka miała też wtedy, gdy uparła się, by jechać ze mną do Paryża. Wiedziała, że on też tam będzie. Ostrzegła, że jeśli zostawię ją w domu, zrobi coś, by wyrównać ze mną rachunki. - W jego oczach błysnął gniew. - I wyrównała rachunki w najobrzydliwszy z możliwych sposobów. Umarła, zostawiając mnie z poczuciem winy i odpowiedzialności za jej śmierć.

- Przecież mnie o to obwiniałeś.

- Obwiniałem siebie - przerwał jej gwałtownie. - I wciąż się obwiniam. Zrzucenie winy na ciebie było jedynym sposobem, żeby jakoś to przeżyć. - Wpatrywał się w jej twarz.

- Tak jakbyś mogła pozwolić komukolwiek umrzeć - dodał.

- Przeklinam się teraz za wszystkie ostre słowa i oskarżenia, jakie rzucałem na ciebie w przeszłości. - Westchnął głęboko.

- Nie zrobiłaś nic, pokazałaś mi tylko, jaka była Isadora. A co gorsze, pokazałaś mi, kim nie była.

- Nie rozumiem.

- Jak mogłabyś to zrozumieć? - spytał posępnie. - Nie znasz mnie. Nie mogłem pozwolić, żebyś mnie poznała, bo przebywanie blisko siebie było dla nas zbyt niebezpieczne.

Wciąż patrzyła na niego zdumiona.

- Nie rozumiesz? - zapytał.

- Nie - odparła szczerze. Podeszedł do łóżka i usiadł obok niej. Patrząc jej w oczy, sięgnął palcem do jej warg i obrysował je delikatnie. Serce Noreen zabiło jak oszalałe.

- Teraz rozumiesz? - wyszeptał. - Czujesz? Przyłożył jej dłoń do swojej piersi. Jego serce biło równie szybko jak jej. Ale kiedy patrzyła na tę ukochaną twarz, widziała tylko pożądanie. Pragnął jej, to prawda. Ale to nie była miłość, tylko pożądanie.

- Czuję - odparła. Westchnął i ułożył jej dłoń z powrotem na kołdrze.

- Chyba nie. Boisz się zrozumieć. Wiem, że cię pociągam, Noreen, i że tego nie chcesz. Ciężko pracowałem na to, żebyś mnie znienawidziła.

To było zabawne, ale jakoś nie miała ochoty do śmiechu. Tak naprawdę nie miał

pojęcia, co do niego czuła. Odsunęła się i oparła o poduszki, by nie dojrzał niczego w jej oczach.

Uznał, że się go boi, i wstał.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho. - Nie będę próbował cię podrywać. Już chyba wszyscy sądzą, że to przeze mnie tak powoli odzyskujesz zdrowie. Jeśli chcesz wrócić do swojego mieszkania, odwiozę cię. Możesz zabrać, co tylko chcesz. Oprócz Moskita. - Uśmiechnął się lekko.

Nagle spojrzał jej w oczy.

- Czy współczujesz mi choć trochę, *querida*? - spytał cicho.

- *Quizas un poco* - wymruczała po hiszpańsku. - Może trochę.

Przysunął się bliżej.

- Masz niezły akcent - powiedział. - Czy rozumiesz tak dobrze, jak mówisz?

- Czasami - przyznała - ale to zależy, kto mówi. Najlepiej rozumiem akcent kubański, bo mój nauczyciel pochodził z Hawany.

- Więc rozumiesz mnie, kiedy mówię po hiszpańsku - mruknął. Przygryzł wargi. - Gdybyś została dłużej, mógłbym ci co wieczór czytać Baroję.

Zmięła w palcach kołdrę.

- Isadora dała ci w prezencie powieść „Paradoks królem” - przypomniała sobie.

- Którą ty dla niej wyszukałaś - odparł ku jej zaskoczeniu. - Bo Isadora nigdy nie wypowiedziała ani słowa po hiszpańsku. I nie ceniła pisarzy takich jak Baroja.

- To jeden z moich ulubionych autorów - przyznała Noreen. - Był renegatem, który tak wiele wiedział o cierpieniu.

- To oczywiste. Był przecież lekarzem, zanim zaczął pisać. Noreen poprawiła się na poduszkach i syknęła lekko.

Wciąż czuła ból, odruchowo więc sięgnęła dłonią do blizny.

Kiedy się zagoi, prawie nie będzie śladu - stwierdził Ramon. - Jestem dumny ze swego szycia.

- Tak, wspaniale to robisz - przyznała. Spojrzała mu w oczy. - Byłeś dla mnie bardzo dobry.

- I myślisz, że ta dobroć wynikała z nieczystego sumienia?

- Owszem, przyszło mi to do głowy. Wsunął ręce w kieszenie.

- Wynikała nie tylko z poczucia winy. Po prostu opieka nad tobą sprawia mi radość. Czy to nie jest dziwne? Przedtem nie miałem do kogo wracać. - Wykrzywił wargi. - A teraz przyzwyczałem się do twojej obecności. - Spoważniał. - Nie spodoba ci się w twoim

mieszkanu.

- Myślisz, że nie mogę się z tobą rozstać? - spytała z irytacją.

- Być może - odparł. - Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak się do mnie przyzwyczaiłaś.

Serce Noreen znowu zabiło szybciej. Poczowała się jak uwięziona, mimo że nie zrobił nawet kroku w jej stronę.

- Zostań - rzucił chrapliwie. Nie potrafiła sensownie myśleć.

- Przeszkadzam ci - zająknęła się. - Przychodzi Brad...

- Mogę spokojnie znieść wizyty twojego przyjaciela - stwierdził krótko. - A ty mi nie przeszkadzasz.

Zawahała się. Nie chciała odchodzić, ale być blisko niego to zbyt duże ryzyko. Nie wiedział, co naprawdę do niego czuje, lecz domyśli się, jeśli zostanie tu dłużej. Z drugiej strony dobrze było mieć go przy sobie jako fachowca. Był także Moskit. Będzie za nim tęsknić. Dostawała posiłki przygotowywane przez kucharkę i pokój był ładny...

Te argumenty trochę ją zirytowały. Spojrzała na Ramona urażona tym, że ją kusi.

- Zostań - prosił ją, uśmiechając się. - Będę ci czytał wieczorami.

- Baroję?

- Co tylko zechcesz - powiedział bez tchu. Wyobraziła sobie, jak w świetle lampy czyta hiszpańską poezję tym głębokim, aksamitnym głosem. Zarumieniła się.

- To nie będzie nic zmysłowego - zakpił lekko. - Twoje serce ma bić równo, nie galopować. Przynajmniej na razie.

Nie wiedziała już, co robić.

- Jeśli naprawdę ci nie przeszkadzam... Kociak ziewnął i wdrapał się na jej ramię, wyciągając kilka kosmyków z koka Noreen.

- Czy kiedyś rozpuszczasz włosy? - spytał..

- Rzadko. Przeszkadzają w pracy, a kiedy śpię, wpadają do oczu i uszu. Chciałam je ściąć, ale lubię długie włosy.

- Ja też. Przez chwilę patrzył na nią, wyobrażając sobie te piękne włosy rozsypane na jego nagiej piersi... Odwrócił się nagle i syknął przez zęby.

- Jest jeszcze coś - rzucił już od drzwi.

- Tak?

- Twoja ciotka i wuj bardzo by chcieli cię odwiedzić. - Zauważył, że znieruchomiała. - Wiem, co o nich myślisz, ale na swój sposób jest im przykro i chcieliby się z tobą pogodzić.

Patrzyła na niego w zadumie, pamiętając o długich latach bez miłości. Podszedł do niej i ujął ją za rękę.

- Wybaczenie nigdy nie jest łatwe, Noreen - powiedział.

- Ale bez tego wojny nigdy by się nie kończyły. Musimy przestać spoglądać w przeszłość i zacząć żyć od nowa. - Zajrzał w jej smutne oczy. - Zacznijmy tutaj, od nas. Czy możesz mi wybaczyć?

Czuła na dłoni jego smukłe palce.

- Oczywiście - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. - Nigdy nie miałam do ciebie pretensji o to, co do mnie czułeś.

- Nie wiedziałaś, co czuję - szepnął.

- Wszyscy wiedzieli. Nienawidziłeś mnie. Pokręcił głową.

- Tylko próbowałem. Ale nie udało się. - Zmrużył oczy, jakby poczuł ból. - Słyszałeś kiedyś przysłowie, że ból drąży w nas miejsce dla szczęścia, które przychodzi potem? Może z tobą też tak będzie. Mam nadzieję. Cieszyłbym się, widząc cię szczęśliwą. Tak jak twoja ciotka i wuj. Nie odpychaj nas.

Byłby świetnym adwokatem. Zamknęła oczy.

- Dobrze - powiedziała po chwili. - Spróbuję. Uniósł jej rękę i delikatnie ucałował wnętrze dłoni. Zarumieniła się.

Patrzyła, jak wychodzi z pokoju. Miała wrażenie, że w jej życiu nastąpił zwrot. W oczach Ramona dostrzegła niezwykłą troskę. Jeszcze nie potrafiła rozwikłać tej zagadki, lecz wypoczywanie w kokonie, który dla niej stworzył, było tak miłe, że nie mogła się zmusić, by go porzucić. Przynajmniej na razie.

Zanim wieczorem poszedł spać, zatrzymał się jeszcze w drzwiach jej pokoju i przez chwilę tylko na nią patrzył.

- Będziesz chciała wrócić do pracy, kiedy znowu się dobrze poczujesz? - spytał nagle.

- Oczywiście - odparła zdziwiona zadaniem pytaniem i wyrazem twarzy Ramona. - Lubię moją pracę.

- Wiem. Ale gdybyś miała inne obowiązki...

- Nie rozumiem.

- Tak - westchnął ciężko - wiem, że nie. Zostawmy to. Jeszcze za wcześnie na pewne sprawy. - Uśmiechnął się. - Śpij dobrze.

- Ty też - odparła. - Mam wrażenie, że nigdy nie odpoczywasz - dodała mimowolnie.

Jej troska koła smutek Ramona.

- Praca była dla mnie jedynym ratunkiem przez te długie lata. - Uśmiechnął się lekko.

- Przeżyłeś trudne chwile po przyjeździe do Stanów, prawda?

- Bardzo trudne. Ale wiesz jak to jest, gdy ciągle brak pieniędzy.

- Tak, moi rodzice byli bardzo biedni.

- Pamiętam, jak stałem obok ciebie w kuchni dla bezdomnych i patrzyłem na twoją twarz, gdy nalewałaś zupę. Było tam wielu zmarzniętych, przestraszonych ludzi, a jest tak niewiele osób, które się tym przejmują.

- Wiem. - Spoglądała na niego z uwagą. - Ja o tobie wiem więcej - dodała. - Wykonałeś kilka operacji, za które ci nigdy nie zapłacono, bo pacjenci nie mieli dość pieniędzy ani na operację, ani na ubezpieczenie.

- Mój talent pochodzi od Boga. To dar - odparł. - A człowiek w końcu się uczy, że tym, co ci ofiarowano, należy się dzielić. Teraz jestem jeszcze bardziej wdzięczny Bogu za ten dar. Mogłaś przecież umrzeć.

- Widocznie nie było mi to pisane.

- Nie masz pojęcia, jak się czułem, gdy zobaczyłem twoją twarz bez maski tlenowej. Zrozumiałem, jak bardzo byłem wobec ciebie okrutny, i ogarnęła mnie rozpacz. Zraniliśmy cię okropnie. Nigdy nie zapomnę, co ci wtedy powiedziałem. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia naprawdę mi to wybaczysz. Gryzło mnie poczucie winy. Isadora przyrzekła, że się na mnie zemści; jeśli jej ze sobą nie zabiorę. Przecież nie była aż tak chora, kiedy wyjeżdżałem.

Noreen westchnęła.

- Nie, nie była. Ale przez parę godzin siedziała w samej tylko koszuli w strugach lodowatego deszczu. Celowo. Dlatego tak się rozchorowała. Pokojówka musiała wyjść, a ja już wtedy czułam się słabo. Miałam po kogoś zadzwonić.

- Boże Świąty! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie chciałem cię wysłuchać - odparła. - Isadora musiała wiedzieć, że zapalenie płuc jest bardzo groźne. Wyłączyli na chwilę światło, więc potknęłam się, próbując sprowadzić dla niej pomoc. Pamiętam jedynie to, że usiłowałam odzyskać równowagę.

Zamknął oczy.

- Niech mnie diabli - szepnął chrapliwie. - Noreen! Odsunął się od drzwi i odszedł, tak pełen obrzydzenia dla samego siebie, że nie mógł nawet spojrzeć Noreen w oczy.

- Przykro mi - zawołała, ale jej nie słyszał. Wszystko jedno, pomyślała. Może to i dobrze, że w końcu poznał prawdę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego popołudnia panna Plimm zaprowadziła Noreen pod prysznic. Kąpiel w ogóle nie wchodziła w grę. Noreen miała kilka nacięć po cewnikowaniu serca i jedno długie po

przebytej operacji. Musiała przemywać je delikatnie mydłem antybakteryjnym. Nie mogła się jeszcze zanurzać w wodzie, choć zauważyła, że Ramon ma wielką wannę z mosiężnymi kranami. Zerknęła na nią dyskretnie, spacerując z panną Plimm po mieszkaniu. Miała ochotę na porządną kąpiel. Dobrze przynajmniej, że mogła wziąć prysznic, a panna Plimm pomogła jej umyć gęste włosy.

Gdy Ramon wrócił wcześniej do domu, zastał ją leżącą w łóżku w białej haftowanej koszuli. Panna Plimm suszyła jej długie włosy.

- Zajmę się tym - oznajmił i odebrał pannie Plimm suszarkę. - A pani może ugotuje jakąś hiszpańską potrawę na kolację. Mam ochotę na *fajitas* albo *tamales*. A wy?

- Świetny pomysł. - Panna Plimm uśmiechnęła się, a Noreen skinęła głową. - Zorientuję się, co trzeba kupić i pójdę do sklepu przed obiadem. Skończyło nam się mydło antybakteryjne.

Ramon sięgnął do portfela po pieniądze.

- Niech pani kupi opaskę lub wstążkę - dodał. - Cokolwiek, żeby móc związać włosy naszej pacjentki.

Panna Plimm zachichotała.

- Oczywiście.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Noreen wpatrywała się w jego znużoną twarz.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Przez cały dzień martwiła się, jak zareagował, gdy opowiedziała mu o ostatnich godzinach życia Isadory.

- W porządku - odparł. - Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej. Chodzi mi nie tylko o akt zemsty Isadory - dodał. - Nic dziwnego, że byłaś zgorzkniała.

- Owszem, ale jak sam wcześniej stwierdziłeś, nie możemy żyć przeszłością. Nic nie przywróci Isadorze życia.

- Wiem. Nie pasowaliśmy do siebie od samego początku, lecz człowieka często oślepią pożądanie. - Spojrzał Noreen w oczy. - A ty mnie ciągle unikałaś.

- Robiłam to świadomie - odparła. - Isadora zawsze miała mi za złe, gdy dałam się zauważyć w towarzystwie, zwłaszcza w męskim. - Zaśmiała się ponuro. - Co nie znaczy, że ktoś mnie zauważał. A ty mnie nienawidziłeś.

- To nieprawda. Nie uświadamiałaś sobie prawdy, a Isadora ją znała. Często mnie oskarżała, że mam obsesję na twoim punkcie. Wiesz o tym?

Noreen wstrzymała oddech.

- Słucham? Roześmiał się.

- Nie rozumiesz? Kpiłem z ciebie, bo chciałem, żebyś trzymała się ode mnie z daleka.

Ale moje uczucia do ciebie były gwałtowne. Wciąż są.

- Wciąż mnie nie lubisz? - spytała, próbując zrozumieć, co chce jej powiedzieć.

- Wielki Boże. Westchnął ciężko i pokręcił głową. Usiadł na łóżku przy Noreen i włączył suszarkę, jedną dłonią przeczesując jej włosy. Zdjął marynarkę i rozpiął górne guziki białej koszuli. Pachniał mydłem i wodą kolońską, a jego smagła twarz znalazła się tak blisko, że była pokusą dla warg Noreen.

Wyczuł, że mu się przygląda, i odrobinę odwrócił głowę. Spojrzał w jej szare oczy, aż poczuła przebiegający przez ciało dreszcz.

Suszarka dmuchała zapomniana, dopóki Ramon sobie nie przypomniał, że wciąż trzyma ją w ręce. Wyłączył ją i odłożył. Wolno ujął w dłonie gęste włosy Noreen i uniósł je do ust. Zamknął oczy.

- Śniłem o twoich włosach - szepnął. - Dobrze, że nosiłaś je zwinięte w kok, bo pokusa, aby ich dotknąć, byłaby nie do pokonania. - Niemal z czcią dotykał wargami wilgotnych pasm. - Myślałem, jak by to było, gdybym trzymał je w dłoniach.

Zwrócił uwagę na szybki oddech Noreen. Niechętnie wypuścił z dłoni włosy i spojrzał jej w oczy.

- Nie wiedziałaś, że cię pragnąłem? - zapytał cicho.

- Nie - zająknęła się. - Nie... nie miałam pojęcia. Odetchnął ciężko.

- Nie mogłem ci powiedzieć o tym - stwierdził po chwili. - To dlatego byłem taki sarkastyczny i nieuprzejmy w stosunku do ciebie po ślubie. Zniechęcałem cię. Tak czy inaczej, Noreen, przez ostatnie sześć lat dręczyłem cię bez przerwy.

Patrzyła na niego zdumiona i zafascynowana.

- Czy sprowadzenie mnie tu jest jakimś rodzajem twojej pokuty? - spytała.

Ramon wzruszył ramionami.

- Może tak to pojmowałem, ale sprawa nie jest już taka prosta. Zbyt długo żyłem w cieniu i zapomniałem, jak to jest stanąć twarzą zwróconą do słońca. Nagle polubiłem wracać do domu.

- Do pacjentki - roześmiała się nerwowo.

- Nie jesteś pacjentką. Stałaś się skarbem. Trzymam cię pod kluczem i nie chcę się dzielić tobą z innymi.

Spojrzała na niego, lecz on tym razem nie żartował. Oczy mu błyszczały namiętnie.

- No dobrze. Jeśli tak wolisz, będę się zachowywał bardziej oficjalnie. Lecz gdy całkiem wyzdrowiejesz, to lepiej uważaj - zagroził. - Nie zrezygnuję z ciebie tak łatwo.

Zmarszczyła czoło, ale Ramon już się odsunął.

- Zobaczysz się z ciotką i wujem? - zapytał. Skrzywiła się.

- Chyba tak.

- Zobaczysz, że się zmienili - powiedział. Przyjrzał się jej twarzy obramowanej długimi ciemnoblond włosami. - Cudownie wyglądasz. Wciąż muszę sobie przypominać, że jesteś chora.

- Dlaczego? - spytała bez zastanowienia.

- Ponieważ mam ochotę położyć cię na poduszkach i całować, aż zaczniesz jęczeć z rozkoszy.

Zarumieniła się.

- Ramon!

- Oboje wiemy, że twój stan zdrowia nie pozwala na takie traktowanie, więc nie wpadaj w panikę. Mówię tylko, co cię czeka.

- To groźba?

- Nie. Raczej obietnica - odparł cicho. - Możesz się zastanowić, jaki byś chciała pierścionek.

Zmarszczyła brwi. Może miała gorączkę. Dotknęła dłonią czoła, ale było chłodne.

- Nie noszę pierścionków. Uniósł jej lewą dłoń i spojrzał na smukłe palce z krótko obciętych paznokciami.

- Lubisz białe złoto? - zapytał. - Może z rubinem, żeby pasował do wszystkiego, co jest w tobie ukryte.

- Dlaczego miałbyś mi dać pierścionek? - spytała wciąż oszołomiona.

- Chcę, żebyś była częścią mojego życia - powiedział szczerze. - Właściwie nikogo nie masz, oprócz Donaldsona.

- Skrzywił się, wymawiając to nazwisko i niecierpliwie wsunął ręce w kieszenie. - Nie sądzę, żebyś go kochała - dodał niepewnie.

- Bardzo go lubię - zaprotestowała.

- Ja też go lubię, ale to nie jest męczyzna dla ciebie. Kiedy wychodzi z twojego pokoju, nie jesteś poruszona i zarumieniona.

- A dlaczego miałabym być poruszona?

- Przyszły kochanek musi robić wrażenie na kobiecie - odparł. - Powinnaś drżeć od cudownych zakazanych myśli i pragnień, rumienić się z pożądania i odczuwać rozkosz pod wpływem samego patrzenia na niego. Kiedy Donaldson cię odwiedza, nie dostrzegam żadnego z tych objawów. - Popatrzył na jej zarumienioną twarz, zauważył lekko drżące na kołdrze ręce.

- Jednak wszystkie te objawy zauważam, gdy jesteś ze mną.

Zacisnęła zęby i spojrzała na niego gniewnie.

- Zimno mi - oświadczyła. - I chyba mam gorączkę.

- Bo pragniesz mnie gorączkowo - odrzekł. - Tak samo jak ja ciebie, ale czuję też szacunek, podziw, czułość i pożądanie.

- Nie będę z tobą spała - odparła krótko.

- Nie byłoby to możliwe w twoim stanie - przyznał.

- Nigdy!

- To szmat czasu, a ja jestem cierpliwy.

- Chcę dziś wyjechać!

- Nic z tego. - Uśmiechnął się, widząc jej wściekłość.

- Musisz odpocząć. Kiedy wróci panna Plimm, zjemy obiad. Potem, na krótko, wpadnie z wizytą twoja ciotka i wuj. A wieczorem poczytam ci Baroję.

Chciała uciekać, ale nie miała dokąd. Dostrzegł jej lęk i zrozumiał go może nawet lepiej niż ona sama. Pochylił się.

- Nigdy więcej cię nie zranię - powiedział z naciskiem.

- Ani fizycznie, ani emocjonalnie.

- Czego ty ode mnie chcesz? - spytała szeptem.

- Nie wiesz, Noreen?

Pochylił się bardziej i pocałował ją delikatnie. W tym pocałunku nie było pożądania, jedynie czuła pieśczoła. A kiedy wyszedł, pomyślała, że chyba sobie to wszystko wyobraziła.

Ciotka i wuj zjawili się zaraz po tym, jak panna Plimm wyniosła puste talerze. Byli bardzo uprzejmi, ale skrupowani i trochę zdenerwowani.

- Chcieliśmy przyjść wcześniej, ale Ramon uznał, że powinniśmy poczekać, aż poczujesz się lepiej. - Wuj pochylił się troskliwie nad nią. - Masz wszystko, czego ci trzeba?

- Tak - potwierdziła. - Ramon opiekuje się mną troskliwie. Jestem jego pacjentką - dodała szybko, by nie pomyśleli, że próbuje w jego życiu zająć miejsce ich córki.

Mary Kensington wydawała się starsza i o wiele mniej pewna siebie.

- Isadora nie żyje - powiedziała cicho. - Zrobiliśmy z niej świętą, ponieważ bardzo cierpieliśmy, kiedy umarła. Ale była tylko kobietą, Noreen. Wiemy, jak było między nią a Ramonem, więc nie myśl, że swoją tu obecnością kalasz czyjeś wspomnienia. - Uśmiechnęła się smutno. - Żałuję tylko, że nie wiedzieliśmy, w jakiej jesteś sytuacji. Pamięć o tym, jak źle cię potraktowaliśmy, sprawia nam ból, który nigdy nie minie. Mam tylko nadzieję, że zdołasz nam wybaczyć.

- Chcielibyśmy coś dla ciebie zrobić - dodał wuj. - Cokolwiek. - Wyglądał na bardzo

zakłopotanego. - Nie jest łatwo się przyznać, że byliśmy idiotami.

Wyglądali tak żałośnie, że Noreen nie mogła czuć do nich żalu. Miała zbyt miękkie serce.

- Może powinnam zmusić was wtedy, żebyście mnie wysłuchali - powiedziała cieplejszym tonem. - Nie jestem tak całkiem bez winy. W końcu Isadora umarła przeze mnie.

- Umarła, ponieważ Bóg uznał, że przyszła na nią pora - odparła spokojnie Mary. - Zmieniliśmy się przez ostatnie dwa lata. Może o tym nie wiesz, ale nie z powodu plotek odwiedziliśmy cię w szpitalu.

- Chcemy wszystko naprawić. Ostatnio jesteśmy bardzo samotni. Chcielibyśmy, żebyś nas czasem odwiedzała - dodał wuj, spuszczać wzrok.

- Z przyjemnością was odwiedzę, kiedy tylko wyzdrowieję.

- Moglibyśmy wyjechać razem na Karaiby - zaproponowała nagle Mary. - Dobrze by ci to zrobiło, gdybyś poleniuchowała w słońcu. Na pewno zbyt ciężko ostatnio pracowałaś.

- To fakt, ale kocham tę pracę - odparła.

- I tak przez parę miesięcy nie będziesz mogła pracować - stwierdził wuj. - Wakacje z pewnością ci nie zaszkodzą.

Zawahała się, gdyż właśnie uświadomiła sobie, że prędzej czy później będzie musiała opuścić Ramona.

- Pomyśl o tym - namawiała ją Mary. - Nie musisz decydować się w tej chwili.

- Zastanowię się. Dziękuję. Wciąż byli zakłopotani, ale i tak atmosfera była lepsza niż kiedykolwiek. Z czasem, pomyślała Noreen, gdy wujostwo wychodzili, mogą naprawdę stać mi się bliscy.

Po ich wyjściu Ramon zajrzał do sypialni, by sprawdzić, jak wizyta wpłynęła na pacjentkę. Miał w ręku stetoskop, a za nim maszerowała panna Plimm.

- Muszę cię zbadać - oświadczył. Noreen była zdziwiona, że panna Plimm została, kiedy Ramon ją badał, ale może żałował tych szalonych wyznań i nie chciał, by źle zrozumiała jego intencje. Dlatego sprowadził świadka, który może potwierdzić, że zachowywał się wobec pacjentki, jak przystało na lekarza.

- Zastawka działa świetnie. Oczywiście, trzeba ją będzie kontrolować - stwierdził.

- Ciotka i wuj chcą mnie zabrać na wakacje na Karaiby - oznajmiła.

Oczy mu pociemniały.

- Nie za szybko - odparł. - Wolę, żebyś była blisko szpitala. Nie, nie spodziewam się żadnych kłopotów - dodał pośpiesznie, widząc wyraz jej twarzy - ale to nierozsądne opuszczać kraj po ciężkiej operacji!

- Rozumiem.

- Na razie żadnych wyjazdów - rzucił krótko. - Dopóki nie będziesz w dobrym stanie, a to znaczy co najmniej trzy miesiące po operacji. Wtedy może.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Noreen nie miała pojęcia, dlaczego tak się rozgniewał. Nie przeszkadza mu chyba to, że próbuje naprawić stosunki z wujem i ciotką.

Nie zajął do niej aż do wieczora. Z pewnością pracował. Poznała to po zmęczeniu widocznym na jego twarzy.

- Nieplanowana operacja - wyjaśnił, niemal padając na fotel przy łóżku. - Nie udała się. Musiałem o tym powiedzieć jego ciężarnej żonie. - Uderzył pięścią w poręcz fotela. - Niech to diabli! Dlaczego ludzie w ogóle nie myślą? Facet od lat wiedział, że ma chore serce, ale nie poszedł do lekarza, nawet kiedy brakowało mu tchu i zaczęło boleć w piersi. Stracił przytomność w biurze, a kiedy go przywieźli, większa część serca była już martwa. Nie można wymienić martwej tkanki. Nic nie mogłem dla niego zrobić. Przeklęty pech!

Był wściekły, lecz Noreen wyczuwała gdzieś w głębi duszy jego rozpacz, że nie zdołał ocalić człowieka.

Wyciągnęła do niego ramiona.

Z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom. A potem podszedł do niej ostrożnie i nie uciskając jej piersi, zanurzył twarz w jej długich, miękkich włosach. Poczowała wilgoć na policzku, pogładziła go i uśmiechnęła się smutno.

- Nie dręcz się - szepnęła, gładząc jego gęste, czarne włosy. - Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś. Ale to Bóg decyduje, kiedy człowiek ma umrzeć. Nawet najlepszy chirurg nie może sprzeciwić się Jego woli. To nie twoja wina, Ramon. Odetchnął głęboko i rozluźnił się nieco.

- Wychowali cię na katoliczkę? - zapytał nagle.

- Tak. Ale później chodziłam z ciotką do kościoła prezbiteriańskiego.

Uniósł głowę. Oczy błyszczały mu jeszcze wilgocią. Odsunął kosmyk włosów z jej czoła.

- Ja też jestem wierzący, a w takich chwilach wiara mnie podtrzymuje.

Przesunęła palcem po jego policzku.

- Wiem, że to boli, kiedy tracisz pacjenta. Ja też cierpię, kiedy pacjent umiera, choć jestem tylko pielęgniarką. - Uśmiechnęła się lekko. - Powtarzają nam, żebyśmy nie podchodziły do naszej pracy emocjonalnie, ale nie zawsze to potrafię.

- To prawda - odetchnął głęboko. Dostrzegł w jej oczach czułość, której nie potrafiła ukryć.

- Kochasz dzieci, Noreen? - spytał. - Pamiętam, jak spotkałem cię raz na pediatrii.

Bawiłaś się z maluchami, a potem płakałaś na korytarzu.

Noreen przypomniała sobie, jak Ramon spędził z nią kilka minut, opowiadając o nowych metodach leczenia i eksperymentalnych lekach. Mówił, dopóki nie przestała płakać. Czemu nie zdziwiła się wtedy, że największy wróg zaofiarował jej pocieszenie?

- Były takie małe, a zaznały już tyle cierpienia.

- Pewnego dnia znajdziemy lekarstwo na raka - obiecał.

- Mam nadzieję. - Spojrzała mu w oczy. - Czujesz się lepiej?

Uśmiechnął się.

- O wiele lepiej.

- Jadłeś coś? Pokręcił głową.

- Nie byłem głodny. Ale teraz coś bym zjadł. A ty?

- Zjadłam trochę zupy. Była świetna.

- Chyba też ją zjem. Przynieść ci coś?

- Nie, dziękuję. Widziałeś Moskita? - spytała.

- Wpadł do kuchni, żeby coś przekąsić. - Ucałował jej dłoń. - Zauważyłaś, że wzajemnie się pocieszamy? - zapytał cicho.

Zarumieniła się.

- Zrobiłabym to samo dla...

- Każdego? Tak, wiem. Ale może nie w ten sam sposób. - Pochylił się i musnął wargami jej usta. - Czy mogę ci potem poczytać Baroję?

- Tak.. - Uśmiechnęła się.

- Wrócę za parę minut.

Wstał z łóżka i spojrział na nią z wdzięcznością. Nikt nigdy nie ukoił tak jego żalu.

Przeczytał pierwszy rozdział powieści „Paradoks królem”, przerywając co jakiś czas, żeby pomóc jej w tłumaczeniu trudniejszych słów.

- Najbardziej podoba mi się ten późniejszy fragment, w którym ta feministka przysięga, że Shakespeare był kobietą. - Zachichotała.

- Tak, to świetna książka.

- Pięknie czytasz po hiszpańsku. Mogłabym cię słuchać przez całą noc. Ale musisz odpocząć.

Zamknął książkę.

- Ty również. Wciąż czujesz ból?

- Tak, ale najbardziej irytujące są szwy. - Skrzywiła się. - Czuję swędzenie.

- Użyłem klamerki - przypomniał.

- Wiem, ale i tak swędzi. Roześmiał się.

- To znaczy, że się goi. Potrzebujesz czegoś na sen?

- Może tabletkę przeciwbólową. Mam nadzieję, że się nie uzależnię.

- Nie pozwolę na to. - Wysypał tabletkę z buteleczki i podał jej szklankę z sokiem. - Śpij dobrze.

- Kiedy będę mogła wyjść z domu? - spytała.

- Może w przyszłym tygodniu, w słoneczny dzień. Nie mogę pozwolić, żebyś się przeziębiła. Musisz się ciepło ubrać. Masz jakiś płaszcz w swoim mieszkaniu?

- Tylko kurtkę. Nie odpowiedział. Mruknął coś pod nosem i wyszedł.

Tydzień później, w słoneczny dzień, podał jej nowy, długi aksamitny płaszcz w kolorze szafiru. Zaczęła protestować, lecz wytłumaczył, że kupił go tanio, na wyprzedaży. Zaproponował, że może mu nawet oddać pieniądze, jeśli koniecznie chce być taka niezależna.

Na szczęście nie mogła wiedzieć, ile naprawdę za ten płaszcz zapłacił.

Wzięła go pod rękę i zjechali windą na dół. Wszyscy, którzy znali Ramona, wiedzieli już, że opiekuje się kuzynką zmarłej żony. Witali się z Ramonem i uśmiechali do Noreen, życząc jej powrotu do zdrowia.

Wyszli przez obrotowe drzwi na ulicę, gdzie jakiś nieostrożny przechodzień wyglądający na biznesmena niemal przewrócił Noreen. Przeprosił i pomknął dalej.

- Typowy biznesmen - burknął Ramon. - Nie wie, jak mało znaczą pieniądze w porównaniu do zdrowia. Pewnie ma za wysokie ciśnienie i żywi się mrożonkami.

- Ależ jesteś w paskudnym nastroju - zakpiła Noreen, tuląc się do jego ramienia.

Objął ją mocniej.

- Mógł cię przewrócić - rzucił gniewnie. Lubiała, kiedy Ramon był taki troskliwy, ponieważ czuła się wtedy krucha, słaba i delikatna. Łzy stanęły jej w oczach.

- Przestań. - Wytrzeł jej oczy rękawiczką. - Przecież nic się nie stało.

- To nie dlatego. - Spojrzała mu w oczy. - Jest mi przyjemnie, że się o mnie troszczysz.

A ten mężczyzna trochę mnie jednak wystraszył.

Ramon zacisnął zęby.

- Może powinienem mu przyłożyć?

- Nie, nic się nie stało. - Przyłgnęła do jego ramienia i uśmiechnęła się promiennie. -

Och, jak przyjemnie znów wyjść na dwór.

Zwróciła ku niemu twarz. Była tak piękna, że wstrzymał oddech.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nie, po prostu pomyślałem, że ślicznie wyglądasz.

- Płaszcz jest bardzo piękny. - Zarumieniła się lekko.
- Kobieta, która go nosi, jest piękna. Zresztą nie tylko zewnętrznie. Pomyślałem też - dodał - jak wspaniale by było, gdybyśmy mieli taką małą córeczkę z szarymi oczami i twoim słodkim uśmiechem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Noreen zachwiała się nagle. Ramon objął ją ramieniem i podtrzymał.
- Jeszcze za wcześnie na takie rzeczy - powiedział zmartwiony. - Nie powinienem zabierać cię na tak długi spacer.
- Nic mi nie jest - odparła. - Nie chodzi o spacer. Miałam wrażenie, że powiedziałaś... - Zaśmiała się zawstydzona. - Mniejsza z tym. Jestem trochę zdezorientowana.
- Powiedziałem, że chciałbym mieć z tobą córkę - oznajmił. - Lecz zdaję sobie sprawę, że jeszcze za wcześnie mówić o takich rzeczach. Ale skoro mówiliśmy już o pierścionku, możemy też porozmawiać o dzieciach.
- O pierścionku? Miałaś na myśli... zaręczynowy? - zawołała.
- A ty myślałaś, że jaki?
- Że to po prostu będzie prezent gwiazdkowy. Westchnął.
- Trudno się spodziewać, żebyś zaufała mi tak szybko i całkowicie, aby już teraz rozmawiać o małżeństwie - rzucił niecierpliwie.
Pokręciła głową. Była pewna, że traci rozum. Stała nieruchomo, wpatrując się w twarz Ramona wielkimi szarymi oczami.
- Życie chirurga jest pełne stresów, ale mam trochę czasu dla siebie i zarabiam wystarczająco dużo, by utrzymać ciebie i rodzinę.
Rumieniec gorącą falą wypłynął na policzki Noreen.
- Czujesz się winny i po prostu litujesz się nade mną. Uśmiechnął się lekko.
- To nie mogłoby zmusić mnie do małżeństwa - oświadczył. - Pasujemy do siebie, chyba to zauważyłaś? Jesteś ze mną szczęśliwa, prawda?
Zaniepokoiła się.
- Tak. - Trudno było zaprzeczyć. - Ale to zaskakująca propozycja. Muszę stanąć na nogi, zanim... - Uniosła głowę. - Mogę mieć dziecko?
Teraz Ramon się zarumienił. Spojrzała na niego gniewnie.
- Nie w tej chwili - mruknęła. - Chcę wiedzieć, czy będę mogła rodzić ze sztuczną zastawką.

- Oczywiście - zaśmiał się nerwowo. - Mój Boże, ale mnie zaskoczyłaś. - Odetchnął głęboko. - Przepraszam. Natychmiast zacząłem myśleć o sposobach i metodach. Ale w tej chwili jest to zupełnie niemożliwe.

Odwróciła wzrok zarumieniona, rozumiejąc go aż za dobrze.

- Mogłabyś mi jednak odpowiedzieć - przypomniał. Przytuliła się do niego.

- Kocham dzieci.

- Wiem. Ja też.

- Lepiej jeśli rodzą się w małżeństwie, ale moja ciotka i wuj...

- Będą zachwyceni - zapewnił. - Mieli nadzieję, że pewnego dnia doczekają się wnuków. A w przypadku Isadory nie mogli na to liczyć.

Spojrzała na niego badawczo. Jakoś nie potrafiła dostrzec w Ramonie romantycznego zalotnika. Wydawało jej się, że pełni raczej rolę strażnika i opiekuna. To przyjemne, ale to nie była miłość. Nie mogła wyjść za mąż nie będąc kochaną, zwłaszcza za kogoś, kto nie uznaje rozwodów.

Ramon musnął lekko jej twarz, wyczuwając, że jest niezdecydowana.

- Nie spiesz się. Proszę tylko, żebyś o tym pomyślała.

- Pomyślę - obiecała.

- A teraz - mruknął, rozglądając się dookoła - lepiej będzie, jeśli ruszymy się trochę i przestaniemy tamować ruch.

Zaśmiała się cicho.

- Dobrze. Przeszli wolno za róg. Potem Noreen odpoczęła chwilę i ruszyli dalej. Po jakimś czasie była zdyszana i zaczerwieniona, więc Ramon odruchowo chwycił ją za przegub ręki i zbadał puls. Serce biło regularnie.

- Następnym razem będzie już łatwiej - zapewnił.

Było łatwiej. Spacerowali codziennie, chyba że Ramon miał dyżur. Dni zmieniły się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Noreen odzyskiwała siły, ustały bóle w piersi. Wciąż czytał jej wieczorami, a głos miał czuły i spokojny. Dzielił z nią swoje zmartwienia, lecz fizycznie wciąż utrzymywał wobec niej dystans. Noreen zaczęła się zastanawiać, czy nie żałuje słów wypowiedzianych impulsywnie podczas pierwszego spaceru.

Przeżył już jedno nieudane małżeństwo i może woli nie ryzykować drugiego. A Noreen i tak musiał się zająć jako pacjentką. Mimo jego protestów nie mogła pozbyć się wrażenia, że po prostu stara się jej wynagrodzić to, jak ją przedtem traktował. Ta rezerwa wobec niej mogła być przejawem zwątpienia w szansę ich wspólnej przyszłości.

A jednak obserwował ją jak jastrząb, pilnował cotygodniowych wizyt u kardiologa,

badan krzeplosci krwi, lekarstw. Wreszcie wraz z kardiologiem, ktory badal ja w szpitalu, uznali, ze jej stan poprawil sie na tyle, ze moze prowadzic samochod, a nawet wrócic do pracy. Ale gdy o tym wspomniala, Ramon wpadl w gniew.

Panna Plimm wrócila do domu, gdyz Noreen nie potrzebowała już pielęgniarki. To dobrze, bo podniesiony głos Ramona slychać bylo w całym mieszkaniu. Bez śladu zniknęła, zachowywana dotąd rezerwa, ujawnił się latynoski temperament. Przeklinał w obu językach i pytał, dlaczego zamierza popełnić taki idiotyzm.

Próbowała rozmawiać z nim rozsądnie.

- Oczywiście jestem ci niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ale nie możesz mnie utrzymywać. Chcę sama na siebie zarabiać. Mam mieszkanie...

- Nie powinnaś mieszkać sama. Jeszcze nie - protestował.

- Tkwę tu od trzech miesięcy! - zawołała. - Wszyscy mówią, że bez obaw mogę wrócić do pracy. Serce działa jak zegarek, codziennie spaceruję, jem niczym koń... Dlaczego mi utrudniasz decyzję?

Rozłożył ręce i mruknął po hiszpańsku coś na temat dyskusji ze ścianą.

- Nie jestem ścianą - warknęła, opierając ręce na biodrach.

Mimo gniewu oczy błysnęły mu podziwem dla jej bojowego ducha. Gdy była chora, przypominała raczej cień samej siebie. Bał się wtedy zostawić ją samą czy nawet z panną Plimm. Ale teraz miała zdrową cerę i serce jak nowe. Z pewnością mogła wrócić do pracy. Przynajmniej na pół etatu. Żałował, że nie ma lepszego pretekstu, by ją zatrzymać. Nie wiedział, jak zdoła żyć samotnie.

- Nie możesz zabrać ze sobą Moskita - oświadczył w końcu, szukając gorączkowo argumentu, który by ją powstrzymał. Stanął przed nią z rękami w kieszeniach. - Będzie za tobą tęsknić.

- Bzdura - odparła bez przekonania. Gna też będzie tęsknić - za kotem, lecz przede wszystkim za Ramonem. Ale musi się upewnić, że to, co do niej czuje, to nie litość. Zostając przy nim, nigdy się tego nie dowie. Chciała, by zamieszkali osobno i spojrzeli na całą sprawę obiektywnie.

Twarz Ramona przybrała wyraz surowości.

- Nie będziesz szczęśliwa beze mnie - oświadczył gniewnie.

Nie mogła zaprzeczyć. Zresztą po co? Dostrzegł ból w jej oczach.

- Dowiedziałaś się o przeszłości wielu rzeczy, o których wcześniej nie miałaś pojęcia - zaczęła z wahaniem. - To nieuniknione, że czujesz się winny. I sam powiedziałaś, że nigdy nie musiałaś się nikim opiekować.

Ramon wzruszył ramionami.

- Innymi słowy uważasz, że twoja bliskość przysłoniła mi moje prawdziwe uczucia?

Kiwnęła głową. Westchnął głęboko.

- Rozumiem.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za opiekę - oświadczyła. - Ale oboje wiemy, że byłbyś równie dobry dla obcej osoby. Taki już jesteś.

- Pochlebiasz mi. I nie doceniasz siebie - dodał. - Może to przeze mnie tak mało oczekujesz od życia. Przeze mnie jesteś zgorzkniała.

Usłyszała obcy akcent w jego głosie... Jakby te słowa przychodziły mu z trudem. Wyglądał na pokonanego, więc poczuła się winna.

- Nie jestem już zgorzkniała - zapewniła cicho. - Ciotka Mary i wuj Hal byli cudowni. Z chęcią ich będę odwiedzać.

- Nie pozwól, żeby wywieźli cię z kraju - powiedział stanowczo. - Jeszcze na to za wcześnie.

- Kardiolog mówił, że nic mi nie grozi! - odparła rozdrażniona.

- Dlaczego tak go słuchasz? Co on wie o stanie twojego zdrowia?

Oczy błyszczały mu gniewnie.

- Chyba zwariujesz, kiedy twoje dzieci dorosną i będą opuszczaly dom - rzuciła kpiąco.

- Jak mogę mieć dzieci? Przecież mnie opuszczasz! Serce w niej zadrżało, ale nie ustąpiła.

- Poczekaj trochę - powiedziała spokojnie. - Wszystko będzie dobrze.

- Dobrze! - zadrwił. Przeczesał palcami czarne włosy. - Z kim będę mógł porozmawiać? Kto mnie pocieszy, gdy stracę pacjenta?

Nie mogła ustąpić. Delikatnie pogłaskała go po ramieniu.

- Będę niedaleko - obiecała. - Zawsze możesz zadzwonić. Jesteś teraz moim przyjacielem - dodała, nie patrząc mu w oczy. - Przyjaciele rozmawiają ze sobą.

Milczał przez chwilę, a potem, wstrzymując oddech, pochylił się i dotknął wargami jej ust.

- Chcesz być moją przyjaciółką? A więc mnie zastrzel - szepnął. - To będzie akt miłosierdzia.

- Nie opowiadaj bzdur. Nie mogłabym cię skrzywdzić.

- A jak nazwiesz to, że odchodzisz z mojego życia?

- Instynktem samozachowawczym - mruknęła.

Objął ją i przytulił tak mocno, jak tylko się ośmielił, pamiętając o jej świeżo zrosniętym

mostku. Przycisnął policzek do jej twarzy i tulił ją w milczeniu. Poddawała się temu, stęskniona pieścizot, choć wiedziała, że postępuje słusznie, wyprowadzając się stąd.

Pochylił się, uniósł ją z podłogi i przycisnął wargi do jej ust w pocałunku z początku lekkim, a potem coraz namiętniejszym. Słyszała jego gwałtowny oddech. Objęła go za szyję i oddała mu pocałunek z tą samą mocą.

Odsunęła się lekko, gdy wyczuła drżenie jego ciała. Z trudem oderwał wargi od jej ust. Oczy mu błyszczały.

- Gdybym miał mniej skrupułów - rzucił chrapliwie - zaniósłbym cię do łóżka i kochał się z tobą, dopóki nie zaczęłabyś błagać, abym pozwolił ci tu zostać. Ale jesteś jeszcze *una virgen*, tak?

- Tak - szepnęła niepewnie.

Zadrżał mocniej, tuląc ją nadal do siebie.

- A dziewictwo zachowałeś z mojego powodu, tak? Przygryzła wargę.

- Jesteś zarozumiała.

- Jestem wygłodniały - wyznał i pocałował ją znowu.

- Pragnę być kochany, potrzebny, pocieszany i uwielbiany. Pokazałaś mi niebo, a teraz wtrącasz do piekła, bo chcesz wrócić do pracy.

- O nie, nie dlatego - odparła szybko, dotykając jego ust.

- Nie z powodu pracy. Kocham cię.

- *Querida!* - jęknął i pocałował ją czule, zachwycony tak upragnionym wyznaniem.

Oderwała usta od jego warg i objęła go z całej siły, nie dbając o lekki ból w piersi.

- Musisz pozwolić mi wyjechać - szepnęła.

- Dlaczego?

Uwielbiała ten głęboki męski głos, rozlegający się tak blisko jej ucha.

- Żebyś był pewien, co naprawdę czujesz. Zawahał się, uniósł głowę i spojrzał w jej smutne oczy.

- Co ja czuję? - zapytał. Kiwnęła głową.

Wolno wypuścił powietrze z płuc.

- Jak możesz tego nie wiedzieć? - zdziwił się, patrząc z uwagą na jej twarz. - Nawet Isadora wiedziała. Wypominała mi to. Mówiłem ci przecież.

- Mówiłeś. Oskarżała cię, że masz obsesję na moim punkcie. Chodziło o pożądanie - dodała.

Roześmiał się cicho.

- O pożądanie? - Pokręcił głową. - Jest taka piosenka, Noreen - powiedział czule. -

Dostała nominację do Oskara. Nie potrafię śpiewać, *enamorada*, ale jej słowa mówią o tym, że gdy mężczyzna naprawdę kocha kobietę, to, patrząc na nią, widzi swoje nienarodzone dzieci.

Wstrząsnęły nią nie tylko słowa, ale i ton, jakim je wypowiedział.

- Wstyd mi się przyznać, ale gdy spotkałem cię wtedy w kuchni, w domu twojej ciotki, nagle wyobraziłem sobie moich synów - szepnął, patrząc, jak się rumieni. - A byłem już żonaty. To prawdziwe piekło popełnić taki grzech i nie móc go odpokutować. - Zamknął oczy. - Zapłaciłem za to. I przeze mnie ty musiałaś płacić. Oboje nadal to robimy.

Miała wrażenie, że nie zdoła odetchnąć. Patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Uniósł powieki i spojrzał na nią.

- Chcesz się ze mną ożenić, bo mnie kochałeś? - spytała.

- Tak - odparł. - I zawsze będę cię kochał. Całym sercem, duszą, do końca życia.

Poczuła pierwszą łzę, spływającą je po policzku, potem następną, i kolejną.

- Nie - szepnął, gorączkowo całując jej wilgotną twarz. - Przestań, nie płacz. Jeśli tak bardzo chcesz odejść, nie zatrzymam cię. Ale musimy się widywać... Noreen!

Objęła go tak mocno za szyję, aż się przestraszył, że zrobi sobie krzywdę. Przyłgnęła do niego rozszlochana.

- *Enamorada* - szepnął boleśnie. - Nie płacz. Nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz - łkała.

- Tak, chciałem, żebyś tak uważała. To by było haniebne, przyznać się wtedy do moich uczuć. Byłem żonaty. A małżeństwo jest na całe życie.

- Wiem. Dlatego właśnie pragnęłam odejść. Nie chciałam, żebyś tkwił przy mnie, gdy odzyskasz rozsądek. Myślałam, że to wszystko robisz z litości.

Przytulił ją do siebie i odetchnął głęboko.

- Kochałem cię - powiedział. - I Kocham nadal. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Pragnę mieć z tobą dzieci.

- Ja też tego pragnę - przyznała. Spojrzał w jej wilgotne oczy.

- Powinniśmy się pobrać jak najszybciej - oświadczył.

- Tak myślisz? Kiwnął głową.

- Masz skłonność do uciekania - wyjaśnił z uśmiechem.

- Może po ślubie zechcesz zostać w domu. Gładziła palcami jego gęste włosy.

- Mogłabym brać dyżury - mruknęła.

- Dopóki nie urodzą się dzieci.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się lekko zawstydzona. - I potem, kiedy już pójdą do szkoły.

Lubię moją pracę.

- I dobrze ją wykonujesz.

- Nie zawsze tak uważałeś - przypomniała mu. Skrzywił się.

- Będziesz mi to wypominać? Ucałowała go delikatnie.

- Przepraszam.

- O nie, nie dam się tak łatwo udobruchać - wymruczał, pochylając się nad nią. - Musisz mnie ładnie przeprosić.

- Na przykład tak? - szepnęła i pocałowała go mocno. Oddał jej pocałunek. Oboje drżeli.

- Ukochana moja, takie pocałunki są niebezpieczne - wyszeptał. - Weźmiemy ślub w kościele. Będziesz miała na sobie białą suknię i welon, a potem spędzimy noc poślubną.

Zarumieniła się lekko.

- Wszyscy myślą, że mamy to już za sobą. Tak słyszałam od Brada.

Uniósł brew.

- Znowu cię odwiedza?

- Wpada tylko na parę minut. - Uśmiechnęła się. - I zanim zaczniesz wyciągać wnioski, musisz wiedzieć, że jest nieszczęśliwie zakochany. Ale nie we mnie - dodała. - Zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi.

- To teraz możecie być przyjaciółmi na bezpieczną odległość - oznajmił stanowczo.

- Jesteś zazdrosny - zauważyła.

- Bardzo. - Pocałował ją. - I śmiertelnie zmęczony. - Zaśmiał się lekko. - Ale obiecuję, że po ślubie przeniosę cię przez próg.

- Trzymam cię za słowo. - Uśmiechnęła się zalotnie. Poglądził ją delikatnie po twarzy.

- Marzyłem, że kiedyś, w ciemności, będę cię trzymał w ramionach. Rzeczywistość jest wspanialsza, niż mógłbym to sobie wyobrazić.

Przyciągnął ją do siebie i wtulił twarz w długie ciemnoblonde włosy.

Ogłoszono i zaplanowano ślub. To, co przedtem martwiło Noreen, zniknęło w euforii miłości. Największym zaskoczeniem była radość ciotki i wuja, gdy usłyszeli nowinę. Ciotka natychmiast zajęła się przygotowaniem i pod koniec tygodnia zorganizowała już wszystko, łącznie z zaproszeniami, tortem i przyjęciem. Noreen była pełna podziwu dla jej zdolności organizacyjnych.

Oczywiście było jasne, że Noreen nie wróci zaraz do pracy. Całe jej życie wypełniły nagle przymiarki ślubnej sukni i rozsyłanie zaproszeń. Przygotowania zbliżyły ją do ciotki. Ramon nalegał, by po zaręczynach zamieszkała w domu wujostwa. Nie chciał, jak wyjaśnił, by zdarzyło się coś, co wzbudziłoby sensację. I nie życzył sobie plotek. Zdziwiło to wszystkich,

którzy go znali, nawet Noreen.

Uważała, że przesadza, ale on nie chciał nawet dotykać narzeczonej, dopóki nie złożą przysięgi małżeńskiej. Poglądy miał bardziej tradycyjne, niż Noreen sobie to wyobrażała, ale jego czułość zawsze była dla niej źródłem radości.

Rozkwitła pod wpływem szczęścia. I on także. Pielęgniarki pokpiwały z niego, kiedy robił obchód. Zauważył też, że odkąd Donaldson dowiedział się o zaręczynach Noreen, odnosił się do niego z rezerwą. Rozbawił tym Ramona. Może to i lepiej, że przestał odwiedzać Noreen. Ramon był tolerancyjny, ale nie wtedy, gdy chodziło o ukochaną kobietę.

Kilka razy przed ślubem zaprosił Noreen na kolację i zawsze zachowywał się absolutnie poprawnie. Ale w jego oczach płonęło pożądanie.

Wieczorem, w przeddzień ślubu, odwiózł Noreen do domu. Na podjeździe objął ją ramieniem, zanim zdążyła wysiąść.

- Robisz się przy mnie nerwowa - zauważył i ujął jej dłoń. - Dlaczego?

Oparła się o jego ramię, a on przygarnął ją mocno.

- Niewiele wiem o mężczyznach - wyznała. - Czy wszystko będzie dobrze? Patrzysz na mnie, jakbyś chciał mnie zjeść żywcem, a ja nie jestem pewna, czy ci wystarczę.

- Na pewno. - Uśmiechnął się. - Ale muszę przyznać, że też mam obawy w związku z tobą.

- Naprawdę?

- Twoja niewinność trochę mnie przeraża - odparł, - A ty myślisz na pewno, że w moim życiu było wiele kobiet.

- Miałaś prawie trzydzieści lat, kiedy ożeniłeś się z Isadorą.

Pogładził palcem policzek Noreen, a potem uniósł jej brodę.

- Byłem wierny żonie, a kiedy umarła, nie było już nikogo. Objęła go za szyję i wtuliła policzek w jego marynarkę.

- A my będziemy żyli długo i szczęśliwie - szepnęła.

- To bajka. Lecz jeśli dwoje ludzi bardzo się stara, bajka może stać się rzeczywistością. Noreen ucałowała go czule i poczuła, że jest trochę spięty. Po chwili odsunął ją delikatnie.

- Już nie lubisz mnie całować? - spytała. Zaśmiał się.

- Aż za bardzo. Jutro w nocy możesz już oczekiwać pocałunków. I czegoś więcej.

- To „coś więcej” bardzo mnie fascynuje - szepnęła. Parsknął śmiechem.

- Mnie też. A teraz dobranoc.

- Dobranoc. - Spojrzała na niego tęsknie i wysiadła z samochodu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ramon i Noreen złożyli przed księdzem przysięgę małżeńską. Na uroczystości w kościele zjawili się koledzy i koleżanki ze szpitala. Potem odbyło się skromne, lecz miłe przyjęcie w domu Kensingtonów.

Noreen weszła do swojej sypialni, żeby się odświeżyć i włożyć kostium, w którym miała jechać z Ramonem do Południowej Karoliny na krótki miesiąc miodowy. Zerknęła w lustro, lecz w swoich rysach nie zobaczyła nic szczególnego. Ale oczy, wielkie szare oczy były przepełnione radością.

Pomyślała o Isadorze. Szkoda, że jej życie skończyło się tak nagle i tragicznie. Noreen wiedziała, że zawsze będzie ją dręczyło poczucie winy. Gdyby tylko zdołała wtedy wytłumaczyć lekarzowi, jak chora jest jej kuzynka... Ale tego już nie zmieni. Musi jakoś żyć z tym wspomnieniem i ułożyć sobie życie z Ramonem.

Drzwi otworzyły się i weszła Mary Kensington, ubrana w elegancki jasnobłękitny kostium. Uśmiechnęła się do bratanicy męża.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała. Noreen pokręciła głową. Odwróciła się od lustra.

- Myślałam o Isadorze - powiedziała ze smutkiem. Oczy Mary na moment spochmurniały.

- Noreen, nikt z nas nie może zmienić przeszłości - powiedziała cicho. - Przybywa mi lat i coraz bardziej jestem przekonana, że wszystko dzieje się tak, jak zostało zaplanowane. Wszyscy zawiedliśmy Isadorę. Hal i ja nie powinniśmy zostawiać cię samej, żebyś się nią opiekowała. Tak samo jak Ramon. Na ciebie spada najmniejsza część winy, ponieważ próbowałaś ją ratować. Nikt z nas nie wiedział, jak bardzo byłaś wtedy chora. I mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nikt ciebie o nic już nie obwinia.

- Nie wiedzieliście - odparła Noreen. Ciotka uśmiechnęła się smutno.

- Nie wiedziałam o wielu rzeczach. Wiem też, że nigdy nie byłaś w naszym domu naprawdę szczęśliwa. Mam nadzieję, że teraz będziesz. Ty i Ramon.

Pod wpływem impulsu Noreen podeszła i ucałowała ciotkę w policzek.

- Dziękuję - powiedziała. Mary objęła ją.

- Teraz jesteś naszą jedyną córką - powiedziała nieco skrzepowana. - Chciałabym, żebyś czasem nas odwiedzała. Zwłaszcza kiedy przyjdą na świat dzieci - dodała, wyraźnie ucieszona tą myślą.

- Bardzo bym chciała. - Noreen uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Wszyscy będziemy na to czekać - odparła Mary. - A teraz wróć lepiej do męża. Wygląda na zniecierpliwionego.

Droga do Charleston była długa, ale pozwoliła na odrobinę intymności, na jaką nie mogli liczyć w samolocie. Ramon przystawał dość często, by Noreen mogła rozprostować nogi.

Zatrzymali się, by zjeść kawałek ciasta i wypić kawę. Ramon przez cały czas trzymał ją za rękę, jakby nie potrafił jej wypuścić. To, jak na nią patrzył, było dla niej kolejnym dowodem jego miłości. Spojrzenie jego czarnych oczu przyspieszało bicie jej serca.

Wyczuł to i uśmiechnął się.

- A teraz - szepnął - należysz do mnie. To najszczęśliwszy dzień mojego życia.

- I mojego - zgodziła się. - Kocham cię.

- Też cię kocham, *querida*. Całym sercem. Zarumieniła się lekko, wciąż trochę zawstydzona, mimo pięknej złotej obrączki błyszczącej na jej palcu.

Ramon także miał na palcu szeroką złotą obrączkę. Tak samo jak ona, pragnął całemu światu pokazać, że jest żonaty.

- Mam nadzieję, że Moskit nie podrze ciotce mebli - mruknęła. - Może powinniśmy go komuś oddać.

- Sądzisz, że wrócimy do domu i znajdziemy go w siatce wiszącej u sufitu? - Zachichotał. - Będzie szczęśliwy z twoją ciotką i wujem. Polubili go.

Uścisnęła jego dłoń.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - wyznała. - To jakby spełniły się wszystkie moje marzenia. - Zmarszczyła czoło. - A może to sen?

Uśmiechnął się.

- Poczekaj, aż dojedziemy do celu - szepnął. - Udowodnię ci, że to jawa.

- Chcę być tak blisko ciebie, jak to możliwe - powiedziała zawstydzona i spuściła wzrok, kiedy zobaczyła w jego oczach blask pożądania.

- Twoja obecność zapiera mi dech w piersiach - wyznał chrapliwie. - Ale szczerze powiem, że też tego pragnę. Chcę wziąć cię w ramiona...

Wkrótce przybyli do luksusowego hotelu w Charleston. Ramon wpisał ich nazwiska do księgi i dał napiwek chłopcu, który zaniósł ich walizki do apartamentu. Ale gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, chwycił Noreen na rękę i ruszył prosto do wielkiego łóża. Był tak spragniony jej dotyku, że nie zatrzymał się nawet, żeby zdjąć narzutę.

- Nie za szybko? - wyszeptał. - Jesteś zmęczona?

Objęła go długimi nogami, a jej wargi udzieliły wyraźnej odpowiedzi na jego pytanie.

Dawne lęki zniknęły zupełnie, zastąpiła je namiętnością, którą obie strony tak długo powstrzymywały.

W jednej chwili byli jeszcze ubrani, a w następnej już tak blisko siebie, że Noreen czuła męża każdą cząstką swego ciała. Ramon rozkoszował się jej ciepłą miękką nagością, pieścił żonę ustami, dłońmi, oczami.

Obejmowała go mocno, ciesząc się dotykiem jego smagłego ciała. A on spoglądał na nią coraz bardziej zachłannie, coraz bardziej pożądliwie.

Z wolna pieszczoty stały się intensywniejsze i bardziej podniecające. Ułożył Noreen wygodnie na łóżku, a potem pieścił ustami w sposób, do którego żadna wyobraźnia nie mogła jej przygotować. Jęknęła, a on zaśmiał się cicho i wycisnął namiętny pocałunek na jej nagiej piersi.

Była gotowa go przyjąć, gdyż pragnienie stało się zbyt wielkie.

Uniósł się nad nią, opierając swój ciężar na ramionach, a dotyk jego skóry stał się jedną wielką pieszczotą. Widział zdziwienie i rozkosz w jej oczach, kiedy zaczęły łączyć się ich ciała.

- Tego się spodziewałaś, *querida*? - szepnął. - Nie boisz się?

Objęła go ramionami. Czuła odrobinę lęku. Oblizwała wargi.

- Boli? - zapytał, starając się opanować.

- Trochę... piecze - szepnęła zarumieniona.

- To minie - odparł.

W pokoju zapadła cisza, wypełniona jedynie nierównymi oddechami. Pieścił ją delikatnie, by złagodzić chwilowy ból, uspokoić zaniepokojone ciało.

- Przepraszam. - Zaśmiała się nerwowo.

- To ja przepraszam za to, że cię poganiam - powiedział. Uśmiechnął się, dotknął Noreen delikatnie, całkiem inaczej: tak, że ciało sprężyło się, ale nie z bólu.

- O - szepnął, patrząc w jej oczy. - Tego nam właśnie brakowało. Słodko narastającego napięcia, które sprawia, że twoje ciało tak pragnie mojego, że nawet ból nie jest przeszkodą... O, tak.

Wbiła paznokcie w jego skórę, jakby walczyła o życie. Rozkosz wyrwała z jej ust jęk pożądania.

- Ramon! - zawołała, przyciągając go do siebie. Oplotła go nogami, poruszyła się, uniosła...

Była zaszokowana doznaniem. Nic nie mogło opisać uczuć, które w niej wibrowały. Poruszył się wolno, a ona dostroiła się do rytmu i stała się jego częścią.

Przylgnęła do niego nagle, gdy rozkosz wezbrała wyżej niż kiedykolwiek, zalewając

ich oboje niepowstrzymaną falą. Znieruchomieli na sekundę i spojrzeli na siebie.

- To niesamowite - szepnął. - Nigdy tak tego nie czułem. Nigdy.

To było jak jazda na tęczy, pływanie w ciepłym winie, oddychanie radością. Przyłgnęła do niego, cała drżąca.

Uśmiechnął się, zadowolony, i pogłaskał jej mokre od potu włosy.

- Jesteś zachłanna - szepnął i pocałował ją. Zaśmiała się.

- A ty jesteś wspaniały. Przycisnął ustami jej dolną wargę.

- Ty też, *mi esposa*.

- Jak na pierwszy raz - stwierdziła z satysfakcją - było oszałamiająco.

- Zgadzam się w pełni. Teraz jesteśmy jednością. Mężem i żoną. Jednym ciałem, jedną duszą.

Sięgnęła wargami do jego ust.

- Tak bardzo cię kocham - szepnęła. - Czy jesteś pewien...

- *Querida!* - zawołał zdumiony. - Jak możesz jeszcze wątpić w moje uczucia. A może myślisz, że coś takiego to w małżeństwie zwyczajna rzecz?

- Anie?

Objął ją mocniej i pocałował czule.

- Nie, wcale nie. Kochaliśmy się. Spójrz - szepnął. Przesunął dłonią wzdłuż jej ciała i poczuł, jak drży z rozkoszy.

- To właśnie oznacza w małżeństwie stanie się częścią drugiej osoby. Nie fizyczne połączenie, choć też jest wspaniałe i piękne. To jedność umysłu, serca i duszy. - Patrzył namiennie w jej oczy. - Nie zaznałem tego z nikim prócz ciebie.

Rozluźniła się, czując, że coraz bardziej należy do niego. Jęknęła cicho na wspomnienie rozkoszy.

- Kocham cię.

- I ja cię kocham, serce moje - szepnął i pocałował ją. Łagodnie powstrzymał dłonią zmysłowy ruch jej bioder. - Musisz odpocząć. Nie mogę cię przemęczać, niezależnie od nieskończonych rozkoszy, jakie daje mi twoje słodkie ciało.

Westchnęła i uśmiechnęła się lekko.

- Marudzisz.

- Wcale nie. - Parsknął śmiechem, objął ją i naciągnął na nich kołdrę. - Prześpij się trochę. Kiedy odpoczniesz, możemy zacząć od nowa.

Serce zabiło jej mocniej. Wyczuł to i znów się roześmiał.

- Twoje serce mocno bije, choć jest chore i słabe.

- Już nie jest słabe - odparła. - To mocne, wierne i oddane tobie serce.

- Tak być powinno. Mamy przed sobą piękną przyszłość, Noreen, i wspólne szczęście, gdyż tak wiele nas łączy. Jeśli Bóg sprawi, może doczekamy się dzieci. - Westchnął. - Otrzymałem wreszcie mój puchar rozkoszy.

- Ja także.

Przytuliła się do niego i przymknęła oczy. Zniknęły wszystkie złe wspomnienia, zostały tylko słodkie obietnice przyszłych lat. Pieszczotliwie położyła dłoń na jego piersi, wyczuwając mocne bicie jego serca.

- Nie marzyłam nawet o takim szczęściu.

- Ani ja. - Pocałował ją delikatnie w czoło. - A teraz spróbuj zasnąć. - Mamy mnóstwo czasu na bliższe poznanie i wzajemną rozkosz. Jesteś zmęczona, a ja muszę się tobą opiekować.

Uśmiechnęła się sennie.

- Gdy będzie trzeba, ja zaopiekuję się tobą. - Przymknęła oczy. - Jakie będziemy mieć cudowne Boże Narodzenie.

- Owinę cię wstążką i położę pod choinką, mój skarbie, gdyż jesteś dla mnie najwspanialszym prezentem.

Zaśmiała się cicho i przytuliła mocniej.

- Kocham cię. Za oknem padał deszcz. Ale głośniejsze niż krople o szyby uderzało serce Ramona. Noreen pomyślała, że życie nie może nieść większej radości niż ta, którą przeżywać będzie dzięki Ramonowi. Jej złamane serce nareszcie było uleczone.

Poza słowami

PROLOG

Simon Hart siedział samotnie w drugim rzędzie, zarezerwowanym dla członków rodziny. Wprawdzie nie był spokrewniony z Johnem Beckiem, ale od studenckich czasów łączyły ich więzy głębokiej przyjaźni. Prawdę mówiąc, Simon poza Johnem nie miał nikogo bliskiego.

A teraz jego przyjaciel leżał martwy, zaś ona z cyniczną odwagą uczestniczyła w ceremonii pogrzebowej. Nałożyła czarny welon na te swoje tycjanowskie włosy i udawała żalobę po byłym mężu, którego zaledwie w miesiąc po ślubie odrzuciła jak parę zużytych rękawiczek.

Simon poruszył się w ławce, szukając wygodniejszej pozycji. Bardzo mu dokuczała ręka amputowana na wysokości łokcia. Nie nosił protezy, ponieważ nie chciał niczego udawać, tylko składał i wysoko zapinał rękaw marynarki.

Mimo kalectwa nadal uchodził za przystojnego mężczyznę. Wysoki i dobrze zbudowany, o kruczoczarnych włosach i ciemnej oprawie jasnoszarych oczu, prezentował się naprawdę świetnie. A do tego otaczała go aura człowieka sukcesu. Znano go powszechnie, jako byłego prokuratora stanowego i jednego z najlepszych prawników w okręgu, ponadto był właścicielem świetnie prosperującego rancza.

Tak, był nieprzyzwoicie bogaty i nie ukrywał tego. Niestety, pieniądze nie były zbyt pomocne w ukojeniu nieznośnego poczucia samotności. Jego żona zginęła w katastrofie, w której on stracił rękę. Do wypadku doszło wkrótce po tym, jak Tira wyszła za Johna Becka.

Tira opiekowała się nim, gdy leżał w szpitalu, co wywołało wiele plotek. Uznano, że właśnie z powodu Simona wystąpiła o rozwód, chociaż dla niego samego ta myśl była po prostu wstrętą. Zresztą nie minął nawet tydzień od rozwodu, jak zaczęto ją widywać z Charlesem Percym.

Musiał być jej kochankiem, bo do dziś tworzyli nierozłączną parę. Dziwne, że Percy nie pojawił się na pogrzebie, ale być może zachował resztki przyzwoitości.

Simon zastanawiał się, czy Tira zdaje sobie sprawę, co on o niej myśli. By zachować pozory, zawsze był wobec niej uprzejmy, ale w głębi duszy winił ją za to, co stało się z Johnem. Mówiąc wprost, nienawidził jej. Była zimna, samolubna i nieczuła. Tylko bowiem taka kobieta mogła odtrącić męża zaledwie w miesiąc po ślubie, a potem pozwolić, by szukając zapomnienia, podjął niebezpieczną pracę w firmie naftowej i poleciał na platformę wiertniczą na Morzu Północnym. Właśnie tam, przed tygodniem, w lodowatych odmętach John stracił

życie.

Wyglądało to na tragiczny wypadek, ale Simon był przekonany, że John chciał umrzeć. Ostatnie listy od przyjaciela przepełnione były rozpaczą samotnego człowieka, który pożegnał wszelką nadzieję na miłość. Którego życie straciło sens.

Simon jeszcze raz zerknął w stronę Tiry. Obok niej siedział ojciec Johna i trzymał ją za rękę. Wyglądało to tak, jakby pocieszał byłą synową i pomagał jej przetrwać najtrudniejsze chwile. A przecież to on stracił syna, swoje jedyne dziecko! Simon pomyślał z irytacją, że pan Beck postępuje tak dla zachowania pozorów, by ukrócić ewentualne plotki.

Simon patrzył na zamknięte wieko trumny, czując, że oto skończyła się dla niego pewna epoka. Zginęła Melia, on sam stracił rękę, nie ma również Johna. Był bogaty i cieszył się poważaniem, nie było jednak nikogo, z kim mógłby dzielić swoje wątpliwe szczęście.

Zastanawiał się, czy Tira odczuwa jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu śmierci Johna. Podejrzewał, że nie. Zawsze była lekkomyślna i ekstrawagancka, zmienna w nastrojach i decyzjach, nieodpowiedzialna. Cyniczna.

I była piękna. Wysoka, zgrabna, z płomiennorudymi, sięgającymi do pasa włosami. Lecz mimo tak olśniewającej urody, której pozazdrościć by jej mogła niejedna gwiazda filmowa i modelka, Tira była zaskakująco nieśmiała.

Simon nie mógł od tej kobiety oderwać oczu. Nienawidził siebie za to, próbował z tym walczyć, ale bez skutku. A teraz nienawidził również Tiry, doprowadziła bowiem do śmierci jego przyjaciela, lecz mimo to wciąż na nią spoglądał i podziwiał jej urodę.

Simon był już żonaty, gdy poznał Tirę. Namówił Johna, by umówił się z nią na randkę. Myślał, że będą do siebie pasowali - przystojni, bogaci, sympatyczni młodzi ludzie. Dlatego błyskawiczny rozwód tak bardzo go zaskoczył.

Okłamywał się, że poznał ze sobą tych dwoje wyłącznie dla ich dobra. A tak naprawdę w obronnym geście wpełchnął Tirę w objęcia Johna po to, by rudowłosą piękność jak najdalej odsunąć od siebie i by zwalczyć wciąż rosnącą pokusę. I z rozpaczliwą determinacją wmawiał sobie, że nie znosi samolubnych, niezrównoważonych i nieodpowiedzialnych kobiet.

Czasami to skutkowało, ale najczęściej na widok Tiry Simon czuł dręczący ból niespełnienia. I nie chodziło tylko o niezaspokojone marzenia erotyczne...

Ceremonia dobiegła końca. Tira wyszła z kaplicy, wciąż podtrzymywana przez ojca Johna. Starszy pan, napotkawszy spojrzenie Simona, uśmiechnął się smutno. Natomiast wdowa, ledwo powłócząc nogami, szła przed siebie, nie dostrzegając nikogo. Mimo czarnego welonu Simon zauważył, że z jej oczu płyną łzy.

To dobrze! pomyślał z furią. Cieszę się, że cierpisz. Przecież to ty go zabiłaś!

Gwałtownie odwrócił głowę, by na nią nie patrzeć. Wsiadł do czarnej limuzyny i z piskiem opon ruszył w kierunku biura. Nie pojedzie na stypę, nie ma zamiaru uczestniczyć dłużej w perfidnej komedii, cynicznie granej przez Tirę. Ból i łzy w oczach, smutek na bladej twarzy... nie, ona go nie oszuka. Innych być może tak, ale jego na pewno nie.

Gniew. To uczucie zawładnęło duszą Simona.

A może jednak zapomnieć o tym wszystkim i odgrodzić się od przeszłości?

Tylko jak to zrobić...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cena wywoławcza za stado bydła rasy Hereford była naprawdę okazjna, ale Tira Beck zupełnie to zignorowała. Zresztą i tak nie miała zamiaru niczego kupować. Przybyła na aukcję, gdyż wiedziała, że spotka tu Simona Harta. Zazwyczaj w licytacjach brali udział jego bracia, ale ponieważ Simon, tak jak i ona, mieszkał w San Antonio, było jasne, że tym razem ich zastąpi. To prawda, że Simon od pewnego czasu mało zajmował się ranczem. Po wypadku, mimo że nadal budził podziw swoją sylwetką i tężyzną, nie mógł już pracować fizycznie. Zresztą nie musiał. Jako były prokurator stanowy i znany obrońca mógł przebierać w ofertach i na ogół wybierał sprawy najtrudniejsze oraz najlepiej płatne.

Jego głównym atutem był głos, głęboki i aksamitny, docierający do najdalszych zakątków sali sądowej. Oraz to, że prowadził przesłuchania w taki sposób, iż świadek, zwiedziony fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, odprężał się, by po chwili zostać rozszarpanym na strzępy.

Natomiast Tira, kobieta wolna, bogata i niezależna, wiodła życie gorączkowe i pośpieszne, prawie bez reszty wypełnione pracą charytatywną. Mimo że była rozwódką, jej stosunki z mężczyznami nie wychodziły poza sferę platoniczną. Miała tylko dwóch przyjaciół - Simona Harta i Charlesa Percy'ego, który zresztą był nieszczęśliwie zakochany w żonie własnego brata. Była jedyną osobą, która o tym wiedziała, lecz ku ich rozbawieniu wszyscy wokół byli przekonani, że Tira i Charles są kochankami.

Zresztą Tira też miała coś do ukrycia i była to jej największa tajemnica: uczucie, jakim darzyła Simona.

- Przepuściłaś już tyle okazji - odezwał się Simon, kiedy Tira nie zwróciła najmniejszej uwagi na kolejne stado. - Co się dzisiaj z tobą dzieje?

- Straciłam serce do rancza - odparła. - Od śmierci taty prawie się tam nie pokazuję. Chyba powinnam je sprzedać. Na pewno nigdy tam nie zamieszkam.

- Tylko tak mówisz, ale wcale nie chcesz go sprzedawać. Przecież wiąże się z nim mnóstwo miłych wspomnień. Chyba że teraz wolisz spacerować po San Antonio z Charlesem Percym - dodał złośliwie.

Spojrzała na niego z ukosa i jej zielone oczy nabrały dziwnego blasku. Na ich dnie czaiła się skrywana nadzieja, że Simon może jednak jest zazdrosny. Niestety, jego twarz była jak zamknięta księga. Tylko w jasnoszarych oczach, schowanych pod ciemnymi brwiami, czaił się ból. W wyniku wypadku, któremu uległ przed ośmiu laty, stracił nie tylko rękę, ale przede wszystkim ukochaną żonę, Melię.

Wszyscy wiedzieli, że ją wielbił do szaleństwa, chociaż na pozór zupełnie do siebie nie pasowali. Po jej śmierci nie związał się z żadną kobietą, mimo że od czasu do czasu widywano go w damskim towarzystwie.

- O co ci chodzi? - spytał, zaniepokojony jej spojrzeniem.

- Tak naprawdę, to o nic wielkiego... Mam tylko małą prośbę. Nie zabijaj Charlesa, nawet jeśli wybiorę się z nim na spacer do parku lub na kolację do restauracji. Ja tylko żartuję!
- zawołała szybko, widząc minę Simona.

- Jesteś dzisiaj jakaś dziwna - stwierdził.

- Taka dziwna jestem od kilku lat - odparła, wzruszając ramionami. - Ale nigdy nie sądziłam, że to zauważysz.

- Wciąż robisz mi uwagi, których nie rozumiem. Może powiedz po prostu, co masz na myśli?

- Naprawdę interesuje cię, co myślę... i co czuję? Nie sądzę.

Simon popatrzył na nią i po raz pierwszy zobaczył w jej oczach smutek i cierpienie. Lecz ona błyskawicznie odwróciła wzrok.

- Chyba załatwiłam już wszystko, co chciałam - oznajmiła sucho. - No to na razie!

Podniosła leżący na poręczy krzesła długi, skórzany płaszcz, przerzuciła go przez ramię i wyszła, przeciskając się pomiędzy stłoczonymi ludźmi. Wprawdzie odprowadzały ją liczne spojrzenia zachwyconych mężczyzn, jednak Tira jak zwykle je zignorowała. Mimo że natura obdarzyła ją wielką urodą, nie przykładła do tego faktu zbyt wielkiej wagi. Próżność na pewno nie była cechą jej charakteru.

Simon pozostał na swoim miejscu, zastanawiając się nad postępowaniem Tiry. Już nie była tą wesołą, ekstrawagancką dziewczyną, której często przyglądał się z taką zachłannością i której widok kołło nieco jego ból po śmierci Melii.

Mroczna, okrutna pamięć! Kiedyś żona była dla niego całym światem. Kochał ją do szaleństwa. Lecz tamtej nocy, gdy pędzili ciemną szosą, Melia wykrzyczała mu wszystko

prosto w twarz. Okrutna prawda przestała być tajemnicą. To, na czym Simon zbudował swoje życie, jego wielkie i dozgonne uczucie do żony - wszystko runęło i zetlało w zgłiszczach poniżenia, pochłaniając jego dumę i poczucie własnej wartości.

Jaki był głupi, sądząc, że wyszła za niego z miłości! A naprawdę chodziło jej tylko o pieniądze. Kochanek? Oczywiście, że przez cały czas miała kochanka. Była przecież stworzona do miłości. Jej okrucieństwo przekroczyło wszelkie granice, gdy ze śmiechem przyznała się do aborcji. Zabiła dziecko, i co z tego... czyżby Simon naprawdę myślał, że ona narazi się na utratę figury i zostanie niańką rozwrzeszczanego bachora? A zresztą nie powinien tak bardzo się tym przejmować, najpewniej bowiem to nie on był ojcem...

Wówczas ogarnął go wielki gniew. Odezwała się urażona duma. Klócili się i podczas tej awantury Simon oderwał na chwilę wzrok od jezdni. Samochód zahaczył kołem o bryłę lodu i wpadł w poślizg, a on stracił panowanie nad kierownicą. Wpadli do rowu i przepokożkowali, a Melia, która jak zwykle jechała bez zapiętego pasa, została wyrzucona przez przednią szybę i zginęła na miejscu.

Simon miał więcej szczęścia. Co prawda poduszka powietrzna nie zadziałała, a odłamki metalu zgruchotały jego lewą rękę, lecz przynajmniej ocalił życie.

Pamiętał, że Tira natychmiast pojawiła się w szpitalu. Od razu zahuczało od plotek na ich temat, tym bardziej uzasadnionych, iż państwo Beckowie byli w trakcie rozwodu.

Nigdy nie opowiadała Simonowi o swoim krótkim małżeństwie z Johnem. Uchodzili za idealną parę, ale po niecałym miesiącu Tira wystąpiła o rozwód. Simon nigdy nie zrozumiał, dlaczego tak się stało. Z czasem jednak uznał, że pani Beck jest osobą płytką i niewiele wartą. Lepiej trzymać się od niej z daleka. Zresztą, sam niedawno otrzymał bolesną lekcję. Jakże często kobiecie piękno służy tylko temu, by ukryć zło, okrucieństwo i podłość.

John także nie opowiadał, jak układa się jego małżeństwo. Co więcej, od czasu ślubu unikał Simona. Tylko raz, kiedy przypadkiem spotkali się na przyjęciu, podпиты John oskarżył przyjaciela o to, że Simon zniszczył mu życie.

Jednak mimo ich wieloletniej przyjaźni nic więcej nie chciał powiedzieć. Zaraz po rozwodzie John opuścił Teksas, a rok później zginął w wypadku na platformie wiertniczej. Na wieść o tym Tira popadła w rozpacz i na jakiś czas wycofała się z życia towarzyskiego. Po powrocie nie była już tą dawną, wesołą i spontaniczną dziewczyną. Poważna i wyciszona, wróciła na studia i skończyła je, zostając magistrem sztuki. Jednak chociaż od tamtej pory minęły prawie trzy lata, Tira nie podjęła pracy w wyuczonym zawodzie. Już wcześniej pochłaniała ją działalność społeczna i dobroczynna, a teraz poświęciła jej cały swój czas i siły. Simon podejrzewał, że w ten sposób chciała przytłumić dręczące ją myśli.

Czyżby czuła się winna śmierci Johna? Po wypadku Tira i Simon zbliżyli się do siebie, lecz on konsekwentnie pilnował, by nie przekroczyli pewnej granicy. Chociaż w bezsenne noce, gdy myśli i uczucia wymykały się spod kontroli, owa granica często zniknęła...

Również Tira stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Obmyśliła nawet pewną strategię, a mianowicie wciąż wspominała o Charlesie Percym, by wzbudzić w Simonie zazdrość. Usiłował ignorować te zaczepki, ale tak naprawdę nieodmiennie wyprowadzały go z równowagi. Był zły na siebie, bo przecież Tira nie była tego warta. Zaraz po ślubie porzuciła męża, a potem związała się z takim zerem, jak Charles Percy. Niech idzie swoją drogą. Nic mu po niej.

Na szczęście udało mu się ukryć prawdziwe uczucia pod maską chłodu. Wszyscy byli przekonani, że wciąż cierpi po utracie Melii, bowiem nikt nie znał okrutnej prawdy. Simon podejrzewał, że Tira należy do tego samego gatunku kobiet, co jego zmarła żona. Nie, po raz drugi nie da się ogłupić urodą, pod którą ukrywa się pustka, egoizm i zło.

Tira usiadła za kierownicą srebrnego jaguara, ale zamiast odjechać, pogрузzyła się w zadumie. Czy kiedykolwiek zdoła zbliżyć się do Simona? Jak długo można walić głową w mur? Powinna w końcu przyjąć do wiadomości, że nie osiągnie niczego więcej ponad powierzchowną znajomość. Nadszedł czas, żeby raz na zawsze wykreślić Simona ze swojego życia. Tyle lat cierpiała, wyczekując chwili, kiedy znów go spotka - a potem zawsze jej ból był jeszcze większy. Teraz będzie żyła z dala od Simona, bez względu na cenę, jaką jej za to przyjdzie zapłacić.

Postanowiła, że najpierw sprzeda ranczo w Montanie, a ponieważ jego dotychczasowy zarządca znalazł wspólnika i zaproponował całkiem rozsądną cenę, wszystko odbyło się szybko i bez rozgłosu. Nie musiała więc już pojawiać się na aukcjach bytła.

Następnie wyprowadziła się ze swojego dotychczasowego mieszkania, gdyż mieściło się zbyt blisko domu Simona, i kupiła posiadłość w eleganckiej dzielnicy, na przedmieściach San Antonio. Dom był zaprojektowany w hiszpańskim stylu, z wysokimi łukami i żelaznym, kutym ogrodzeniem. Wybrała go przede wszystkim dlatego, że wewnątrz było piękne, brukowane patio z sadzawką, w której pluskały się złote rybki. Była też fontanna z kaskadami spływającej po kamieniach wody. Tira uznała, że to jest najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziała.

- Ten dom nabierze pełnego blasku, kiedy zamieszka w nim rodzina - stwierdził raz agent nieruchomości, lecz ona nie odpowiedziała ani słowem.

Teraz, gdy patrzyła na pusty, nieumeblowany salon, przypomniała sobie tę rozmowę. Ale do tego pięknego domu nigdy nie sprowadzi się rodzina, a po pustych pokojach, jak w

lunatycznym śnie, snuć się będzie ona, samotna i zrozpaczona kobieta, żyjąca w świecie, w którym nie ma Simona.

W świecie pozbawionym nadziei.

Kilka tygodni zajęło jej urządzenie domu. Pieczołowicie dobierała materiały, kolory, każdy szczegół wyposażenia. I kiedy prace została ukończona, wystrój rezydencji w każdym calu odzwierciedlał prawdziwą osobowość Tiry, niemającą nic wspólnego z tą maską, którą od lat pokazywała światu.

Nikt z dawnych znajomych nie rozpoznałby, że to ona urządziła wnętrze. Ściany salonu wyklejone były białą tapetą, ozdobioną delikatnym niebieskim wzorem. Na podłodze leżał popielaty dywan, a stylowe meble pokryte były aksamitną tapicerką w pastelowych barwach. Inne pokoje Tira też umeblowała w podobnym stylu - delikatne kolory, przeważnie rozmyty róż i błękit, drewniane elementy w kształcie kwiatów. Odnosiło się wrażenie, że to dom osoby wrażliwej, zamkniętej w sobie i trochę staroświeckiej. Taka zresztą Tira była naprawdę, tyle że przedtem ukrywała to pod maską kobiety światowej i lubiącej się bawić.

Był tylko jeden minus - nieduży, ale był. Kiedy Tira wprowadziła się po zakończeniu remontu, okazało się, że nie jest jedynym lokatorem tego domu. Zaraz pierwszego wieczoru natknęła się w kuchni na mysz, siedzącą na szafce i spokojnie zjadającą okruchy krakersów.

Następnego dnia kupiła pułapkę na myszy. Miała nadzieję, że mordercze narzędzie zadziała skutecznie i nie będzie potrzeby opatrywania rannego gryzonia. Jednak mysz jakimś dziwnym sposobem unikała grożącej jej śmierci. Tira spróbowała więc klatki z przynętą w środku, lecz i to zawiodło. Albo ta mysz była nadzwyczaj inteligentna, jak w jej ulubionych filmach rysunkowych, albo też z Tira było coraz gorzej i wytwory swojej wyobraźni brała za rzeczywistość.

Zaśmiała się gorzko na myśl, że obsesyjne marzenia o Simonie niemal doprowadziły ją do szaleństwa.

Pomijając kwestię myszy, lubiła swój nowy dom. Lecz chociaż starała się, by każdy jej dzień był bez reszty wypełniony, dzięki czemu nie miała czasu na rozpamiętywanie swoich problemów, i tak pod wieczór okazywało się, że nieuchronnie czeka ją samotna noc. Noc, podczas której sufit i ściany zdawały się walić na nią. Pracowała ponad siły, ale mimo to bardzo źle sypiała. Może byłoby lepiej, gdyby wychodziła z domu w określonych godzinach, ale Tira nie musiała zarabiać na życie - pieniędzy posiadała aż nadto. Podczas dnia była niezwykle aktywna i miała wypełnioną każdą minutę. Gdy jednak nadchodziły puste wieczory, nie potrafiła zająć się niczym sensownym. Dopadały ją wówczas myśli, od których tak pragnęła uciec.

W poniedziałkowy ranek, dżdżysty i ponury, Tira wyszła z domu, żeby kupić na targu świeże warzywa. Szła, patrząc pod nogi, wszędzie bowiem były kałuże. Wychodząc zza rogu, wpadła prosto na Corrigan Harta i jego żonę Dorothy.

- O Boże! - zawołała, trochę wystraszona. - A wy co robicie w San Antonio?

- Jak to co? Kupujemy bydło - odparł Corrigan, uśmiechając się szeroko. - I właśnie uzmysłowiłem sobie, że nie widzieliśmy ciebie na aukcji. Brałem w niej udział w zastępstwie Simona. On ostatnio zupełnie przestał się udzielać.

- Tak się składa, że ja również - odparła Tira. Boleśnie ugodziła ją myśl, że Simon nie przychodził na aukcje, by jej nie spotkać. - Sprzedałam ranczo - oznajmiła.

- Przecież to było ranczo twojego ojca - powiedział zaskoczony Corrigan. - Myśleliśmy, że kochasz to miejsce.

- Tak, ale miałam już wszystkiego dosyć - wyznała Tira, obracając w dłoniach pałąk od koszyka. - Postanowiłam całkowicie zmienić swoje życie.

- Właśnie widzę. Wybraliśmy się, żeby cię odwiedzić, ale w mieszkaniu nikogo nie było.

- Przeprowadziłam się - odparła. - Kupiłam dom na przedmieściu - dodała, rumieniąc się lekko pod badawczym spojrzeniem Corrigan.

- Ustronne miejsce, gdzie nie będziesz co i rusz wpadać na Simona?

- Gdzie w ogóle na niego nie będę wpadać - powiedziała stanowczo, ale zaczerwieniła się jeszcze bardziej. - Zerwałam wszystkie nici łączące mnie z przeszłością. Już mam dosyć tych przypadkowych spotkań. Nie będę wzdychała do mężczyzny, który mnie po prostu nie chce.

Widać było, że Corrigan jest zaskoczony, jego żona zaś patrzyła na Tirę ze współczuciem.

- Na dłuższą metę chyba masz rację - odezwała się cicho. - Jesteś taka młoda i piękna, a wokół jest mnóstwo mężczyzn.

- Pewnie, że tak - odparła Tira i również uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Cieszę się, że wasze małżeństwo tak dobrze się układa, i przepraszam, że kiedyś o mało wszystkiego nie popsułam. Wierz mi, to naprawdę było nieświadomie.

- Ależ wierzę ci - zapewniła Dorie, przypominając sobie, jak pojedyncze, wyrwane z kontekstu zdanie sprawiło, że w panice szukała męża po całym mieście. - Corrigan wszystko mi wytłumaczył. Po prostu byłam zazdrosna i niepewna jego uczuć, ale to dawno minęło. Przykro mi, że nie ułożyło ci się z Simonem - dodała.

- Nie można nikogo zmusić żeby cię pokochał - powiedziała Tira smutnym głosem. -

Simon żyje tak, jak ma na to ochotę. Nadeszła pora, bym i ja zaczęła żyć po swojemu.

- A może byś tak wróciła do rzeźbienia i urządziła wystawę? - zaproponował Corrigan.

Tira zaśmiała się szczerze.

- Już od wieków nie próbowałam rzeźbić. Zresztą nigdy nie byłam w tym dobra.

- Z tym się nie zgodzę. Masz przecież nawet dyplom. Najwyższy czas zrobić użytek z posiadanych umiejętności.

Tira zastanawiała się przez moment.

- No cóż, bardzo to lubiłam - powiedziała z wahaniem. - Kiedyś udało mi się nawet sprzedać kilka moich figurek.

- No widzisz? Taki pomysł sam się narzuca - stwierdził Corrigan. - Chyba że wolisz zapisać się na kurs pieczenia biszkoptów.

Wszyscy wiedzieli, że bracia Hart są biszkoptowymi maniakami.

- Nie mam najmniejszego zamiaru ubiegać się o tytuł kucharki roku.

- Nie o to chodzi. Po prostu Dorie goni resztkami sił i potrzebny jest jej ktoś do pomocy. Boję się też, że jeżeli nikogo nie znajdę, to moi bracia przykują ją łańcuchami do pieca kuchennego. Wiesz, jacy są nieobliczalni.

- Wiem. Jeszcze przez wiele lat głośno będzie o tym, w jaki sposób doprowadzili do waszego małżeństwa.

- Chcieli dobrze - broniła swoich szwagrów Dorie.

- Nieprawda! Po prostu chcieli mieć swoje biszkopty. Zrobiłaś wielki błąd, kiedy zdradziłaś się przed nimi, że umiesz je piec.

- Mimo wszystko nie jest tak źle - powiedziała Dorothy, obdarzając swojego męża promiennym uśmiechem.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, bo Tira lubiła ich oboje, a zwłaszcza Corrigan. Może tylko za bardzo przypominał jej Simona...

Zapisała się na kurs rzeźby, żeby przypomnieć sobie to, co zapomniała przez lata.

- Pani ma wrodzony talent - chwalił ją nauczyciel. - Może pani mówić o szczęściu, ponieważ rzeźba jest teraz modna, więc często przynosi niezłe dochody.

Tira o mało nie jęknęła na cały głos. Nie mogła przecież powiedzieć temu miłemu panu, że ma mnóstwo pieniędzy. Więc tylko się uśmiechnęła i podziękowała za pochwałę.

Zresztą na pochwałach się nie skończyło. Nauczyciel włączył jej prace do wystawy swoich uczniów, co okazało się dobrym pomysłem, bowiem właściciel miejscowej galerii skontaktował się z Tirą i zaproponował jej indywidualną wystawę. Wprawdzie próbowała odwieść go od tego pomysłu, ale ponieważ był bardzo uparty, w końcu zgodziła się. Postawiła

tylko jeden warunek, a mianowicie taki, że dochód ze sprzedaży przekazany zostanie na potrzeby miejscowego szpitala.

Nie zwlekając, z zapalem rzuciła się w wir pracy. Zanim zdała sobie z tego sprawę, praca artystyczna pochłonęła ją prawie bez reszty. Rzeźbiła, projektowała nowe detale i cyzelowała szczegóły. Po raz pierwszy od lat poczuła się szczęśliwa.

Kończąc kolejną rzeźbę, nagle zorientowała się, że właśnie stworzyła podobiznę Simona. Z narastającą wściekłością wpatrywała się w dopiero co ukończone popiersie i już miała potłuc je na kawałki, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Zirytowana tym, że ktoś śmie przeszkadzać jej w pracy, zarzuciła kawałek szmaty na rzeźbę i ruszyła do drzwi, wycierając po drodze dłoń.

Niewiele to pomogło, bo i tak cała była utyłana gliną. Bez makijażu i na bosaka, w wytartych dzinsach, starym podkoszulku i brudnym fartuchu, przedstawiała sobą dość żalony widok.

Otworzyła drzwi, nie pytając nawet, kto przyszedł, i stanęła jak wryta. W progu stał Simon. Od razu zauważyła, że nosi protezę, chociaż tak tego nie lubił, i spojrzała na wystającą z rękawa marynarki dłoń. Wyglądała zaskakująco naturalnie.

- Czego chcesz? - spytała. Simon nie oczekiwał takiego powitania. Dawniej, kiedy z rzadka wpadał do jej mieszkania, przyjmowała go z uśmiechem, a nawet radością. Teraz jej twarz była zimna, odpychająca.

- Zajrzałem, żeby zobaczyć, jak się miewasz - odparł spokojnie. - Ostatnio nigdzie się nie pokazywałaś.

- Sprzedałam ranczo.

- Wiem. Corrigan mi o tym powiedział. - Simon rozejrzał się wokoło. - Ładny dom - stwierdził. - Ale czy rzeczywiście potrzebowałaś aż tak wielkiej rezydencji?

- Czego chcesz? - powtórzyła, ignorując jego słowa. Simon przyjrzał się jej uważnie.

- Co to? Robisz cegły? - zażartował. Kiedyś pewnie by się roześmiała, ale teraz była już inną osobą.

- Rzeźbię.

- Aha, pamiętam. Przecież studiowałaś sztukę. Zdaje się, że byłaś dość dobra.

- A teraz jestem dość zajęta - powiedziała z naciskiem.

- To znaczy, że nie zaprosisz mnie na kawę? - zapytał Simon, unosząc brwi ze zdziwienia.

- Nie mam czasu na towarzyskie pogawędki - odparła, czując, że serce bije jej coraz szybciej. - Przygotowuję się do wystawy.

- W galerii Boba Hendersona? - spytał tak, jakby już znał odpowiedź. - Mam w niej trochę udziałów. Nie, nie miałem z tym nic wspólnego - dodał pośpiesznie, widząc jej minę. - Nie wiedziałem o tym aż do chwili, dopóki Bob nie zapoznał mnie z projektem wystawy. Niczego mu nie sugerowałem. Ale chyba zgodzisz się ze mną, że jestem tym żywo zainteresowany i dlatego chciałbym obejrzyć twoje prace.

To nieco zmieniało postać rzeczy, lecz mimo wszystko Tira nie chciała, żeby Simon wchodził do jej domu. Potem już nigdy nie zdołałaby się pozbyć wspomnień.

- Tiro, o co chodzi? Co się stało?

- A co miałyby się stać? - odparła, nie patrząc na niego.

- Nie wyglupiaj się. Sprzedajesz ranczo, kupujesz ten dom i zamykasz się w nim, jakbyś chciała schować się przede mną - powiedział i nagle, nie wiedząc czemu, poczuł się winny.

- Boże drogi, przecież to nie miało nic wspólnego z tobą!

- odparła Tira, udając zdumienie. - Po prostu miałam już serdecznie dość mojego życia i postanowiłam wszystko w nim zmienić. I tak też zrobiłam.

- Mówiąc „wszystko”, miałaś również na myśli mnie?

- Tak - odpowiedziała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Przede wszystkim musiałam uwolnić się od wspomnień związanych z moim małżeństwem, a ty byłeś przecież przyjacielem Johna. Wiedziałam, że dłużej już tego nie wytrzymam.

- Wybacz, ale czegoś tu nie rozumiem - powiedział Simon z nieukrywanym sarkazmem.

- Chcesz mi wmówić, że wciąż się zadrezczasz wspomnieniami? Przecież John w ogóle cię nie obchodził. Rozwiodłaś się z nim po miesiącu i brutalnie wyrzuciłaś go ze swojego życia. A zaraz potem jego miejsce zajął ten... Charles Percy.

Nagle Tira zrozumiała całą przerażającą prawdę: Simon obwiniął ją o śmierć Johna! Od tragicznych wydarzeń minęło trochę czasu, a ona dopiero teraz dowiedziała się, co naprawdę Simon o niej myśli.

Była to ostatnia kropla, która przelała czarę goryczy. Przecież Tira tak bardzo go kochała! Była to miłość od pierwszego wejrzenia i od tamtej pory nie marzyła już o żadnym innym mężczyźnie. Nawet gdy Simon wepchnął ją w ramiona Johna, jej uczucia pozostały takie same. Teraz zaś, kiedy już wszystko było stracone, zrozumiała, dlaczego Simon Hart odnosił się do niej przez cały czas z tak wielką rezerwą. To zbyt okrutne! Nawet w najczarniejszych snach Tira nigdy by sama na to nie wpadła.

- No cóż - odezwała się z wysiłkiem. - Iluż to rzeczy można się dowiedzieć o kimś, kogo uważało się za dobrego znajomego! - Wepchnęła brudną ścierkę do kieszeni równie ubabranego gliną fartucha. - A więc zabiłam Johna, tak? Takie jest twoje zdanie?

Zaskoczony jej gwałtownym wybuchem, nie zdążył przemyśleć swojej odpowiedzi i spontanicznie wykrzyczał:

- Dla ciebie to małżeństwo było tylko grą, zabawą, a John kochał cię naprawdę! Lecz co ty dałaś mu w zamian? W miesiąc po ślubie zażądałaś rozwodu, a potem pozwoliłaś, by pojechał na tę cholerną platformę, chociaż dobrze wiedziałaś, jaka to niebezpieczna praca. Nie zrobiłaś niczego, by go zatrzymać. Wiesz, to jednak śmieszne! Od początku domyślałem się prawdy, lecz mimo to w myślach cię broniłem. Ale tak naprawdę jesteś kobietą płytką, zimną i samolubną. A co gorsza, jesteś przy tym piękna. Jak łatwo się na to nabrać! Bo co kryje się w środku? Nic, pustka, zero - ciągnął, nie dostrzegając śmiertelnej bladości na twarzy Tiry. - Uroda, figura i pustka. Nie ma w tobie żadnych uczuć, nie jesteś zdolna do miłości i przyjaźni, nie potrafisz zrozumieć uczuć innych ludzi. Widzisz tylko siebie. To cały twój świat. Oto jaka jesteś!

Boże, pomyślała z rozpaczą, nie mogę teraz zemdleć. Z trudem wzięła się w garść.

- I cały czas milczałaś - zaczęła cicho. - Przez tyle lat.

- Nie sądziłem, że trzeba tu cokolwiek wyjaśniać - odparł wprost. - Mam nadzieję, że to niczego nie zmieni w naszej znajomości. Jesteś jaka jesteś, i tyle. Ale chyba nie liczyłaś na to, że do czegoś między nami dojdzie? John był najwyraźniej masochistą, ale ja jestem inny.

Chciała umrzeć, ale jeszcze nie teraz. Nie na oczach Simona. Nie odejdzie z tego świata w poniżeniu. Musi zachować resztki dumy.

Spokojnie podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. Do środka wpadło rześkie, październikowe powietrze. Znieruchomiała i w milczeniu czekała z dłonią na klamce.

Simon ruszył do wyjścia, potem na moment przystanął w progu. Zawahał się, gdy dostrzegł przerażającą bladość na twarzy Tiry. Nie rozumiał, o co chodzi, przecież właściwie nic się nie stało. Powiedział jedynie kilka słów prawdy.

Chciał coś dodać, ale nim zdołał zebrać myśli, drzwi zatrzasnęły się za nim. Usłyszał, jak Tira przekręca klucz i zakłada łańcuch.

Wtedy zaczął krzyczeć. Wołał jej imię, składał chaotyczne zdania, walił pięścią w drzwi. Tira musiała go słyszeć. Lecz jedyną odpowiedzią, jaka do niego dotarła, było milczenie.

Następnego ranka pani Lester, gosposia Tiry, ujrzała swoją pracodawczynię leżącą w sypialni z pistoletem w dłoni i pustą butelką po whisky. Pani Lester była osobą doświadczoną, więc pospieszyła do łazienki, żeby sprawdzić apteczkę. Tam natknęła się na puste opakowanie po środkach uspokajających i natychmiast zadzwoniła na pogotowie. Karetka przyjechała błyskawicznie.

Gdy niedoszłą samobójczynię wnoszono na noszach, pani Lester pomyślała z przerażeniem, że życie Tiry tli się ledwie maleńkim płomyczkiem, który w każdej chwili może zgasnąć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dopiero po upływie doby Tira na tyle odzyskała przytomność, by zrozumieć, gdzie się znajduje. Leżała w szpitalu, w dość przyjemnym pokoju, tyle że nie miała pojęcia, skąd się tu wzięła. Była bardzo słaba i oszołomiona. Czuła się fatalnie.

Po chwili w pokoju pojawiła się pielęgniarka oraz doktor Ron Gaines, skądinąd wieloletni przyjaciel rodziny.

- Proszę zmierzyć chorej temperaturę, puls i ciśnienie - powiedział, a sam zajął się kartą Tiry.

Kiedy pielęgniarka wykonała swoje zadanie, lekarz polecił jej opuścić pokój, a sam podszedł do chorej i usiadł na krześle przy łóżku.

- Gdyby ktoś powiedział mi o tym, to chyba nie uwierzyłbym. Zawsze uważałem cię za najbardziej zrównoważoną kobietę pod słońcem. Co prawda byłaś przepracowana - nikt nie zrobił tyle dla szpitala, co ty, ale... Powiedz, co się stało?

- Miałam przykre przeżycie - odparła cicho. - Spadło to na mnie tak niespodziewanie, że nie potrafiłam sobie z tym poradzić i zrobiłam coś głupiego... Wstyd przyznać, ale się upiłam.

- Nie próbuj się wykręcać. Twoja gospodyni znalazła cię nieprzytomną, z pistoletem w dłoni.

- Ach, to...

Chciała opowiedzieć doktorowi o swoich nieudanych zmaganiach z myszą. Poprzedniej nocy, kiedy już opróżniła pół butelki whisky, postanowiła zastrzelić uprzykrzonego gryzonia. Niestety, za bardzo kręciło jej się w głowie.

- Tiro, jeśli to nie była próba samobójstwa, to ja nie jestem lekarzem. Powiedz prawdę.

- Wcale nie chciałam się zabić! - zawołała oburzona. - Po prostu przeżyłam lekkie załamanie nerwowe, gdyż właśnie dowiedziałam się, że Simon obwinia mnie o śmierć Johna.

Lekarz był wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał.

- Czyżby nie wiedział, dlaczego wasze małżeństwo się rozpadło? - Tira potrząsnęła głową. - Na miłość boską, powinnaś mu o tym powiedzieć!

- Jak miałam to zrobić? Przecież John był najlepszym przyjacielem Simona. Poza tym w najczarniejszych snach nie podejrzewałam, że będzie mnie oskarżał. Zawsze zachowywał się

wobec mnie poprawnie, choć niezbyt serdecznie, ale myślałam, że wciąż przeżywa śmierć Melii. No cóż, zachowywałam się jak prawdziwa idiotka. Zwłaszcza wczoraj.

- Cieszę się, że to przyznałaś. Twojego ostatniego wyczynu nie można nazwać mądrym.

Tira zmarszczyła brwi, jakby usiłując sobie coś uzmysłwić.

- Czy robiliście mi płukanie żołądka?

- Tak.

- No to nic dziwnego, że mam taką pustkę w środku. Ale po co? Przecież piłam tylko whisky...

- Twoja gospodyni znalazła w łazience puste opakowanie po środkach uspokajających - odparł doktor z naciskiem.

- Ta buteleczka była pusta od stu lat! Nie wiem, dlaczego nie wyrzucam takich rzeczy, może mam naturę chomika. Tamte środki przepisał mi doktor James, kiedy trzy lata temu zdawałam końcowe egzaminy i byłam kłębkim nerwów.

Przerwała na chwilę, żeby się uspokoić.

- Nie mam i nigdy nie miałam samobójczych myśli - mówiła dalej z wielką powagą. - Jestem ostatnią osobą na świecie, którą można by o to posądzić. Po prostu miałam kryzys. Nigdy nie biorę do ust alkoholu, więc może dlatego tak mocno na mnie podziałał.

Doktor chciał coś powiedzieć, ale nagle drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i w progu stanął Simon. Wyglądał tak, jakby właśnie przeżył jakiś wypadek - miał bladą twarz i przerażony wzrok.

To nie była jego wina, ale Tira nienawidziła go w tej chwili za to, że przez niego zrobiła z siebie idiotkę. Patrzyła na niego wrogo, wściekła, że sanitariusze odebrali jej pistolet.

- Wyjdź stąd! - zawołała, siadając na łóżku. Jej twarz pałała, oczy ciskały błyskawice.

- Tiro... - zaczął Simon niepewnie.

- Wyjdź! - powtórzyła. Było jej wstyd. Nie dość, że upiła się do nieprzytomności, to jeszcze znajomi będą plotkować, że chciała popełnić samobójstwo. Mimo jej furii Simon nie ruszał się z miejsca. Więc w końcu rozplakała się bezradnie.

Doktor Gaines wstał i przez interkom polecił pielęgniarce przynieść leki. Następnie zwrócił się do Simona.

- Wyjdź - powiedział bez ogródek. - Porozmawiam z tobą za kilka minut.

Simon musiał odsunąć się od drzwi, żeby wpuścić pielęgniarkę ze strzykawką. Idąc korytarzem, słyszał wciąż głośnie szlochy Tiry.

W holu czekał na niego Corrigan. To właśnie brat dowiedział się o wszystkim i natychmiast zadzwonił do Simona. Powiedział, co prawda, tylko tyle, że Tira w ciężkim stanie

została przewieziona do szpitala. Albo nie miał pojęcia, co naprawdę się wydarzyło, albo też nie chciał mówić wszystkiego.

- Słysząc było aż tutaj - powiedział Corrigan. - O co poszło?

- Nie mam pojęcia. - Simon oparł się z westchnieniem o ścianę. Pusty rękaw zwisał bezsilnie wzdłuż jego ciała. - Zobaczyła mnie i zaczęła krzyczeć - dodał z udręką w oczach. - Nigdy jeszcze tak się nie zachowywała.

- No właśnie - stwierdził Corrigan. - Naprawdę nie przypuszczałem, że ona zechce popełnić samobójstwo.

- O czym ty mówisz?

- Przecież wypła morze whisky i połknęła środki uspokajające. Do tego wszystkiego, gospodyni znalazła Tirę z pistoletem w ręku.

- O mój Boże!

Simon zamknął oczy, ale nie mógł opanować drżenia. Wiedział, że to on doprowadził Tirę do tak desperackiego kroku. Wciąż widział jej upiornie bladą twarz, gdy brutalnie oskarżał ją o śmierć Johna. Zachowywała się tak spokojnie, że było w tym coś złowieszczonego. Nie powinien był zostawiać jej samej. A, przede wszystkim, jak mógł coś takiego jej powiedzieć! Myślał, że jest zimną, nieczułą kobietą, która ma za nic opinię innych ludzi. Dopiero po fakcie zrozumiał, jak bardzo się mylił.

- Byłem wczoraj u niej - powiedział głucho. - Na poprzedniej aukcji zrobiła jakąś uwagę o zazdrości, wiesz, że niby ja... Potem próbowała to obrócić w żart, ale mnie to trochę ubodło. Powiedziałem jej więc, że o taką osobę jak ona na pewno nie mógłbym być zazdrosny. A na dodatek wczoraj wyłożyłem kawę na ławę, co sędzę o jej stosunku do Johna. Zachowałem się fatalnie, ale byłem wściekły, bo chciała mi wmówić, że jestem o nią zazdrosny. Tak jakby sugerowała, że między nami może do czegoś dojść. Byłem pewien, że jest twardą kobietą, odporną na ciosy.

- A zawsze mówiło się w naszej rodzinie, że to ja jestem ślepy - powiedział Corrigan.

- O co ci chodzi? Corrigan otworzył usta, jakby chciał coś wyjaśnić, ale po namyśle zrezygnował.

- Nieważne - stwierdził i machnął niedbale ręką. W oddali otworzyły się drzwi do pokoju Tiry i wynurzył się z nich doktor Gaines. Rozejrzał się i kiedy ujrzał braci, ruszył w ich stronę.

- Nie możesz jeszcze do niej pójść - zwrócił się do Simona.

- Kolejny wstrząs może być dla niej nie do zniesienia.

- Przecież ja nic nie zrobiłem - zaprotestował Simon ostro.

- Ledwo zdążyłem stanąć w drzwiach. Doktor spojrzał na Corrigan, który tylko zruszył ramionami i pokręcił głową.

- Skontaktuję się z zaprzyjaźnionym psychoterapeutą - mówił dalej lekarz. - Jest to jej bardzo potrzebne.

- Przecież ona nie jest wariatką - odezwał się znów Simon, coraz bardziej zdziwiony. Doktor Gaines spojrzał na niego z politowaniem.

- Przez cztery lata byłeś prokuratorem stanowym - powiedział. - Wciąż jesteś znanym prawnikiem i to podobno bardzo błyskotliwym. Jak więc możesz być taki głupi?

- Czy ktoś wreszcie powie mi, o co tutaj chodzi? - zapytał zdenerwowany Simon.

Gaines znów popatrzył na Corrigan, który pokazał ręką, że zrzeka się pierwszeństwa, i powiedział z paniką w głosie:

- Ona nas za to zamorduje.

- To w takim razie mamy pozwolić jej umrzeć? No, dobrze, wypadło na mnie. - Doktor odwrócił się do Simona. - Słuchaj, przecież ona kocha się w tobie od co najmniej czterech lat - zaczął z wahaniem. - Wszyscy przekonywaliśmy ją, że już dawno powinna sobie dać spokój z hodowlą bydła, ale ona wymyśliła sobie, że wtedy będzie miała więcej okazji, żeby cię widywać. Miała nadzieję, wbrew wszelkim znakom na niebie i na ziemi, że może któregoś dnia zakochasz się w niej. Ja w każdym razie wiedziałem, że nie ma na co liczyć. Mam rację?

- zwrócił się na koniec do Corrigan, który tylko skinął głową. Simon stał, opierając się bezładnie o ścianę. Czuł się jak ktoś wyzuty ze wszystkich sił.

- Właściwie dobrze się stało, że wygarnąłeś jej prawdę, chociaż pewnie w tej chwili nie zgodzisz się ze mną - dodał doktor.

- Ona musi wreszcie zrozumieć, że nie można żyć iluzjami. Zresztą teraz gwałtownie zaczęła zmieniać swoje życie, więc chyba wreszcie pojęła, że to wszystko były nic niewarte mrzonki. Z czasem pogodzi się z tym i wtedy naprawdę się odrodzi. Ostatnio była tak zajęta i przepracowana, że tylko czekałem, kiedy nerwowo się załamie. Ale wyjdzie z tego, zapewniam cię powiedział, poklepując Simona po ramieniu. - To nie twoja wina. Tylko teraz na jakiś czas daj jej spokój, a wtedy szybciej odzyska równowagę.

Skinieniem głowy pożegnał obu braci i odszedł. Simon nadal stał bez słowa. Czuł się zupełnie zdruzgotany. Corrigan zbliżył się i wziął go za ramię.

- Chodź, napijemy się kawy.

Simon pozwolił się prowadzić i nagle odkrył, że stawianie nogi za nogą bywa czasami czynnością niezwykle trudną i skomplikowaną.

- Chciała popełnić samobójstwo przeze mnie - powiedział Simon kilka minut później,

kiedy usiedli w małej kawiarence nad filiżankami mocnej kawy.

- Simon, to nie jest tak! Tira nie wytrzymała tempa, jakie sobie narzuciła. Wystarczyło cokolwiek, by wywołać taką reakcję. Jak nie ty, to jakieś nieporozumienie w galerii, kłótnia o miejsce na parking, naprawdę byle co. Myślę, że teraz Tira najgorsze ma już za sobą. I że to się już nie powtórzy. Zresztą lekarze też tak mówią.

Simon starał się oddychać normalnie, chociaż przychodziło mu to z trudem. Wciąż nie mógł w to wszystko uwierzyć.

- Wiedziałaś o tym? - zapytał brata.

- Nic mi nie powiedziała, jeśli to miałaś na myśli - odparł Corrigan. - Ale zrozumiem, gdy mówiła o tobie lub gdy się was zobaczyło razem... Było mi jej żal. Ale ty nie potrafiłeś się pozbierać po śmierci Melii. Wciąż ją kochasz. Wszyscy wiemy, że nie chcesz zakładać nowej rodziny. Tylko że do Tiry to nie docierało, wciąż nie rozumiała, że stoi na straconej pozycji.

- Teraz wszystko wydaje się takie proste - powiedział Simon, odstawiając filiżankę. - Ciągle ją gdzieś spotykałem, nieraz w bardzo dziwnych miejscach. Działała, na przykład, we wszystkich organizacjach dobroczynnych, z którymi miałem cokolwiek wspólnego... Ale nigdy nie zwróciłem na to uwagi.

- Wiem. Simona ogarnęło nagle straszliwe podejrzenie.

- I John też wiedział?! - krzyknął, a Corrigan po chwili wahania skinął głową. - Dobry Boże! Więc to ja zniszczyłem ich małżeństwo...

- Nie wiem, choć mogło tak być. Tira nigdy nie mówiła o Johnie. Wiesz, jedno mnie zastanawia - dodał z namysłem. - Czy zauważyłeś, że ojciec Johna odnosi się do niej z przyjaźnią i sympatią? To chyba dowód, że nie wini jej za to, co się stało.

Simon nie chciał teraz myśleć o tym wszystkim. Czuł się okropnie i było mu niedobrze.

- To ja skłoniłem ich do małżeństwa - powiedział.

- Tak, pamiętam. Wszystkim wydawało się, że są dla siebie stworzeni.

- Przede wszystkim mnie się tak wydawało - powiedział Simon z goryczą.

- Słuchaj, zachowajmy naszą rozmowę w tajemnicy. Tira potrzebuje teraz spokoju. Wyobrażasz sobie, jak w jutrzejszych gazetach rzucą się na nią różne pismaki? Oczywiście, w szpitalu jej tego nie pokażą, ale potem na pewno znajdzie się ktoś „życzliwy”. Ludzie uwielbiają sypać sól na cudze rany.

Simon zrozumiał, że pamięć o tym dniu stanie się dla niego najczarniejszym koszmarem, nawet wspomnienia związane z Melią będą mniej bolesne.

Przez tyle lat Tira otaczała go swym ciepłem i starała się okazać mu miłość, a on był po prostu ślepy. Odgradzony nieprzebytym murem, zapatrzony w siebie.

A dzisiaj w oczach Tiry było tyle cierpienia, bólu - i nienawiści. Taka reakcja była absolutnie sprzeczna z jej charakterem. Simon uśmiechnął się gorzko do swych myśli. Nie miał dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Straszliwie skrzywdził kobietę, która obdarzyła go najpiękniejszym z uczuć...

- Nie przejmuj się tak bardzo - odezwał się Corrigan. - To nie twoja wina. Tira żyła w zbyt dużym stresie. Kiedyś musiało dojść do wybuchu. Ale najgorsze już minęło i może być tylko lepiej.

- Ona mnie kochała.

- A ty jej nie. Nie można nikogo zmusić do miłości. To jej słowa. Wypowiedziała je, kiedy kilka tygodni temu spotkaliśmy ją z Dorie. Więc jednak otrząsnęła się ze złudzeń i już wiedziała, że ty nie...

- Nie wiesz najważniejszego. Oskarżyłem ją, że zabiła Johna, bo przez nią pojechał na Morze Północne, chociaż nigdy nie pracował w tak trudnych warunkach. Powiedziałem, że jest płytka, zimna i samolubna, a taka kobieta dla mnie nie istnieje... - W głosie Simona brzmiała narastająca wściekłość. - Postąpiłem jak skończone bydlę. Zadałem Tirze straszliwy ból. Obrzuciłem ją błotem, poniżyłem, oplułem jej uczucia!

- Rzeczywiście, narozrabiałeś jak diabli! Na koniec powinienesz podać jej truciznę albo nabity rewolwer.

- Przecież ja to spowodowałem? Nie rozumiesz tego?! Bo to przeze mnie sięgnęła po...

- Słuchaj, nie zamierzam ciebie usprawiedliwiać. Wpadłeś w furję, postąpiłeś źle. Ale już jest po wszystkim. Tira zrozumiała, że nie ma co na ciebie liczyć. I że ma jeszcze całe życie przed sobą. Tylko usuń się jej z drogi, a poradzi sobie. Ma przyjaciół. Pomożemy jej.

Simon nic nie odpowiedział, tylko siedział, wpatrując się w stygnącą kawę.

Tira spała przez resztę dnia. Kiedy się obudziła, pokój był pusty. Czowała się dużo lepiej.

Weszła pielęgniarka, uśmiechnęła się i zmierzyła jej puls oraz ciśnienie, a potem podała kolejną porcję lekarstw. W chwilę później Tira znowu zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, przy swoim łóżku ujrzała wysokiego, przystojnego blondyna o ciemnych oczach. Miał zatroskaną minę.

- Charles - powiedziała z radością. - Cieszę się, że przyszedłeś.

- Dobrze, że mam do kogo przychodzić, ty wariatko. Jak mogłaś tak głupio postąpić?

Podparła się na łokciu i odgarnęła włosy z twarzy.

- Charles, ja wcale nie chciałam się zabić! - wychrypiła przez ściśnięte gardło. - Upiłam się, a pani Lester znalazła puste opakowanie po lekarstwach i zrobiła aferę. Nie można jej zresztą za to winić, bo w ręku ścisnęłam pistolet, a w ścianie była dziura po kuli...

- Pistolet? Dziura po kuli?!

- Uspokój się - powiedziała Tira i skrzywiła się. - I mów trochę ciszej. Głowa mi pęka, chce mi się pić. Owszem, pistolet. Chciałam zastrzelić mysz.

- Zastrzelić mysz?! Uratowali ciało, ale rozum przepadł, pomyślał Charles.

- W moim domu jest mysz, żywa, pospolita mysz - wyjaśniła Tira udręczonym głosem.

- Zastawiłam pułapkę i przynętę, wszystko na nic. Ten gryzoń po prostu ze mnie kpi. Gdy wypiałam pół butelki, przypominałam sobie Johna Wayne'a, który jednym strzałem zabił szczura. Na filmie to było takie proste. Nie chciałam być gorsza. - Zachichotała. - Szkoda, że tego nie widziałeś.

- Ja też żałuję. Tiro, ale pogadajmy poważnie. Żyłeś za ostro.

To musiało się tak skończyć. Pomagałaś tylu ludziom, załatwiałaś wszystko za wszystkich, a kiedy jeszcze zaczęłaś szykować wystawę... Kilka razy próbowałam ci to powiedzieć, ostrzec cię.

- Wiem. Nie zdawałam sobie sprawy, że pracuję za ciężko.

- Zawsze tak z tobą było. Powinnaś wyjść za mąż i mieć dzieci. Wtedy byś wreszcie odpoczęła.

- Czyżby to była propozycja? Chcesz się poświęcić dla mojego dobra?

- Może to nie byłoby takie złe - odparł Charles ze śmiechem. - Kochamy osoby, które nas nie kochają. A my się przynajmniej lubimy.

- To za mało, żeby się pobrać.

- Jasne - odparł Charles i wzruszył ramionami. - A teraz musisz szybko wyzdrowieć. Za tydzień jest bal dobroczynny i musisz ze mną pójść. Wiesz, ona również tam będzie - dodał znacząco.

„Ona”, czyli żona jego przyrodniego brata. Niespełniona, nieszczęśliwa miłość Charlesa. Brat Charlesa, ponury sztywniak, był od swojej żony o dwadzieścia lat starszy, a ich związek wyglądał na kompletne nieporozumienie. Nikt jednak nie wiedział, jak naprawdę układa się w tym małżeństwie.

- Nie mam w czym pójść.

- To zafunduj sobie coś nowego. Nie bój się, nie będziesz musiała rozmawiać z Simonem. Będę czuwał przy twoim boku jak stare, wierne psisko. Przysięgam na mój samochód.

- Na twój samochód? To poważna sprawa.

Tira musiała ustąpić, bowiem taka przysięga w ustach Charlesa znaczyła naprawdę wiele. Bowiem, poza szwagierką, kochał tylko swoje auto.

- Możesz nawet poprowadzić.
 - Charles, przechodzisz samego siebie!
 - Przyniosłem ci kwiaty, ale zabrała je pielęgniarka. Miała poszukać jakiegoś wazonu.
 - Podrywasz mnie? Zaczynam rozumieć, dlaczego wszystkie kobiety tak na ciebie lecą.
 - Niestety, nie wszystkie. Pogłaskała go po dłoni.
 - Jedziemy na jednym wózku, Charles.
 - Żeby tak marnować życie! Przecież oni nawet nie wiedzą, co tracą.
- Tira zrozumiała, że Charles ma na myśli Simona i swoją bratową.

- Trudno, ich strata! Wiesz, cieszę się, że pójdziemy razem na ten bal. Zawieziesz mnie do domu? Bo dzisiaj na pewno mnie wypiszą.

- Jasne. Lecz doktor Gaines był odmiennego zdania.

- Wierzę ci, ale...

- Mówię prawdę - powtórzyła raz jeszcze. - Naprawdę nie myślałam o samobójstwie. Byłam wściekła, bo ktoś mnie poniżył i zranił. Więc się upiłam, zresztą po raz pierwszy w życiu. To chyba zdrowa reakcja?

- A co powiesz o nabitym pistolecie i o małej strzelaninie?

- Ale trafiłam w ścianę.

- Co to ma za znaczenie?

- Przecież to dowód na to, że nie kłamię! Chodziło o mysz. Polowałam na nią już od tygodni.

Doktor wybuchnął śmiechem.

- To znaczy, że walczyłaś z myszą? Dzielna dziewczynka!

- Umiem strzelać - odparła sucho. - Muszę być tylko trzeźwa. Wtedy nie pudłuję.

- Nie lepiej kupić pułapkę?

- Próbowałam, ale to wyjątkowa mysz.

- A co powiesz na kota?

- Mam uczulenie na sierść.

- A elektroniczne odstraszacze?

- Też na nic. Poprzegryzała kable.

- I nie poraził jej prąd?

- Nie. Wydaje mi się, że po każdym zwycięstwie nade mną staje się coraz silniejsza i mądrzejsza. Nawet arszenik zamieniłaby na białko. Pozostała tylko kula w łeb.

Lekarz i Charles spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Parę minut później, kiedy Charles poszedł po samochód, doktor Gaines jeszcze raz przyszedł porozmawiać z Tirą.

- Nie przejmuj się tym, co powiedział Simon. Przecież nie jesteś winna śmierci Johna. Nikt, żadna kobieta nie mogłaby temu zapobiec. Zrobił wielki błąd, zeniąc się z tobą.

- To Simon popychał nas ku sobie - odpowiedziała. - Uważał, że będzie z nas idealna para - dodała gorzko.

- Simon o niczym nie wiedział - dodał lekarz. - John nie przyznał się, a ty też pewnie zachowałeś dyskrecję.

- Simon był najlepszym przyjacielem Johna, jedynym, jakiego miał. Gdyby John chciał mu opowiedzieć o sobie, zrobiliby to. Dlatego milczałam. I niech tak pozostanie. Oni się naprawdę przyjaźnili, po co więc burzyć złudzenia? Prawda bywa taka bolesna, a Simon wystarczająco dużo przeżył. Stracił przecież Melię...

- A czy ty masz jeszcze jakąś rodzinę?

- Nie. Moi rodzice nie żyją. Gdy zmarła mama, ojciec nie mógł się z tym pogodzić. Nie potrafił bez niej żyć. Myślę, że za bardzo ją kochał.

- Nie można kochać „za bardzo”.

- Można. Wiem o tym. Ale teraz nauczę się, jak tego nie robić.

Kiedy wsiadała do samochodu Charlesa, doktor Gaines uśmiechnął się i pomachał im ręką.

- Zobacz - entuzjasmował się Charles. - Aż się ślini. Chciałby ukraść mi samochód, tak bardzo mu się podoba. Wszyscy mają na niego ochotę, ale on jest mój. Mój!

- Charles, to już obsesja.

- Wcale nie - odparł, obrzucając ją uważnym spojrzeniem.

- Uważaj, bo wymażesz palcami szyby. Mam nadzieję, że wytarłaś porządnie buty? Żartowałem! - zawołał na widok jej miny.

- I to mnie wysyłają do psychoterapeuty - powiedziała Tira z westchnieniem.

- Ja żadnej terapii nie potrzebuję - oznajmił Charles. - Jeżeli mężczyzna kocha swój samochód, to znaczy, że jest zdrowy. Kiedyś ktoś nawet napisał o tym piosenkę.

Tira rozejrzała się po luksusowo wyposażonym wnętrzu auta.

- No cóż, wydaje mi się, że mogłabym go pokochać - powiedziała tonem wyznania.

- Słyszałeś, stary? - Charles poklepał czule deskę rozdzielczą. - Zrobiłeś na niej wrażenie.

- Jak tylko wejść do domu, zaraz dzwonię po psychiatrę - wyszeptwała.

- A on lubi samochody?

- Poddaję się - powiedziała Tira.

W domu czekała na nią przejęta i wystraszona pani Lester.

- To była pusta buteleczka, którą dawno powinnam wyrzucić - uspokajała ją Tira. - A z pistoletu chciałam zastrzelić mysz, która się tak panoszy w kuchni.

- Mysz?

- No tak! Przecież od tygodni usiłuję się jej pozbyć.

- Ale to wyglądało jak... - Pani Lester oblała się rumieńcem.

- Doceniam, że tak się pani o mnie troszczy, ale ja tylko się upiłam.

- Przecież pani nigdy nie pije!

- Ale ktoś mnie tak zdenerwował, że po prostu musiałam. Pani Lester spojrzała na Charlesa oskarżycielskim wzrokiem.

- To przez niego? Powinna pani go przepędzić, zanim będzie za późno.

- Sama widzisz - szepnął Charles. - Ona też zazdrości mi samochodu, dlatego chce się mnie pozbyć.

- Co on pani powiedział? - spytała gosposia podejrzliwie.

- On uważa, że pani zazdrości mu samochodu.

- Tego czerwonego? - Pani Lester parsknęła pogardliwie. - Jak mogłabym czymś takim jeździć!

- A chciałaby pani? - spytał Charles, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Pewnie, że tak. - Pani Lester roześmiała się. - Jeszcze kilka lat temu na pewno chętnie bym się nim przejechała, ale teraz jestem już na to za stara. No dobrze, a teraz muszę się panią zająć. Musi pani odpoczywać i niczym się nie przejmować. Wszystko przez to, że namówiła mnie pani na ten wyjazd. Nie było mnie i proszę, od razu coś się stało. I te okropne gazety... - Gospodyni nagle urwała i spojrzała na Tirę przestraszonym wzrokiem.

- Jakie gazety?

Pani Lester wymieniła bezradne spojrzenie z Charlesem.

- Trochę o tobie piszą - powiedział.

- O Boże, zrobiłam z siebie pośmiewisko.

- Nie, to nie tak. Ludzie tylko są ciekawi szczegółów i zdaje się, że to przysporzy popularności twojej wystawie, a także całej działalności.

- Nie potrzebuję takiej...

- Ty na pewno nie, ale dzięki temu program zyska nowych zwolenników. Może wreszcie fundację stać będzie na zakup samochodu dostawczego.

Tira uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale wcale nie było jej wesoło.

- Nie przejmuj się - pocieszał ją Charles. - Za dwa dni wydarzy się coś nowego i szybko o tobie zapomną. Po prostu dziś i jutro nie odbieraj telefonów.

- Chyba masz rację.
 - Pamiętaj o sobocie. Przyjadę po ciebie o szóstej.
 - A gdzie będziesz do tej pory? - spytała zdziwiona, że Charles umawia się z nią już teraz, jakby nie widywali się prawie codziennie.
 - W Memphis - odparł z westchnieniem. - Podróż w interesach. Niestety, muszę tam lecieć osobiście.
 - Nic mi nie będzie - zapewniła go. - Pani Lester się mną zaopiekuje.
 - Wiem. Dlatego mogę bez obaw wyjechać.
 - Samochód bierzesz ze sobą?
 - Nie. Nie pozwalają mi go zabrać do samolotu.
 - No to co z nim zrobisz?
 - Zostawię w garażu, ale Walter będzie go pilnował. Uzbroiłem go w karabin. Będę tęsknił, ale jakoś muszę wytrzymać.
 - Cieszę się, że cię mam - odparła Tira, wybuchając śmiechem.
 - Ja też. Uważaj na siebie. Będę dzwonił do ciebie, a jeśli będziesz czegoś potrzebowała...
 - Wiem, ale na pewno wszystko dobrze się ułoży. Dzięki za podwiezienie.
 - Nie ma za co. Tira patrzyła w ślad za wychodzącym przyjacielem. Teraz przyjdzie jej się zmierzyć z całym światem. Najgorsze, że będzie musiała kłamać, prawdę bowiem postanowiła zachować wyłącznie dla siebie.
- Trudno, jakoś to przeżyje. Przecież mogło być jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tydzień minął powoli i spokojnie. Zbliżał się termin sobotniego balu, który zapewne będzie huczny, gdyż organizowało go małżeństwo Carlisle, znane ze swej hojności dla miejscowego szpitala. Tira lubiła ich przyjęcia, urządzone w wielkiej posiadłości na skraju miasta, otoczonej pięknym ogrodem i stawem.

Wiedziała, że Simon również tam będzie - zawsze bywał na tych balach. Czowała lekki niepokój na myśl, że z nim się spotka. Zresztą nie tylko tego się obawiała. Jak na jej widok zareagują ludzie? Przecież po wypadku aż huczało od plotek na jej temat...

Uznała, że najlepiej będzie pokazać się z podniesionym czołem i w pełnej gali. Wybrała elegancką, czarną suknię ze spódnicą z aksamitu i koronkową, obcisłą górą, która podkreślała jej nienaganną figurę. Włosy upięła wysoko, dzięki czemu wyeksponowała piękne kolczyki i

diamentowy naszyjnik. Wyglądała naprawdę elegancko, a jej uroda zdawała się rozkwitać pełnym blaskiem. Charles aż zaniemówił z podziwu, gdy ją ujrzał.

On też wyglądał świetnie w smokingu i białej koszuli.

- Dobrana z nas para - powiedział, zerkając w lustro. - Szkoda, że tylko na pozór.

- Pamiętaj, że musimy w dobrej formie przetrwać ten wieczór.

- Pod warunkiem, że sobie nieźle popijemy. O, przepraszam - powiedział, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Głupstwa plotę.

- No i mam za swoje! Abstynentowi wystarczy raz się upić, by na całe życie miał zaszarganą opinię, a prawdziwym pijakom, jak tobie na przykład, nic nie jest w stanie zaszkodzić. Ale mówiąc poważnie, jestem w dobrej formie i wytrzymam wszystko, tylko błagam, nie zostawiaj mnie samej z Simonem, dobrze?

- Jasne! Wiem, co mam robić. Tira uśmiechnęła się do niego i pomyślała, że przyjaciele to świetny wynalazek. I że Charles jest najlepszym na to dowodem.

Im jednak było bliżej do posiadłości Carlisle'ów, tym Tira stawała się bardziej nerwowa.

- Musisz zachować spokój - powiedział Charles. - Nikt już nie pamięta o twoim wyczynie, na tapecie jest nowy skandal.

- Jaki? Nic nie słyszałam. A skąd ty o tym wiesz? Przecież nie było cię w mieście.

- Wracalem z Memphis razem z zastępcą gubernatora. Chodzi o to, że prokurator stanowy wykorzystał swoje wpływy, by zwolniono z aresztu jego przyjaciela, podejrzanego o napad z bronią w ręku. No i nasz niewinnie posądzony prosto z celi popędził do swojej byłej żony i zastrzelił ją, bo zeznawała przeciwko niemu. Teraz drań oczywiście znowu siedzi, a litościwy prokurator będzie musiał pożegnać się z posadą.

- O Boże! - jęknęła Tira. - Skąd on mógł jednak wiedzieć, że tamten zrobi coś takiego?

- Nie mógł i oficjalnie niczego nie można mu zarzucić, bo działał zgodnie z prawem, ale po prostu się podłożył. Opozycja podniosła taki wrzask, że prokuratorowi nic już nie pomoże.

- Szkoda go, bo był naprawdę dobry. Może uda mu się jakoś wymigać. Często tak się dzieje.

- Nie tym razem. Ponieważ był taki dobry, narobił sobie zbyt wielu wrogów.

Pomyślała, że z Simonem było podobnie. Gdy był prokuratorem, wielu ludzi znienawidziło go za nieprzekupność i bezkompromisową walkę o przestrzeganie prawa. Tyle że on potrafił skierować wymierzoną w siebie broń przeciwko tym, którzy ją trzymali. Byle skandal nie pozbawiłby go stanowiska.

Zacisnęła zęby. Dlaczego wszystko kojarzy się jej z Simonem? Może zrobiła błąd, że

wybrała się na to przyjęcie, ale z drugiej strony, gdyby została w domu, dałaby jeszcze więcej powodów do plotek. Jedno z brukowych czasopism napisało, że próbowała odebrać sobie życie z powodu nieszczęśliwej miłości do Simona Harta, byłego prokuratora stanowego. Tak się dziwnie składało, że właścicielem szmatławca był krewny Jill Sinclair - kobiety, z którą ostatnio widywano Simona. Wszystko więc było jasne.

Tira wzdrygnęła się, kiedy uświadomiła sobie, że Simon też to musiał czytać. No cóż, kolejne upokorzenie, ale z Charlesem przy boku przeżyje i to. On też na pewno jest zdenerwowany, chociaż nie daje tego po sobie poznać.

Podjechali do głównego wejścia i zbliżył się do nich ktoś z obsługi, żeby odprowadzić samochód. Charles stanął wobec dramatycznego wyboru: pozostawić Tirę na chwilę samą i pojechać na parking, czy też warować przy niej i pozwolić, by ktoś obcy zasiadł za kierownicą jego auta. Widząc bolesną walkę malującą się na twarzy przyjaciela, nieco rozbawiona Tira szepnęła:

- Jedź. Poczekam na schodach.

- Kocham cię. Niewiele jest takich subtelnych kobiet jak ty. Dziękuję, synu - zwrócił się do parkingowego. - Sam poprowadzę.

- To największa miłość jego życia - powiedziała Tira ze śmiechem do zdziwionego pracownika. - A na miłość nie ma mocnych.

W chwilę potem, gdy Charles odjechał, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności przy schodach pojawił się Simon ze swoją towarzyszką. Serce Tiry zabiło mocniej, gdyż wyglądał wspaniale, a dzięki protezie jego kalectwo stało się zupełnie niewidoczne. Zastanawiała się, jak często ostatnio ją nosi. Zaraz po wypadku za żadne skarby nie chciał się zgodzić na coś takiego.

Towarzyszącą mu osobą była oczywiście Jill Sinclair, osoba znana w miejscowym towarzystwie - dwa razy rozwiedziona, bogata i ekstrawagancka. Miała krótkie, ciemne włosy i zgrabną figurę. Ubrana była w czerwoną, bardzo obcisłą suknię, która sprawiała wrażenie, jakby namalowano ją farbą wprost na ciele tej kobiety. Simon uśmiechnął się do Jill, wziął ją pod rękę i poprowadził w górę schodów.

Zobaczył Tire dopiero w ostatniej chwili i, bardzo zaskoczony, na moment się zatrzymał. Ona zaś uczyniła wszystko, by z jej twarzy nie można było odczytać uczuć, jakie nią miały: zawiedzionej miłości, wstydu i zażenowania. Zdawkowo uśmiechnęła się i skinęła głową, a potem odwróciła się w stronę nadchodzącego Charlesa, który zjawił się w samą porę.

- Jaka odważna - powiedziała Jill niby do Simona, ale na tyle głośno, by jej słowa dotarły do innych osób, a przede wszystkim do Tiry. - Ja nie potrafiłabym przyjść na bal po takim upokorzeniu, kiedy wszyscy wiedzą, że ty...

Jill i Simon odeszli, a Tira stała bez ruchu, bojąc się podnieść wzrok, by nie natknąć się na spojrzenia innych ludzi. Drżała, a twarz jej płonęła. Nigdy nie przyjaźniła się z Jill, to prawda, ale teraz tamta świadomie i celowo zadawała jej ból. Nie wystarczyło jej, że była z Simonem, ale pragnęła do końca pognać i upokorzyć rywalkę.

Charles pospiesznie wbiegł po schodach i wziął ją za rękę.

- Przepraszam! Tak mi przykro - powiedział i spontanicznie uściśnął Tirę.

Domyśliła się, o co chodzi, i rozejrzała wokoło. Przyrodni brat Charlesa i jego żona podchodzili właśnie do wejścia.

- Gene, cieszę się, że cię widzę - powiedział Charles i podał bratu rękę.

Gene był wysoki, postawny, o surowym wyrazie twarzy i lekko przeredzonych, siwych włosach. Towarzysząca mu kobieta - niewysoka, bardzo ładna i zgrabna - miała chyba najsmutniejsze oczy na świecie.

- Witaj, Nessa - odezwał się znów Charles, zwracając się do bratowej z uprzejmym uśmiechem.

- Dzień dobry - odpowiedziała cichym głosem. - Wspaniałe przyjęcie, prawda? Myślę, że dyrekcja szpitala będzie zadowolona ze zbiórki. Przyszło naprawdę dużo gości, a każda para płaci po pięćset dolarów.

- Tak. - Tira uśmiechnęła się. - Wystarczy na dwa nowe samochody dostawcze i zatrudnienie dodatkowej pielęgniarki.

- I to wszystko dla hołoty, która nie płaci nawet centa na swoje leczenie - powiedział Gene Marlowe, a twarz poczerwieniała mu ze złości.

Wszyscy obecni popatrzyli na niego w zdumieniu.

- Dobrze chociaż, że będę tu miał z kim pogadać o interesach - dodał brat Charlesa. - Państwo wybaczą. Nessa, co tak stoisz? Idziemy!

Nessa zacisnęła zęby i posłusznie podążyła za mężem, który brutalnie chwycił ją za ramię. Tira zacisnęła palce na dłoni Charlesa, powstrzymując go przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- Umieram z głodu - powiedziała szybko, a Nessa odwróciła się na moment i spojrzała na nią wzrokiem, w którym malowała się ulga. - Chodźmy coś zjeść.

Charles wciąż się wahał.

- Niech go jasna cholera - powiedział wreszcie, a Tira znów uściśnęła jego dłoń.

- Idźmy stąd, zanim narobisz jej jeszcze większych kłopotów - szepnęła.

- Dlaczego ona za niego wyszła? - jęknął Charles. - Powiedz mi, dlaczego?

- Nie wiem i teraz to jest nieważne. Chodźmy. Nie puściła jego dłoni, dopóki nie

znaleźli się przy długim stole, nakrytym elegancką zastawą, wśród której Tira zauważyła kieliszki do szampana.

- Oby tylko koszty nie przekroczyły tego, co uda nam się zebrać - powiedziała cicho, nieco zaniepokojona. - Szampan, kawior...

- Taki gatunek szampana przywozi się z hurtowni w plastikowych kontenerach - pocieszył ją Charles.

Tira nie wytrzymała i musiała się roześmiać, a wtedy zobaczyła Simona, który patrzył na nią z drugiego końca sali. Jego wzrok był jakiś dziwny, inny niż dawniej, więc uznała, że obwinia ją o to, iż z powodu jej nieszczęsnej próby samobójczej jego nazwisko znalazło się w brukowej prasie.

Odwróciła się do stołu i więcej nie spojrzała w tamtym kierunku.

Charles na parkiecie czuł się jak w swoim żywiole, a walca tańczył wprost bosko. Wraz z Tirą nie opuścili prawie żadnego kawałka i wzbudzali podziw harmonią ruchów i różnorodnością tanecznych figur. Jednak Tira wciąż słyszała za sobą jakieś szepty, prawdopodobnie komentujące jej desperacki krok. Początkowo bardzo ją to deprymowało, jednak z czasem przestała zwracać uwagę na plotkarzy.

- Jak to jest, kiedy się tańczy z kobietą upadłą? - szepnęła Charlesowi na ucho, kiedy postanowili znów udać się do bufetu.

- Tylko kobiety upadłe są interesujące - odpowiedział i uśmiechnął się do niej. Nagle uśmiech Charlesa zbladł i Tira podążyła oczami za jego wzrokiem. W drzwiach widać było jego brata i Nessę, najwyraźniej udających się już do domu. Nessa wyglądała tak, jakby przed chwilą płakała.

- Nie, nie możesz! - powiedziała Tira, łapiąc Charlesa za ramię, gdy chciał za nimi pobiec.

- Ona musi od niego odejść.

- To powinna być wyłącznie jej decyzja. Charles popatrzył na Tirę wzrokiem pełnym bólu.

- Problem w tym, że ona nie jest taka jak ty - niezależna, odważna, samodzielna. Zawsze była nieśmiała i uległa. Dlatego nie potrafi się przeciwstawić mężowi.

- A ty chcesz ją chronić i opiekować się nią. Rozumiem to. Tyle że dziś nie wolno ci tego robić. Tak mi przykro.

- Wiem. - Charles zacisnął dłonie w pięści. - Ale jeszcze nadejdzie taki dzień.

- Tak, nadejdzie.

- O, Charles! Świetnie wyglądasz - rozległ się za nimi wysoki, przenikliwy głos.

Oboje obrócili się na pięcie i zobaczyli Jill Sinclair.

- Jak się bawisz? - zapytała.

- Wspaniale - wycedził Charles przez zaciśnięte zęby. - A ty?

- Och, w towarzystwie Simona zawsze jest rewelacyjnie - odpowiedziała, patrząc teraz na Tirę. - Ostatnio często razem gdzieś bywaliśmy. Chyba codziennie była jakaś impreza dobroczynna, jak zwykle o tej porze roku. Witaj, Tiro. Jak się masz? Doszłaś już do siebie po tym wszystkim? Tak się wystraszyłam, kiedy usłyszałam, że byłaś o krok od śmierci.

Z pełnymi troski słowami klócił się triumfujący ton i złośliwy wyraz twarzy. Jill mówiła głośno, a najbliższej stojące osoby przysłuchiwały się tej rozmowie z zaciekawieniem.

- Szkoda, że gazety zrobiły wokół tego tyle hałasu - ciągnęła dalej Jill. - To znaczy, chodzi mi o to, że to musiało być dla ciebie bardzo upokarzające, prawda? I te wszystkie plotki, że chciałaś umrzeć, bo Simon cię nie kocha... Wiesz, w sumie to on wyszedł na tym najgorzej, bo zrobili z niego człowieka bez serca, a przecież to nie jego wina, że nie odwzajemnia twojej miłości. Jak można kogoś o to oskarżać? Ludzie potrafią być naprawdę podli.

Tira była zbyt zdenerwowana i oszołomiona, żeby odpowiedzieć, ale wyręczył ją Charles, który bez chwili namysłu powiedział ostrym tonem:

- Posłuchaj, wstrętna jędzo! Jak cię swędzą szpony i musisz sobie ulżyć, rób to gdzie indziej. Ale od nas trzymaj się z daleka, dobrze ci radzę. Wsiadaj na miotłę i odlatuj!

I

Zdumiona i przestraszona Jill zamilkła, natomiast Charles wziął Tirę pod rękę i wyprowadził ją z sali. Była zbyt wstrząśnięta, by protestować, chociaż miała nieodpartą ochotę chwycić wazę z ponczem i wsadzić ją Jill na głowę. Tyle że to mogłoby popsuć wyniki finansowe balu i tylko dzięki temu pani Sinclair ocaliła swoją fryzurę.

Gdy wychodzili na zewnątrz, natknęli się na Simona. Ten zauważył nienaturalnie bladą twarz Tiry i chciał coś powiedzieć, ale Charles nie dał mu dojść do słowa.

- Możesz sobie darować! Twoja przyjaciółka powiedziała już wszystko.

Poprowadził dalej Tirę, która nie była w stanie spojrzeć na Simona. Zresztą i tak ledwie zdawała sobie sprawę, dokąd idzie. Po co tu w ogóle przychodziła? Jak mogła się łudzić, że uda się jej spokojnie spędzić ten wieczór?

- Co za wiedźma! - mówił Charles, kiedy schodzili już po zewnętrznych schodach.

- Wszędzie są takie - odparła Tira. - Uwielbiają kopać leżącego.

Akurat nie było widać nikogo z obsługi parkingu i Charles musiał sam pójść po samochód.

- Zostaniesz tutaj? - zapytał z troską w głosie. - Tak będzie szybciej.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. - Teraz, kiedy jestem na dworze, nic mi nie będzie.

Charles przyjrzał jej się uważnie, a potem szybkim krokiem udał się na parking.

Noc była chłodna, więc Tira szczerzej otuliła się etolą. Kiedy indziej nie pozwoliłaby Jill tak sobą pomiatać i pokazałaby jej, gdzie raki zimują. Jednak dzisiaj nie miała jeszcze dość siły, by walczyć. Charles to rozumiał i dlatego tak pośpiesznie wyprowadził ją z balu.

Usłyszała za sobą kroki i od razu wiedziała, że to Simon. Zamknęła oczy. Dlaczego wciąż musi go spotykać? Czy nie mógłby się łaskawie przenieść gdzieś daleko, najlepiej na drugi koniec świata?

- Co ona ci powiedziała? - zapytał wprost. Tira nie odwróciła się i milczała. Nie potrafiłaby spojrzeć mu w oczy. Wciąż czuła się tak strasznie upokorzona. Przez tyle lat udawało jej się ukryć przed Simonem swoją miłość, a teraz on dowiedział się o wszystkim. Po prostu umierała ze wstydu. On wie, wszyscy wiedzą. A ona wciąż go kocha.

- Pytałem, co ci powiedziała - powtórzył Simon i stanął przed nią.

Tira podniosła głowę, ale wciąż starała się omijać jego oczy.

- Wracaj do niej i sam zapytaj - odparła słabym, drżącym głosem.

- To do ciebie niepodobne - powiedział Simon. - Nigdy nie uciekałaś, nie poddawałaś się, niezależnie od tego, co ludzie mówili. Zawsze walczyłaś do upadłego. Co się stało?

Wreszcie Tira popatrzyła mu w twarz i natychmiast poczuła bolesny skurcz w sercu. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby nie wybuchnąć szlochem.

- Nie obchodzi mnie, co kto o mnie myśli, a już zwłaszcza twoja panienka. Tak, do tej pory zawsze walczyłam, ale jestem już zmęczona. Jestem zmęczona tym wszystkim.

- Chyba nie przejmujesz się tym, co piszą brukowce? - spytał cicho i zaskakująco łagodnie.

- A dlaczego mam się nie przejmować? Przecież oni wierzą w każde słowo, jakie napisano na mój temat - odparła gorzko, wskazując głową w kierunku sali balowej.

- Ale ja znam cię lepiej niż ci ludzie - powiedział z powagą.

- Tak myślisz? Otóż mylisz się. Nic o mnie nie wiesz i nigdy nie wiedziałeś.

- Myślałem, że dobrze ciebie znam. A przynajmniej do chwili twego rozstania z Johnem.

- A potem on zginął. Tak, tak, wiem. Przecież jestem winna jego śmierci.

- Wcale tak nie twierdzę - odparł Simon poważnie, z twarzą ściągniętą bolesnym skurczem.

- Nie musisz, już to od ciebie kiedyś słyszałam. Nie pamiętasz? - W jej głosie

zabrzmiała gorzka drwina. - Wiedz jedno, że gdyby sytuacja była odwrotna i chodziłoby o Melię, nigdy bym cię o coś takiego nie oskarżyła. Ale ja się w tobie zakochałam i stąd wszystkie nieszczęścia. Nie udawaj, że o tym nie czytałeś. Wszystkie gazety o tym trąbiły. I to była prawda, dlaczego mam się tego wypierać? Miałam obsesję na twoim punkcie, pragnęłam być blisko ciebie i nieważne było, że ty jedynie mnie tolerowałeś. Zadowalałam się tymi okruchami przyjaźni, które mi łaskawie rzucałeś. I tak mogło to trwać w nieskończoność... - Głos jej się załamał. - Byłam aż taka głupia! Dopiero teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, zrozumiałam, jaka ze mnie idiotka.

- Tiro...

Odsunęła się gwałtownie, jakby bojąc się, że Simon jej dotknie.

- Jill powiedziała mi, że jesteś na mnie wściekły za plotki, jakie powstały, i za to, że zaszargałam ci opinię. Liczę, że mnie za to do końca znienawidzisz i wreszcie dasz mi święty spokój.

Idź sobie do diabła, a najlepiej do Jill. Świetnie do siebie pasujecie. Jesteście tak samo ograniczeni i lubujecie się w kopaniu leżących.

- A ciebie, oczywiście, nic nie obchodzi, że przyszedłem tutaj z inną kobietą, prawda?

Tira zbladła jak ściana, ale udało się jej zachować kamienny spokój. Simon rozmyślnie ją dobijał, ale ona nawet okiem nie mrugnie. Nie da temu sadyście najmniejszej krzty satysfakcji.

- Rzeczywiście, już mnie to nie interesuje. Wreszcie przejrzałam na oczy i zrozumiałam, że szkoda marnować życie. Jestem ci wdzięczna, że powiedziałeś mi, co o mnie naprawdę myślisz. Dzięki temu nareszcie jestem wolna - skłamała. - To najszczęśliwszy moment w moim życiu!

Odwróciła się i ruszyła w stronę podjazdu, gdzie ukazał się samochód Charlesa. Kiedy do niego wsiadała, zerknęła w stronę wejścia i zobaczyła, że Simon pospiesznie wchodzi do domu. Z jego postawy, sposobu trzymania głowy i ramion domyśliła się, że jest wściekły. To świetnie! Niech się wścieka. Ona na pewno nie będzie się tym przejmować.

- Spokojnie - odezwał się Charles. - Jeszcze coś stłuczesz.

- Wiem teraz, jak ty się czułeś przed godziną - powiedziała, opierając z westchnieniem głowę o szybę. - Niech go cholera! I ją też!

- Co się wydarzyło?

- Najpierw Simon chciał wiedzieć, co Jill mi powiedziała, a potem jeszcze raz wypowiedział się na mój temat. Tym razem nie dałam poznać po sobie, jak bardzo mnie to zabolowało.

- Ale z niego idiota!

- Jill też nie grzeszy rozumem. I tak samo Gene i inni. Może my również?

Potem jechali w milczeniu aż do domu Tiry. Kiedy Charles zatrzymał samochód i obrócił się ku niej, uderzyła go nienaturalna bladość przyjaciółki i malujące się na jej twarzy cierpienie.

- Idź się przebrać i spakuj walizkę - powiedział nagle.

- Po co?

- Pojedziemy na weekend do Nassau. Mój przyjaciel ma tam willę, a jego żona nudzi się i tęskni za towarzystwem. Będziemy opalali się na plaży i pójdziemy do kasyna. Co ty na to?

- Naprawdę? - Twarz Tiry opromienił radosny uśmiech.

- Oczywiście. Należy nam się trochę odpoczynku. To brzmiało szalenie zachęcająco. I było Tirze bardzo, ale to bardzo potrzebne.

- Zgoda - odpowiedziała z zapalem.

- No to świetnie! Tylko się nie grzeb. Ja skoczę do domu po rzeczy i wykonam parę telefonów. Wrócę po ciebie za godzinę.

- Będę gotowa - zapewniła z entuzjazmem.

Charles miał rację. Krótki wypoczynek spowodował, że w Tirę wstąpiło nowe życie. Zwiedzili Nassau, oglądali statki w porcie, spacerowali po plaży. Tirę rozpieszczała radość i energia. Przedłużyli pobyt do pięciu dni, bo tak bardzo nie chcieli im się wracać. Jill i Simon oddalili się, stali się fragmentem coraz mniej ważnej przeszłości.

Dopiero kiedy wracali taksówką z lotniska, Charles wyznał, że tęsknił za swoim samochodem. Odwiózł Tirę i z niecierpliwością czekał, aż wysiądzie.

- Zadzwonię do ciebie jutro - obiecał. - Chcesz zagrać w sobotę w tenisa?

- Chętnie, dziękuję. Dziękuję ci za wszystko.

- Było naprawdę fantastycznie, to ja ci dziękuję. No to na razie.

Tira patrzyła w ślad za odjeżdżającą taksówką, a potem powoli weszła do domu. Nie znosiła takich powrotów. Nie czekał na nią nikt oprócz pani Lester. Pusty dom, praca... i nic więcej.

Gospodyni powitała ją serdecznie.

- Jak się cieszę, że pani wróciła! Telefon wprost się urywał, bo tyle osób chciało z panią rozmawiać. Dopiero wczoraj jakoś ucichło, może przez tę strzelaninę. Ludzie znaleźli inny temat do gadania.

- Jaką strzelaninę?

- W sądzie. Pamięta pani tego człowieka, który wyszedł na wolność za poręczeniem

prokuratora generalnego? Sąd postanowił go znów aresztować, a wtedy on rzucił się na sędziego i o mało go nie zabił. A potem wyrwał broń strażnikowi! Musieli go zastrzelić! I to wszystko było w telewizji, niemal na żywo!

- Boże drogi! - Tira też była wstrząśnięta.

- Pan Hart też był wtedy w sądzie, czekał na rozpoczęcie kolejnej sprawy, w której brał udział.

- Simon? Czy... czy coś mu się stało? Jest ranny?

- Nie. Ale on właśnie, razem z innymi, odciągał tego człowieka od sędziego. I podobno tamten trzymał go na muszce, kiedy szeryf go zastrzelił. Pan Hart był naprawdę w wielkim niebezpieczeństwie, ale kiedy potem mówił o tym w telewizji, niczego nie było po nim widać. Był bardzo spokojny.

Tira przysiadła na brzegu kanapy i w duchu podziękowała Bogu za to, że Simon nie zginął. Wolałaby, żeby było między nimi tak jak dawniej. Wtedy mogłaby do niego zatelefonować i powiedzieć, jak bardzo się cieszy. Teraz jednak wyrósł między nimi mur.

- Pan Hart dziwił się, dlaczego pani nie skontaktowała się z nim po tym wszystkim - powiedziała pani Lester ostrożnie.

- A dzwonił do mnie?

- Chciał się dowiedzieć, czy pani słyszała o tej strzelaninie i jak pani zareagowała. Powiedziałam, że pani nie ma w mieście, a on wtedy zapytał, dokąd pani pojechała i jakoś tak wyszło, że też mu powiedziałam. Mam nadzieję, że nie zrobiłam niczego niewłaściwego.

Simon pomyśli, że Tira wyjechała z kochankiem. No to co? Jeśli wierzył, że ona jest zimna i bez serca, to niech sobie wierzy i w kochanka. I tak nie może być już gorzej.

- Nie, oczywiście, że nic się nie stało - odparła spokojnie. - A w Nassau było cudownie.

- Cieszę się, że pani wypoczęła. Pan Percy to taki miły człowiek.

- Bardzo miły - zgodziła się Tira, wstając. - Jestem skonana i położę się na trochę. Niech pani nie szykuje teraz niczego do jedzenia.

- Oczywiście, musi pani wypocząć. Wystarczy powiedzieć, a zaraz zrobię kawę i kanapki.

Tira nie była pewna, czy kiedykolwiek będzie miała na nie ochotę, bo kiedy szła do swojej sypialni, przytłaczało ją przemożne uczucie pustki i wewnętrznego chłodu. Na dodatek było jej niedobrze.

Z tego wniosła, że naprawdę wróciła do domu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Tira zaczęła przewozić swoje rzeźby do galerii Boba Hendersona, padał deszcz, ale była taka szczęśliwa z powodu wystawy, że nawet nie zwróciła uwagi na fatalną pogodę.

Do Bożego Narodzenia pozostały już tylko dwa tygodnie, a ona była, jak zwykle, samotna. Dawniej pod byle pretekstem zatelefonowałyby do Simona i umówiła się z nim na obiad, albo „przypadkiem” spotkałaby go na jakiejś konferencji i w ten sposób pocieszyłaby swe biedne serce. Teraz pozostał jej tylko Charles. Oczywiście bardzo go lubiła, byli prawdziwymi przyjaciółmi, ale...

Ostrożnie wniosła na zaplecze ostatnie pudło. Lillian Day, kierowniczka galerii, przytrzymała jej drzwi.

- No, wreszcie koniec - powiedziała z uśmiechem Tira. Rozejrzała się wokół i potrzęsnęła z niedowierzaniem głową. - Nie mogę uwierzyć, że sama to wszystko zrobiłam.

- Wykonałaś kawał dobrej roboty - odrzekła Lillian. Pochyliła się, otworzyła jedno z pudeł i zaczęła wyjmować z niego kolejne rzeźby. - To też chcesz sprzedać? - spytała, trzymając w dłoniach popiersie Simona.

- Tak, chcę się tego pozbyć - odparła Tira sucho. Lillian przezornie zmieniła temat.

- Sprawdziłam katalogi. Wszystkie są bez zarzutu i wyglądają pięknie. Bufet będzie przybrany w motywy bożonarodzeniowe. Przyjdą też ludzie z prasy...

Tira wzdrygnęła się na myśl o stawieniu czoła dziennikarzom.

- Nie bój się - powiedziała Lillian, widząc jej niepokój. - Wszystko jest ustalone i nikt nie zada ci żadnego krępującego pytania. W przeciwnym wypadku będą mieli ze mną do czynienia.

- Co ja bym zrobiła bez ciebie? - Tira wyraźnie się rozluźniła.

- Trzymaj się tylko planu, a wszystko pójdzie dobrze!

Tira nie wiedziała, czy Simon ma jakieś plany związane z tą wystawą. Jako wspólnik Boba Hendersona z łatwością mógł sprawić, by pokaz się nie odbył.

Nie rozmawiali ze sobą od pamiętnego balu, ale być może pani Lester przekonująco wytłumaczyła mu, że Tira nic nie wiedziała o zajściu w sądzie. Faktem jest, że nie zadzwoniła, żeby dowiedzieć się o jego zdrowie, ale to nie znaczy, że się tym nie przejęła. Wręcz przeciwnie, z przerażeniem myślała, jak niewiele brakowało, by doszło do tragedii. Mimo najszczerzych chęci Tira wciąż była śmiertelnie zakochana, nauczyła się tylko lepiej maskować swoje uczucia.

Do wernisazu było coraz bliżej, a stawała się coraz bardziej nerwowa. Dobrze chociaż, że Charles będzie przy niej przez cały czas. A poza tym coraz bardziej utwierdzała się w

przekonaniu, że Simon się jednak na wernisażu nie pojawi. Gdyby zrobił inaczej, dałby dziennikarzom broń do ręki, a tego na pewno wołał uniknąć.

Niestety, widocznie wisiało nad nią jakieś fatum, bo tuż przed otwarciem zadzwonił zdenerwowany Charles.

- Tiro, jest mi ogromnie przykro, ale nie mogę przyjechać. Gene miał atak serca - wyjaśnił krótko.

- O Boże, Charles... Tak mi przykro.

- Wiesz, niezbyt się kochaliśmy, ale nie ma nikogo, kto by się wszystkim zajął. Nessa jest w szoku. Nie mogę zostawić jej samej w takim stanie.

- Oczywiście. A jak on się czuje?

- Trudno powiedzieć. W każdym razie jego stan jest już stabilny. Jadę teraz do szpitala. Nessa jest przy nim, a on, jak zwykle, daje jej niezły wycisk. Nawet w takiej sytuacji zachowuje się jak... Szkoda słów!

- Gdybym mogła ci jakoś pomóc...

- Dzięki. Szkoda, że mnie nie będzie, ale Simon na pewno się nie zjawi. W razie czego trzymaj się Lillian. Ona zawsze cię wesprze.

- Wiem - powiedziała Tira, uśmiechając się do siebie samej.

- Daj znać, jeśli coś się wydarzy.

- Oczywiście. No to na razie! Tira wpatrywała się tępym wzrokiem w milczący telefon.

W końcu wstała, gdyż do otwarcia wystawy zostało niewiele czasu. Spojrzała w lustro. Dobrze chociaż, że wyglądała bez zarzutu. Czarna, elegancka suknia do kostek, piękna biżuteria - to wszystko podkreślało jej figurę i cudowną cerę, a bujne włosy, misternie upięte, dopełniały reszty. Mimo wszystko czuła się bardziej jak wdowa niż młoda, zadowolona z życia kobieta. Poza tym nie udzielała się towarzysko od czasu pamiętnego balu i obawiała się reakcji ludzi na jej widok.

Wsiadając do samochodu, pomyślała z ulgą, że przynajmniej nie musi martwić się obecnością na wystawie Simona.

Galeria była wypełniona gośćmi po brzegi. Tira podejrzewała, że część z widzów przysła z ciekawości, gdyż ceny rzeźb były dość wysokie i wielu z obecnych nie było na nie stać. W każdym razie ze wszystkimi witała się tak samo serdecznie. Gdy wreszcie rozluźniła się i pomyślała, że to jednak cudowny wieczór, wśród gości ujrzała Simona i Jill.

- O Boże - szepnęła do Lillian. - Że też musiał tu przyjść.

- Nie okazuj mu, że się denerwujesz - odparła Lillian. - Jesteś piękna, a rzeźby są wspaniałe. Śmiało, dasz sobie radę!

- Naprawdę tak uważasz? Dzięki. Uśmiechnęła się promiennie i spojrzała na nadchodzących.

- Sporo ludzi - odezwał się Simon, przyglądając się jej z niezwykle zainteresowaniem.

- Większość z nich pewnie nawet nie wie, jaki jest temat tej wystawy - odparła niedbale i wypila łyk szampana, starając się ukryć, jak bardzo trzęsą się jej dłonie.

- To miło, że pan się pojawił - dodała Lillian.

- Jakże bym mógł opuścić taki wernisaż. W końcu jestem współwłaścicielem galerii. A co się stało z twoim uroczym przyjacielem, Tiro?

- Nie mógł przyjść - odpowiedziała, wiedząc, że Simon pyta o Charlesa.

- Na najważniejsze wydarzenie w twoim życiu artystycznym?

- Jeśli już musisz wszystko wiedzieć, to ci powiem. Jego przyrodni brat miał atak serca i Charles jest teraz w szpitalu.

- O, to przykre, że nie możesz mu towarzyszyć, tylko musisz sterczeć tutaj - stwierdził Simon złośliwie.

Tira już chciała coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie do rozmowy wtrąciła się Jill.

- Wstąpiliśmy tylko na chwilę, żeby rzucić okiem na twoje rzeźby - powiedziała - ale teraz spieszmy się do opery.

Tira zamarła. Uwielbiała operę i kiedyś bywali z Simonem na wszystkich premierach. Zawsze z podnieceniem czekała na otwarcie sezonu koncertowego.

- Nie chodzisz teraz do opery? - spytał Simon.

- Nie mam na to czasu - odparła, wzruszając ramionami.

- Zauważyłem, że nawet nie masz czasu, żeby zadzwonić do znajomych i zapytać, czy wszystko u nich w porządku.

- Wiesz, że nie było mnie wtedy w mieście.

- A bawiłaś się dobrze?

- Tak. Z Charlesem zawsze jest wspaniale. Twarz Simona przybrała niebezpieczny kolor purpury, więc Lillian uznała, że powinna zapobiec starciu.

- Mieliście czas, żeby się trochę rozejrzeć? - spytała.

- Tak, chyba widzieliśmy już wszystko - odezwała się Jill. - Nawet to popiersie Simona. Zdziwiło mnie, że chcesz je sprzedać. Ja na twoim miejscu nie rozstałabym się z taką, bądź co bądź, pamiątką, ale z drugiej strony pewnie teraz nie kojarzy ci się zbyt dobrze...

Tira, nie zastanawiając się, podniosła rękę, w której trzymała kieliszek z szampanem, ale zanim zdążyła nim się posłużyć, Simon chwycił ją za nadgarstek.

- Żadnej bijatyki - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jill, zaczekaj na mnie przy wyjściu, dobrze?

- Jak sobie życzysz, kochanie. Ale przyznaj, że nasza gwiazda wygląda dziś wyjątkowo groźnie, prawda? - zakpiła Jill i natychmiast zniknęła.

- Panuj nad sobą - powiedział cicho Simon. - Nie widzisz, że ci wszyscy reporterzy czyhają tylko na taką gratkę?

- Nic mnie to nie obchodzi - wypaliła z wściekłością Tira. - I trzymaj Jill ode mnie z daleka, bo następnym razem roztrzaskam jej wazę na głowie.

- Nareszcie cię poznaję - powiedział, puszczając jej rękę. Tira zobaczyła, że Lillian oddaliła się dyskretnie.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytała z gniewem.

- Wiesz, ile byłoby plotek, gdybym się nie pojawił? Nikomu nie wyszłoby to na dobre.

- W takim razie spełniłeś swój obowiązek. Zabieraj więc stąd tę wiedźmę i idź.

- Jesteś zazdrosna? - spytał znaczącym tonem.

- Też cię kiedyś o to pytałam i nie udawaj, że nie pamiętasz, co mi odpowiedziałeś. A teraz skieruj te słowa do siebie.

Simon przez chwilę przyglądał jej się bez słowa.

- Schudłaś - odezwał się w końcu. - W tej czarnej sukni wyglądasz jak wdowa. Dlaczego teraz tak się ubierasz?

- Sam mi mówiłeś, że powinnam być w żałobie po mężu. Więc o co ci chodzi? Będę nosić żałobę po Johnie aż do śmierci i nigdy nie spojrzę na innego mężczyznę. Jesteś zadowolony?

- Tiro...

- Tiro, jak się masz? - rozległ się wesoły głos. Oboje odwrócili się, a Harry Beck, były teść Tiry, już brał ją w ramiona i szykował się do serdecznego pocałunku.

- Zawsze wiedziałem, że masz talent, ale to, co zobaczyłem, jest zachwycające. Jesteś wspaniałą artystką.

Simon nie rozumiał, jak ojciec Johna może być taki miły i serdeczny w stosunku do kobiety, która przecież ponosiła odpowiedzialność za śmierć jego syna!

- Cieszę się, że cię widzę, Simonie - zwrócił się do niego Harry. - Tak dawno się nie widzieliśmy.

- Simon właśnie wychodził, prawda? - wtrąciła Tira.

- Chyba ktoś do ciebie macha, Tiro - zauważył Harry Beck i wskazał na Lillian, dającą jej gwałtowne znaki.

- To Lillian. Przepraszam na chwilę. - Tira uśmiechnęła się do teścia i pospiesznie się oddaliła.

- Nareszcie wygląda trochę lepiej - powiedział Harry, patrząc w ślad za nią. - Martwiłem się o nią, zwłaszcza od czasu, kiedy wyszła ze szpitala.

- Naprawdę przejmuję się pan tym, co się z nią dzieje? - spytał Simon, nie mogąc ukryć zdumienia.

- Jak to? - Teraz Harry był zaskoczony. - Przecież Tira była żoną mojego syna. Zawsze ją lubiłem.

- Odeszła od niego po miesiącu i pozwoliła, żeby pojechał pracować na tej przeklętej platformie. Przez to zginął - przypomniał Simon sucho.

- Przecież to nie jej wina - odparł Harry, wciąż ogromnie zdumiony.

- Czyżby?

- Nie powinieneś tak mówić. To niesprawiedliwe. Sądzisz, że nie próbowała go zmienić? Widzisz, on nie wyznał jej przed ślubem prawdy, a to był wielki błąd. A ona o wszystkim dowiedziała się, kiedy już było za późno.

- Powinien jej coś wyznać? Przed ślubem? O co chodzi? Jill pomachała do niego, ale Simon nie zwrócił na to uwagi, bez reszty pochłonięty rozmową z Harrym.

- O czym za późno się dowiedziała? - powtórzył pytanie.

- Że John był homoseksualistą - odparł Harry. Simon miał wrażenie, że pulsująca krew rozsądzi jego żyły.

Patrzył na swojego rozmówcę takim wzrokiem, jakby nic do niego nie docierało.

- Nie powiedziała ci? - Harry westchnął i pokiwał głową.

- To cała Tira. Przyjaźniłeś się z moim synem, więc nie chciała, byś dowiedział się o nim przykrej prawdy, mimo że przez to zatajenie narażała się na twoją agresję. Lecz wobec waszej przyjaźni była lojalna aż do bólu. To może i głupie, ale jakże piękne. A co do Johna... gdyby tylko potrafił zaakceptować siebie. Ale on chciał być inny, „normalny”, bo myślał, że ja tego oczekuję. Nie mógł zrozumieć, że ja kocham go niezależnie od tego, jak pokieruje swoim życiem. Zresztą, to był wspaniały chłopak...

Simon bezskutecznie szukał wzrokiem Tiry wśród tłumu gości. Czuł w całym ciele przeszywający ból.

- Boże drogi! - jęknął, kiedy zrozumiał swoją pomyłkę.

- Zrozum, tak naprawdę nikt tu nie ponosi winy - powiedział Harry. - John sam tak zdecydował. Tylko czy miał jakiś wybór? Winny jestem tylko ja. Nie zauważyłem w porę, co dzieje się z moim synkiem, i nie pomogłem mu...

Simon współczuł Harry'emu, ale przede wszystkim myślał o sobie. Uświadomił sobie bowiem, jakim był głupkiem.

- Może jednak szkoda, że Tira ci o tym nie powiedziała - ciągnął ojciec Johna. - Znając ciebie, wiem, że wszystko byś zrozumiał. Niepotrzebnie ciebie chroniła. Ale ona właśnie taka jest. Czy wiesz, że ona zamierzała osłaniać również Johna? Byłaby do końca jego żoną, gdyby nie wystąpił o rozwód.

- Myślałem... myślałem, że to Tira zażądała rozwodu.

- Nie, to John się uparł i chciał to załatwić tak, że niby Tira składa pozew, ponieważ on się nad nią znęca. To było zaraz po twoim wypadku. Tira prawie nie wychodziła ze szpitala i zaczęły się plotki. John uważał, że gdyby wystąpił o rozwód, wyglądałoby to tak, jakby odkrył, że żona zdradza go z tobą. A to zniszczyłoby waszą reputację.

- Nigdy jej nie tknąłem.

- Rzecz w tym, że John też nie - stwierdził Harry gorzko. - Kiedyś wypłakiwał się u mnie, tuż przed pójściem do adwokata. Tak bardzo chciał ją kochać, ale nie potrafił. Albo może potrafił, tylko inaczej, nie w zwykły sposób.

Po twarzy Simona spływał pot. Pewnie dlatego, że w galerii było duszno i gorąco.

- Dobrze się czujesz? - spytał Harry, wyraźnie zatroskany.

- Tak, świetnie. Już chyba nigdy nie będzie dobrze się czuć. Simon jeszcze raz spojrzął w stronę Tiry, ale ona stała tyłem do niego. I natychmiast pojawiła się zaniepokojona Jill.

- Jeszcze nie wychodzimy? Kochanie, spóźnimy się do opery.

- Już idę - powiedział i spojrzął na najzacieklejszą nieprzyjaciółkę Tiry. Był z Jill tylko dlatego, by sprawić Tirze przykrość. A jak się czuł teraz? Szkoda stów...

- Jestem Jill Sinclair. Czy my się znamy? - Jill zainteresowała się Harrym.

- Idziemy. Trzymaj się, Harry.

Simon za żadne skarby nie mógł pozwolić, żeby Jill wyciągnęła cokolwiek od pana Becka. Bezwzględnie wykorzystałaby to przeciwko Tirze.

- Kto to był? - spytała Jill, wyraźnie zaciekawiona, kiedy wreszcie zmierzali do wyjścia.

- Dawny znajomy - odpowiedział krótko. - Poczekaj chwilę. Muszę jeszcze coś załatwić.

- Simon!

- To nie potrwa długo.

Znalazł jedną z pracownic zajmujących się wystawą i szepnął jej coś na ucho. Dziewczyna zdziwiła się, ale wyraziła zgodę, a Simon wrócił do Jill.

- Zobacz, prawie wszystko sprzedane - powiedziała. - Tira robi na swoich rzeźbach

majątek.

- Wszystkie pieniądze są przeznaczone na potrzeby szpitala - odparł Simon sucho.

- No cóż, stać ją na to. Przynajmniej trochę poprawi swój wizerunek.

- Wiesz, że nie o to jej chodziło.

- Kochanie, wszystko mi jedno. Brr, ale tu zimno. No tak, do Bożego Narodzenia zostały tylko dwa tygodnie. - Zerknęła na Simona z filuterną miną. - Mam nadzieję, że święta spędzimy w jakimś niezwykłym miejscu.

- Niestety, chyba będę musiał wyjechać.

- Trudno. - Jill westchnęła. - W takim razie pojedę do ciotki, do Connecticut. Uwielbiam śnieg. Tam jest tak pięknie.

Tira obserwowała ukradkiem, jak Simon i Jill wychodzą. To dobrze. Może nareszcie będzie mogła poświęcić całą uwagę wystawie. Zastanawiała się, dlaczego Lillian tak się jej przygląda. Zresztą Harry, kiedy przyszedł się pożegnać, też miał dziwną minę.

- Wspaniała wystawa, dziecinko. Rzuciłaś ich wszystkich na kolana. Tak trzymaj!

- Dziękuję, Harry. Chyba dalej będę rzeźbić. Dzięki temu... Będziemy w kontakcie?

- Oczywiście. A co u Charlesa?

- Jego przyrodni brat miał atak serca i Charlie jest teraz w szpitalu.

- To smutna wiadomość. Zawsze go lubiłem. Pozdrów go ode mnie.

- Oczywiście.

- To na razie! Uważaj na siebie.

- Ty też.

Pod koniec wieczoru Tira zaczęła odczuwać coraz większe znużenie. Wciąż nie potrafiła się otrząsnąć po rozmowie z Simonem i awanturze z Jill. A co najgorsze, cały czas widziała tych dwoje, jak w mieszkaniu Simona przytulają się i całują.

Simon nigdy jej nawet nie pocałował. Nie poznała dotyku jego dłoni. Ale za to złamał jej serce i podeptał dumę.

- Co za wynik! - entuzjasmowała się Lillian. - Sprzedaliśmy trzy czwarte twoich rzeźb, a na pozostałe również są chętni.

- To cudownie. - Tira rozpromieniła się. - To wszystko dla szpitala św. Marka.

- Będą zachwyceni. Zrobiła ostatnią rundkę po opustoszałej sali i zauważyła, że popiersie Simona również zostało oznakowane jako sprzedane.

- Kto to kupił? - spytała. - Mam nadzieję, że nie Jill Sinclair?

- Nie - zapewniła Lillian. - Nie wiem kto, ale na pewno nie Jill. Mogę sprawdzić, jeśli chcesz.

- Nieważne! Przede wszystkim chciałam się tego pozbyć. Mam po dziurki w nosie Simona Harta, w rzeźbie czy w naturze. Wiesz co, Lillian? W sumie to był udany wieczór. - I cicho szepnęła do siebie: - Jak ja się boję następnych, samotnych świąt...

Simon oglądał nocne wiadomości w telewizji, siedząc w fotelu i popijając whisky. Już drugą tego wieczoru. Zaraz po przedstawieniu rozstał się z Jill. Dzisiaj chciał być sam, bo po tym, co powiedział mu Harry Beck, miał wiele do przemyślenia.

W telewizji była informacja o wystawie Tiry. Szczególnie mocno podkreślono fakt, iż prawie wszystkie rzeźby zostały sprzedane, dzięki czemu na konto szpitala św. Marka wpłynęła bardzo pokaźna kwota.

Wstrzymał oddech, czekając na komentarz, ale tym razem nie padło ani jedno słowo nawiązujące do samobójczej próby Tiry. O Simonie też nic nie mówiono. Odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że gazety będą równie łaskawe.

Przez tyle lat pielęgnował w sobie nienawiść do Tiry. I wreszcie powiedział jej wszystko. Obrzucił błotem, nazwał morderczynią, wykpił jej uczucia. Okazał jej pogardę. Właściwie udowodnił, że Tira nie jest człowiekiem. Tylko raczej jakimś zimnym, pozbawionym duszy potworem.

Jak on mógł tak wobec niej postąpić? Tira przeżyła gehennę, wychodząc za męża za Johna, który... a przecież musiała go kochać i wiązać z nim wielkie nadzieje, jeżeli zgodziła się na małżeństwo. Nieszczęsny John... przyjaciel, który nie umiał pogodzić się z tym, że natura stworzyła go takim, a nie innym. Ale konsekwencje tego wszystkiego poniosła Tira, a jej największym wrogiem okazała się jej własna szlachetność.

A on, Simon Hart, wybitny prawnik i znawca ludzkiej psychiki, przez tyle lat miał Tirę za nic, uważał ją za zimną, egoistyczną, cyniczną modliszkę. Dlatego utrzymywał ten swój, pozał się Boże, dystans. A przecież cały czas serce podpowiadało mu zupełnie inne wyjście. Ale on nie chciał słuchać głosu swego serca. I dlatego kobietę, którą kochał i która kochała jego, najpierw pozbawił tak potrzebnej jej opieki i czułości, a potem zniszczył okrutnym słowem.

Przymknął oczy, myśląc o tym, że nigdy nie będzie już tak jak dawniej. Nie po czymś takim. Nieważne, jak gorąco by Tirę przeproszał, pewnych słów nie da się cofnąć. Powiedział za dużo. Tira kochała go, a on ją zniszczył. Tak po prostu, bez powodu.

Spojrzał na choinkę, którą przystroiła zapobiegliwa gospodyni, i z niechęcią pomyślał o zbliżającym się Bożym Narodzeniu, które znów spędzi samotnie. Jest sam jak palec. A Tira przynajmniej ma Charlesa Percy'ego...

Dlaczego oni się jeszcze nie pobrali? Przez te wszystkie lata byli wręcz nierozłączni. No

cóż, kiedy Simon odwrócił się od Tiry, został jej jedynie Charles.

Odstawił szklankę i wstał z fotela. Czuł się staro. Miał prawie czterdzieści lat i nic, czym mógłby się cieszyć. Nie miał rodziny, żony ani dzieci. Melia odeszła, ale ona i tak nigdy go nie kochała. Żył w świecie iluzji, a kiedy spotkał prawdziwą miłość, to się od niej odwrócił. Podeptał ją.

Jakże Tira musiała go znienawidzić! I nigdy mu nie przebaczy. No cóż, zasłużył sobie na to!

Poszedł do łóżka i bezsennie przeleżał całą noc, bo prześladował go obraz Tiry, jej pełen cierpienia wzrok i blada twarz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Simon przywitał dzień w fatalnym nastroju. Na domiar złego zaraz po przyjściu do pracy pani Mackey, jego długoletnia sekretarka, poinformowała go, że telefonowano z biura gubernatora z prośbą o jak najszybszy kontakt.

Simon jęknął cicho. Podejrzewał, że Wallace Bingley będzie na niego naciskać, by ponownie przyjął funkcję prokuratora stanowego. A Wallaceo'wi trudno się było przeciwstawić, zawsze bowiem uparcie dążył do celu. Poza tym Simon wiedział, że Bingley w wyniku ostatniego skandalu sądowego znalazł się w trudnej sytuacji i że powinien pomóc przyjacielowi, którego szczerze lubił i cenił jako gubernatora.

- No dobrze - mruknął. - Proszę mnie z nim połączyć. Pani Mackey uśmiechnęła się szeroko, gdyż czuła, co się święci.

- Jak się masz, Wally - odezwał się Simon. - Czym mogę ci służyć?

- Po prostu odpowiedz - odparł gubernator. - Tak czy nie?

- Możesz zostawić mi trochę czasu do namysłu? - spytał Simon poważnie. - Nigdy nie sądziłem, że jeszcze raz obejmę tę funkcję. Nigdy nie czułem się dobrze w świetle jupiterów, a na dodatek zaczął się sezon odstrzału prokuratorów.

Gubernator zachichotał w odpowiedzi.

- Działasz bardziej rozważnie niż obecny prokurator i nie przysparzasz sobie wrogów, no i masz duże doświadczenie. W obecnej sytuacji bardzo cię potrzebuję - nalegał. - No dobrze, przemyśl to sobie. Daję ci dwa tygodnie, ale nie więcej. Zaraz po świętach podpiszę dymisję i będę musiał zaproponować kogoś na to stanowisko.

- W porządku. Dwa tygodnie.

- Świetnie. A co poza tym? Wybierasz się na bożonarodzeniowe przyjęcie do Starków?

- Chciałbym, ale moi bracia organizują zjazd rodzinny w Jacobsville.
- Co u nich słychać?
- Są pogrążeni w rozpacz, bo Dorie jest w ciąży i odmówiła pieczenia biszkoptów.

Rozglądają się teraz za kolejną ofiarą.

- Dlaczego nie zatrudnią kucharki?
- Sam wiesz, że żadna długo tam nie wytrzyma.
- Domyślam się. To znaczy, że on się nic nie zmienił?

- Chyba z wiekiem staje się jeszcze gorszy - odparł Simon. Obaj mieli na myśli najmłodszego z braci, Leopolda, który ubóstwiał płatać psie figle wszystkim kolejnym gosposiom, często przekraczając wszelkie dopuszczalne granice. Nie pomagały groźby i prośby. Leopold twierdził, że to jest silniejsze od niego.

- Powiedz, co słychać u Tiry. Słyszałem, że jej wystawa zakończyła się sukcesem.
- Nie wiem. Przypuszczam, że wszystko w porządku - odparł Simon zdawkowo.

Nie potrafił o niej rozmawiać. Zbyt mocno gryzło go sumienie.

- Przepraszam, stary. Zapomniałem. Pismacy musieli dać wam nieźle do wiwatu. Ale nie zamartwiasz się. Tak naprawdę nikt poważnie nie traktuje brukowców, a jeśli chodzi o twoją kandydaturę na prokuratora, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- Akurat tym zupełnie się nie przejmuję. Wkrótce się odezwę. Miło mi, że pomyślałeś o mnie. Dzięki za propozycję.

- Nie ma za co. Zależy mi na tobie. Mam nadzieję, że się zgodzisz.
- Dam ci znać, co postanowię.

Simon odłożył słuchawkę i wpatrując się w okno, znów myślał o Tirze. Dużo czasu upłynie, zanim ona mu przebaczy, jeśli w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie.

Może gdyby porozmawiał z nią i zmusił do wysłuchania tego, co miał jej do powiedzenia? Dziś rano próbował do niej zadzwonić, ale gdy usłyszała jego głos, natychmiast przerwała połączenie i włączyła automatyczną sekretarkę. W tej sytuacji poczuł się zupełnie bezradny.

Nagle przypomniał sobie o Sherry Walker, ich wspólnej znajomej, która również była miłośniczką opery, a ich abonamentowe miejsca bezpośrednio ze sobą sąsiadowały. Sherry niedawno złamała nogę na nartach i była unieruchomiona w domu. Spróbuje przy jej pomocy zwabić Tirę do opery i zmusić ją do rozmowy.

Kiedy już opadły emocje związane z wernisażem, Tira poczuła, że grzęźnie w pustce. Nie miała nic do roboty, święta zbliżały się wielkimi krokami i wszyscy wpadli w coroczny szal zakupów, a ona miała tylko dwie osoby, którym mogła kupić prezenty: panią Lester i

Charlesa. Było to bardzo przygnębiające. Idąc ulicą wzdłuż bajecznie kolorowych i rozświetlonych wystaw sklepowych, przyglądała się rodzicom kupującym zabawki dla dzieci i rodzinom objuczonym stertami paczek. Czuła wręcz fizyczny ból. Nigdy nie założy rodziny i do końca życia będzie sama.

Stała przy dużej wystawie sklepu z zabawkami i przyglądała się kolejkom elektrycznym jeżdżącym wśród gór i domków. Wyobrażała sobie, jakie to musi być wspaniałe uczucie, gdy kupuje się taką zabawkę dla synka. Albo piękną lalkę dla córeczki. Lub gdy obdarowuje się malucha pluszowym misiem, najlepszym i najwierniejszym przyjacielem dzieci.

Po jej policzku spłynęła samotna łza. Tira otarła ją wierzchem dłoni i nagle poczuła niespodziewany, dziwny przypływ ciepła. Jej serce załomotało i jeszcze zanim się obejrzała, wiedziała już, że to Simon. Zawsze wyczuwała jego obecność, jakby miała w sobie jakiś radar. Lecz teraz radość ze spotkania Simona natychmiast ustąpiła rozpaczliwemu bólowi.

- Piękne, prawda? - spytał cicho. - Ojciec kupił nam taki pociąg, kiedy byliśmy dziećmi. Najbardziej lubiliśmy, gdy w ciemności pędził pośród małych, oświetlonych domków, a my wyobrażaliśmy sobie, że w nich mieszkają małe ludziki.

Tira spojrzała na Simona. Miał na sobie czarny, wełniany płaszcz, spod którego wyglądała nieskazitelnie biała koszula i krawat w granatowo-biały wzór, pasujący do granatowego garnituru. Zauważyła, że znów nosi protezę. Wyglądał olśniewająco.

- Akurat tędy było ci po drodze? - spytała cierpko.

- Lubię sklepy z zabawkami - odparł. - Widzę, że ty też.

- Zabawki są dla dzieci.

- Nie lubisz dzieci?

- Dlaczego mam je lubić albo ich nie znosić? Przecież nie jestem matką. Przepraszam, ale trochę się spieszę...

- Charles nie chce założyć rodziny? - spytał niespodziewanie Simon, zastępując jej drogę.

Charles całe dni spędzał w szpitalu. Stan jego brata wciąż był ciężki, a rokowania niezbyt pomyślne. Charles troszczył się teraz o Nessę, którą kochał, ale Simon o tym nie wiedział, a Tira nie miała zamiaru mu o tym mówić.

- Nigdy go o to nie pytałam - odparła.

- Dlaczego? Przecież ludzie powinni wiedzieć o sobie takie rzeczy, zanim...

- Nic ci do tego - przerwała mu szorstko. - A teraz wybacz, ale nie mam czasu. Muszę zrobić zakupy.

Simon wyciągnął zdrową rękę, ale Tira odskoczyła od niego jak oparzona.

- Zabierz tę rękę! - wypaliła. Była blada i oddychała z trudem. - Zostaw... zostaw mnie wreszcie w spokoju! - zawołała drżącym głosem i znikła w gęstniejącym tłumie.

Zawsze, kiedy Simon jej dotykał, czuła drżenie w całym ciele i bała się, że nie zdoła tego ukryć. Musiała oddalić się, zanim cokolwiek zauważył, i dzięki temu ocalić resztki dumy.

Simon pożegnał ją ze smutkiem. No cóż, dostało mu się za swoje. Okazał się zadufanym w sobie bubkiem, któremu wydawało się, że ma prawo oceniać innych z wyżyn swej mądrości i nieskazitelnej etyki. I nie obchodziło go, jak bardzo zranił Tirę. Potępił ją, nie mając do tego żadnych podstaw, i przez całe lata ją odtrącał. Zniszczył ich przyjaźń, podeptał miłość. Jak to naprawić? Czy to w ogóle możliwe? Jeżeli istnieje choć jedna szansa na milion, zrobi wszystko, by ją wykorzystać.

Wrócił do biura z taką miną, że pani Mackey natychmiast podała mu aspirynę.

Ledwie Tira otrząsnęła się ze zdenerwowania wywołanego niespodziewanym spotkaniem z Simonem, kiedy przydarzyła jej się miła niespodzianka. Znajoma ofiarowała jej swój bilet do opery, na przedstawienie „Turandot”.

Była w siódmym niebie, uwielbiała bowiem tę operę. Nareszcie wyrwie się wieczorem z domu i przeżyje miłe chwile.

Do opery pojechała taksówką, gdyż bała się, że nie znajdzie miejsca na parkingu. Kiedy weszła do budynku i znalazła się w tłumie melomanów, poczuła się naprawdę fantastycznie.

Odnalazła swoje miejsce i doznała dziwnego uczucia, kiedy patrzyła na pusty fotel, który zawsze zajmował Simon. Dzięki Bogu! Miała nadzieję, że dzisiejszego wieczoru nie przyjdzie, przecież niedawno był na tym przedstawieniu razem z Jill.

Rozległ się dzwonek, światła przygasły, orkiestra zaczęła grać uwerturę. Tira z rozkoszą poddała się urokowi pięknej muzyki. Nagle usłyszała obok siebie jakiś ruch. Pełna nagłego niepokoju, odwróciła głowę. Na sąsiednim fotelu usiadł Simon.

Skinął jej głową i odwrócił się w stronę sceny.

Zacisnęła kurczowo dłonie na brzegu torebki. Simon poprawił się na siedzeniu, muskając ramieniem jej ramię. Tira miała wrażenie, że ogarnął ją płomień.

Dawniej tak nie było. Mogła rozmawiać z nim, spacerować, siedzieć obok niego - i nigdy nie było to tak bolesne. Fizycznie bolesne. Tak bardzo chciała oprzeć się o jego ramię... tak przerażająco mocno zapragnęła jego ust, ciała, wszystkiego. Zadrżała.

- Zimno ci? - szepnął Simon.

- Nie - wykrztusiła, otulając się aksamitnym szalem. Siedziała jak skamieniała, niemal bojąc się oddychać. Tak samo czuła się wczoraj, przed sklepem z zabawkami. Czy Simon

domyślał się, jakie tortury powoduje jego bliskość? Na pewno tak i dlatego z sadystyczną zawziętością wciąż szuka jej towarzystwa. Chce ją w ten sposób ukarać za to, co spotkało Johna. Sędzia i kat w jednej osobie. Tira zamknęła oczy. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Nie słyszała muzyki, nie dostrzegała niczego wokół. Pragnęła tylko jednego: uciec stąd jak najdalej.

Gdy zerwała się z miejsca, Simon natychmiast złapał ją za ramię.

- Zostań - powiedział ciepło. Wahala się tylko przez ułamek sekundy. Nie, to podstęp.

Musi uciekać!

- Co ty wyrabiasz! Puść mnie. Idę do toalety. Masz coś przeciwko temu? - szepnęła.

- Przepraszam.

Natychmiast cofnął rękę. Cicho przeproszając innych widzów, Tira precyzyjnie przesuwała się wzdłuż całego rzędu i wyszła z sali. Nie oglądając się za siebie, pobiegła do wyjścia.

O tej porze łatwo było o taksówkę, gdyż zawsze kilka czekało przy operze. Wsiadła do jednej z nich, podała kierowcy adres i z westchnieniem ulgi opadła na siedzenie.

Udało się! Była wolna.

W domu przebrała się w jedwabną koszulę nocną, nałożyła cienki szlafroczek i rozpuściła włosy. Euforia z powodu udanej ucieczki bardzo szybko ustąpiła miejsca przygnębiającemu smutkowi.

Nie miała pretensji do Sherry, bo w końcu kto mógł przypuszczać, że Simon zechce jeszcze raz obejrzeć „Turandot” i zrobi to akurat dzisiaj.

Co za ironia losu! Tak się cieszyła na te dwie godziny pięknej muzyki, ale zły los przekreślił jej plany. Zły los, któremu na imię Simon.

Mimo późnej pory postanowiła napić się kawy. Z parującą filiżanką w ręce usiadła w pokoju, gdy nagle usłyszała dzwonek u drzwi.

To pewnie Charles, pomyślała. Nie widzieli się od kilku dni, pewnie więc postanowił ją odwiedzić w drodze powrotnej ze szpitala. Ucieszyła się. Rozmowa z przyjacielem na pewno dobrze jej zrobi.

Ale w progu stał Simon.

Tira chciała mu zatrzaskać drzwi przed nosem, lecz przytrzymał je nogą. A potem wszedł do środka.

- Serdecznie witam! Gość w dom, Bóg w dom - powiedziała z pełną wściekłości ironią i szczerzej otuliła się kusym szlafrockiem. Jej oczy ciskały pioruny.

A on ją po prostu podziwiał, wręcz pochłaniał rozjarzonym wzrokiem. Nigdy przedtem

nie widział Tiry w negliżu, a to, co ujrzał, było wprost zachwycające.

- Dlaczego uciekłaś? - zapytał.

- Bo spotkałam ciebie - odparła, czerwieniąc się mimo woli. - A miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Przecież już byłeś na tym przedstawieniu.

- I to z Jill - dodał, obserwując jej reakcję. Unikała jego wzroku. Nie chciała, by domyślił się, jak bardzo podoba jej się w wieczorowym stroju. Ciemne, zroszone deszczem, falujące włosy, no i te oczy, tak intensywnie w nią się wpatrujące... Co to ma znaczyć? Nigdy dotąd tak na nią nie spoglądał. Dlaczego on jej to robi?

- Napijesz się kawy? - spytała, żeby przerwać pełne niezwykłego napięcia milczenie.

- Chętnie, o ile nie dosypiesz do niej arszeniku.

- Czasami jednak masz dobre pomysły - powiedziała Tira i spojrzała na niego z ukosa.

Poszli do kuchni, gdzie Tira nalała kawę. Nie podała śmietanki ani cukru, gdyż wiedziała, że Simon ich nie używa. Usiedli przy stole.

Simon uniósł filiżankę do ust, a Tira jak urzeczona wpatrywała się w jego protezę.

- O co chodzi?

- Kiedyś jej nie znośłeś - odparła, wzruszając ramionami.

- Ale jeszcze bardziej nie znośę litości - odparł. - Na pierwszy rzut oka wygląda jak prawdziwa i dzięki temu ludzie nie gapią się na mnie.

- Rzeczywiście, wygląda jak prawdziwa.

- Ale odczucia są nieco inne - powiedział i znów napił się kawy, a Tira ponownie oblała się rumieńcem. Zauważył to i dodał: - Zabawne! Jesteś jedyną znaną mi dorosłą osobą, która potrafi jeszcze się czerwienić.

Pewnie by tak nie powiedział, gdyby znał jej najpilniej strzeżoną tajemnicę, ale takich sekretów nie powierza się wrogowi. Simon myślał, że Charles jest jej kochankiem, i właściwie była z tego zadowolona. Ale uwaga o tym, co można robić protezą, zawstydziła ją. A tak naprawdę wywołała w niej wściekłą i bardzo bolesną falę zazdrości. Tira wprost nienawidziła tego uczucia.

- Nie obchodzi mnie, jakie są te odczucia i dzięki komu ich doznajesz - odparła wyniośle. - Nie interesuje mnie twoje życie osobiste. Już nie!

- Wiem - odezwał się po chwili milczenia. - Brakowało mi ciebie. Nagle wszystko stało się inne.

Jej oczy zabłysły radosnym blaskiem, ale spuściła głowę, żeby Simon tego nie zobaczył.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale jestem pewna, że masz ich mnóstwo. W tym również

Jill.

- Wiesz, naprawdę nie wiedziałem, że tak bardzo się nie lubicie.

- To niczego nie zmienia - powiedziała Tira, wzruszając ramionami. - Jill należy do twojego życia, a ono już mnie nie obchodzi.

- Ale kiedyś było inaczej. Dopiero teraz wiem, jakie to było dla mnie ważne - dodał. - Ale chyba jest już za późno.

- Czasami lepiej pozwolić, by wszystko toczyło się swoim torem - powiedziała Tira wymijająco. - Jeszcze kawy?

Potrząsnął głową.

- Nie będę mógł zasnąć. Wally zaproponował mi stanowisko prokuratora stanowego - powiedział nagle. - Mam dwa tygodnie do namysłu.

- Byłeś w tym fachu naprawdę niezły - przypomniała mu Tira. - Z twojej inicjatywy doszło do korzystnych zmian w ustawodawstwie.

- Ale żyłem jak w szklanej pułapce - odparł Simon, uśmiechając się blado. - Nie znosiłem tego.

- Ale robiłeś dużo dobrych rzeczy. A to się liczy.

- Powiedz mi, co się stało tamtej nocy, kiedy trafiłaś do szpitala? - poprosił nagle.

- Upiłam się i odpłynęłam - powiedziała niedbale, wzruszając ramionami.

- A pistolet?

- Z pistoletu chciałam zastrzelić mysz - wyjaśniła, machając ręką w kierunku lodówki. - Nie rozumiesz? Ona wciąż gdzieś tu jest, słyszę ją co chwila. Nie daje się złapać w pułapkę i w ogóle zrobiła się okropnie bezczelna. Upiłam się i pomyślałam, że zastrzelę ją jak John Wayne. No i spudłowałam.

- Czegoś takiego właśnie się spodziewałem. To jest w twoim stylu - powiedział Simon, śmiejąc się serdecznie. - Samobójstwo zupełnie mi do ciebie nie pasowało.

- Tylko ty mi wierzysz - poskarżyła się Tira. - Nawet doktor Gaines jest pewien, że kłamię. Chce mnie oddać w łapy jakiegoś terapeuty. Najlepszego, oczywiście.

- No tak, ale gazety miały używanie! A wiesz, jakim cudem tyle różnych szczegółów dostało się do prasy? To sprawka Jill.

- Wiedziałeś o tym? I nie powstrzymałeś jej?! - prawie krzyknęła.

- Przyznała się, gdy numer skierowano do druku i nic nie można było zrobić. Zresztą, dajmy temu spokój. I tak nikt nie wierzy w brednie, jakie publikuje szmatławiec jej kuzyna.

- Nawet w to, że zrobiłam to wszystko dlatego, ponieważ mnie odtrąciłeś? - spytała Tira, patrząc na niego przeciągle. - Sądzę, że ty wciąż tak myślisz. Jasne, bardzo mnie zaboląły

twoje oskarżenia o spowodowanie śmierci Johna. Ale to nie wszystko. Byłam wtedy przepracowana, wykończona, miałam klasyczny dołek, więc się po prostu upiłam. Dobra, zgadzam się, postąpiłam głupio. Ale czy wolnej, niezależnej i płacącej podatki kobiecie nie wolno raz w życiu, i to we własnym domu, zalać robaka? Miałam chandrę i tyle, a było tak nie tylko dlatego, że mnie obrzuciłeś błotem, oskarżyłeś o zbrodnię i wyzwałeś od najgorszych. Nie pochlebiaj sobie, bo nie płakałam po całych nocach z tęsknoty za tobą.

Mówiąc to, patrzyła mu prosto w oczy. I spostrzegła, że jej słowa go ranią. To spowodowało, że straciła swój cały bojowy zapal.

Zapadła kłopotliwa cisza. By ją przerwać, Tira powiedziała:

- Już późno, chce mi się spać. Ale zabrzmiało to bardzo nieszczerze.

- Naprawdę?

Spojrzenie Simona przyprawiało Tirę o dreszcze. Ten dziwny, intensywny, niemal magnetyczny wzrok... w którym kryła się wielka tajemnica. Tira nie miała odwagi jej nazwać. Tylko że zaczynała tracić oddech, a serce prawie zwariowało, łomocząc jak oszalałe. Boże, co Simon z nią wyrabia? Przeklęty sadysta! Powinna się opanować.

Wstała, żeby przejść obok niego, gdy nagle ujął jej dłoń i położył na swoim sercu. Ten pozornie niewinny gest spowodował, iż świat wokół Tiry zawirował, a ona sama znalazła się jakby w innym wymiarze. Jej zmysły, tak długo uspięne, teraz wreszcie obudziły się do życia. Ale już po sekundzie odzyskała świadomość. I ogarnął ją strach.

- Puść mnie - powiedziała nieswoim, szorstkim głosem.

Nie puścił.

Nie potrafił, nie mógł. Kiedy wreszcie schwycił ją w ramiona, poczuł się tak, jakby obudził się z wieloletniego letargu. Tira była miękka i ciepła... i pachniała kwiatami. Pił jej zapach, czuł każde drgnienie jej ciała. Dotykał ją, pieścił - coraz mocniej i mocniej, a ona stawała się coraz bardziej uległa... i słodka. Ale i bierna zarazem.

Teraz Simon musiał walczyć ze sobą. Bo ta chwila jeszcze nie nadeszła. Nie wolno mu dla godziny rozkoszy poświęcić dobra najwyższego: prawdziwej miłości. Jeszcze jest za wcześnie. Musi się opanować. Ale jak to zrobić?

Tira słyszała jego oddech. Na szyi poczuła jego nieogolony policzek. Jakie to podniecające. Ich serca galopowały wspólnie w dzikim rytmie. Znów się przestraszyła i szepnęła:

- Proszę, nie...

- Już za późno - odparł Simon szorstko. - O całe wieki za późno. Nie odwracaj się ode mnie, proszę.

Zwróciła twarz ku niemu - niewiele, odrobinę, ale to wystarczyło, by w dzikim, zachłannym pocałunku zawładnął jej ustami. Była przerażona i samym pocałunkiem, i siłą namiętności bijącej od Simona, ale nie cofnęła drżących ust.

Pocałunek, o którym śniła i marzyła od lat... Smakował kawą. Gorączkowy, nawet dość brutalny. A ona nie protestowała, tylko przywarła do Simona z całych sił, jakby bała się, że to tylko sen i za chwilę czar pryśnie.

Simon powoli podniósł głowę. Nie rozumiał tego wszystkiego. Niby Tira już go nie odpychała, pozwalała się całować, ale sama nic z siebie nie dawała. Jak kobieta, która nie ma żadnego doświadczenia i która jeszcze nigdy tego nie robiła...

Tira też mu się przyglądała z wielką uwagą. Właśnie przed chwilą ujrzała nowego Simona. Takiego, który potrafi sprawić, że kobieta lgnie do niego jak ćma do światła. Bała się go, gdyż czuła, że nie potrafi się przed nim bronić.

Przez długą chwilę trwali w bezruchu, pogrążeni w swoich myślach.

Wreszcie Simon ją puścił i odstepili od siebie o krok. Obudzili się ze snu. Oboje już wiedzieli, że tylko mały krok dzielił ich od popełnienia wielkiego błędu. Od bardzo niebezpiecznego skoku w mroczną otchłań.

Tira podeszła do drzwi i otworzyła je.

Podjęła trafną decyzję, pomyślał Simon i ruszył do wyjścia.

Lecz nagle zawładnęła nim dzika, niepokonana zazdrość o faceta, który tak wiele znaczył w jej życiu.

- Szczęśliwy jest ten Charles - powiedział. - To właśnie od ciebie dostaje?

- Wynoś się! - zawołała Tira przez ściśnięte gardło. - Precz! Simon wyszedł, potem zawahał się na moment, lecz Tira z pasją zatrzasnęła za nim drzwi.

Wróciła do sypialni, z trudem powstrzymując łzy. No cóż, znowu ten sadysta był górą. Pocałunek miał być następną karą za śmierć Johna. Simon świetnie to wymyślił. Grał na jej emocjach jak prawdziwy wirtuoz.

- Ale popełniłeś błąd, mój panie - szepnęła z mściwą satysfakcją - bo przesadziłeś. Już nigdy więcej! Odbiorę ci największą radość życia i nie pozwolę się dłużej dręczyć. I po cholere ja się z nim całowałam? Jak można tak nad sobą nie panować...

Simon stał przy samochodzie, a chłodna mżawka przyjemnie chłodziła jego rozpalone ciało. No cóż, trzeba podziękować Bogu, że ustrzegł go od popełnienia fatalnego błędu. Chociaż z drugiej strony pozwolił przecież na mały błąd...

Tak niewiele brakowało, by Tira oddała mu się całkowicie. Powoli przełamывał jej opór, budziła się w niej namiętność, tylko od niego zależało, dokąd zajdą. Powstrzymał się z

największym trudem. Ale o co w tym wszystkim chodzi? Przecież zna tę kobietę od tylu lat i nigdy nic podobnego się nie działo. A oto nagle Tira wyzwoliła w nim najdziksze pożądanie, prawdziwą furię miłosną. Nawet z Melią tak nie było. A przecież tak bardzo był w niej zakochany i sądził, że ona również darzy go wielkim uczuciem...

Wcale nie zamierzał dotykać Tiry, ale wyglądała tak kusząco, że w ułamku sekundy eksplodowała w nim namiętność. Wciąż pamiętał dotyk jej piersi, nadal czuł smak jej ust. Doprowadzało go to do szaleństwa.

Musi się uspokoić. Zaczął powoli i miarowo oddychać. Dobrze, że nie ujawnił przed Tirą swoich prawdziwych uczuć. Bardzo dobrze, bo uzyskałaby nad nim przewagę, a wtedy mogłaby obmyślić jakąś zemstę. Nagle oblał go zimny pot. Do diabła, przecież ona na pewno opowie wszystko, co się między nimi wydarzyło, temu swojemu kochasiowi. Doda kilka pikantnych szczegółów, zrobi z niego napalonego durnia, opatrzy wypowiedź złośliwym komentarzem... Ale będą mieli z Charlesem ubaw! Zabawią się jego kosztem, pochichoczą, a potem będą się kochać.

A przecież jeszcze niedawno bez trudu mógł pozbyć się rywala i natychmiast zająć jego miejsce. Jednak swoim postępowaniem doprowadził do tego, że Charles przez cały czas jest z Tirą, a ona na pewno już przestała kochać Simona.

O ile kiedykolwiek go kochała.

Wściekły na siebie, wszedł do samochodu i pojechał do domu. Niech diabli porwą tę babę! Nie ma sensu wciąż się obwiniać.

Tak, postąpił jak głupiec, ale Tira nie powinna była mu na to pozwolić. I tak by zrobiła, gdyby go naprawdę kochała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po sporej dawce whisky Simon zapadł w sen, który okazał się łaskawszy od jawy, nawiedziła go w nim bowiem Tira. Jeszcze w półśnie trzymał ją w ramionach i szeptał słodkie słówka, gdy jednak do końca obudził się, powróciła ponura rzeczywistość. Znowu wszystko popsuł, lecz tym razem, niestety, chyba stracił Tirę bezpowrotnie.

Zadzwoiła Jill, żeby umówić się z nim na lunch. Od razu zauważyła, że Simon nie jest w najlepszym humorze, i tak długo go maglowała, aż wspomniął coś o wczorajszej kłótni z Tirą. Zaniepokojona Jill usiłowała dowiedzieć się, czy było to umówione spotkanie, ale Simon przerwał rozmowę pod pozorem, że jest bardzo zajęty. Odłożył słuchawkę i dzięki temu nie usłyszał wściekłego komentarza swojej kochanki.

Jill była w furii. Już wydawało się jej, że złapała na swoją wędkę najatrakcyjniejszego faceta w mieście, a oto na jej zastrzeżone terytorium wdarła się Tira. Zatelefonowała do rywalki, by coś wywęszyć, ale zastała jedynie panią Lester. Okazało się, że Tira poszła na zakupy. Świetnie...

Tira wciąż nie mogła sobie wybaczyć, że poprzedniego wieczoru tak łatwo uległa Simonowi. Czowała się podle, więc żeby sobie poprawić nastrój, wstąpiła na małą przekąskę do baru w centrum handlowym. Siedziała przy kawie, kiedy ujrzała wchodzącą do środka Jill i pomyślała, że chyba prześladowuje ją jakieś fatum.

- O, jak się masz? - odezwała się Jill, uśmiechając się rozkosznie. - Biedactwo, żywisz się tylko kanapkami? Nie chcę ci psuć nastroju i nie zdradzę ci, dokąd idę z Simonem na lunch.

- W takim razie co robisz tutaj? - odparła Tira, nie siląc się na grzeczności.

- Och, byłam u jubilera, by kupić bransoletkę z brylantami, i zobaczyłam cię przez szybę. A tak między nami kobietami... - dodała, rozglądając się wokoło. - Simon był wściekły, kiedy spotkał cię w operze - powiedziała tajemniczym szeptem. - Zwolnij tempo, nie powinnaś się za nim tak ostentacyjnie uganiać. I tak nikt nie wierzy, że te wszystkie wasze spotkania są „przypadkowe”. Wykaż trochę więcej godności, kochanie. I miej trochę litości dla biednego Simona. Od rana był w bardzo kiepskim humorze i musiałam się sporo napracować, by to zmienić.

- Dzięki za informacje - odparła Tira z promiennym uśmiechem. - Masz ochotę na kawę? - zapytała i cisnęła trzymaną w ręku filiżankę prosto w zaskoczoną Jill, która ledwie zdążyła odskoczyć. - Och wybacź, taka ze mnie niezdara. O mało cię nie oblałam.

Jill stała chwilę z szeroko otwartymi ustami, a potem rzuciła się do wyjścia. Aż do drzwi gonił ją szyderczy śmiech rywalki.

Gdyby Tira nie była tak nieszczęśliwa, pewnie ubawiłaby ją ta cała historia. Przeprosiła kelnerkę za kłopot i zostawiła jej królewski napiwek, a potem wróciła do domu i zabrała się do rzeźbienia.

Wprawdzie do następnej wystawy miała jeszcze mnóstwo czasu, ale, zajmując się czymś konstruktywnym, mogła choć na chwilę przestać myśleć o pocałunkach Simona oraz obsesyjnie powiększać katalog najbardziej wyrafinowanych tortur, przeznaczonych dla Jill.

Następnego dnia komitet organizujący pomoc dla sierot zwrócił się do Tiry z prośbą o udział w świątecznej kweście. Ponieważ wiedziała, że Simon jest przewodniczącym komitetu, wymówiła się innymi zobowiązaniami. Natychmiast do niej zadzwonił.

Wprawilo ją to we wściekłość.

- Wiesz, jakie kazanie usłyszałam od twojej słodkiej przyjaciółeczki? Że się ponizam,

wciąż biegając za tobą. Ostatnio polowałam na ciebie w operze.

- To ja poprosiłem Sherry, żeby ci odstąpiła bilet - po chwili wahania wyznał Simon. -

Więc jeśli ktoś tu za kimś się ugania, to raczej ja za tobą.

- Patrzcie państwo, a to mi nowina!

- Mówię prawdę. Proszę, weź udział w pracach komitetu. Zobacysz, będzie zabawnie.

- Sama nie wiem. - Jej opór zaczął słabnąć. - Ostatnio jesteś zupełnie inny niż dawniej.

- Wiem. Możemy spróbować jeszcze raz?

- Ale co? - spytała nieufnie.

- Współpracować. Przyjaźnić się. Cokolwiek zechcesz. Czyżby w ten sposób kapitulował? Może uznał, że Tira już odpokutowała za śmierć Johna? Tak czy owak, życie bez niego było puste, a przyjaźń jest lepsza niż nic. O tym, jak się czuła po jego pocałunkach, wolała w tej chwili nie myśleć.

- Czy Jill też jest w tym komitecie? - spytała zniechęcona.

- Ależ skąd!

- W takim razie zgoda - odparła z westchnieniem.

- Świetnie! Jutro wieczorem przyjadę i zabiorę cię na zebranie.

- Nic z tego - zaprotestowała stanowczo. - Pojadę sama. Jaki jest adres?

Simon podał adres, starając się nie zdradzić, jak bardzo ubodła go jej odmowa. Chociaż jeszcze bardziej złościł go fakt, że Jill znowu wtykała nos w jego sprawy. Popęłnił wielki błąd, rozmawiając z nią o Tirze, dał jej bowiem broń do ręki. Gdyby Tira dowiedziała się o tym... Nie, lepiej nie myśleć, co by się stało.

Gdy Tira przybyła na zebranie komitetu, z radością stwierdziła, że w jego pracach uczestniczy troje jej dobrych znajomych. Przez trzy godziny ułożyli plan przyjęcia oraz opracowali rolę dla Świętego Mikołaja. Tira zgodziła się również na udział w zaplanowanej imprezie, podczas której miała podawać napoje, a także zobowiązała się upiec ciasto. Lepiej robić to, niż polować na mysz za lodówką, pomyślała. Oprócz niej zgłosiła się jeszcze jedna kobieta oraz dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Simon.

Po spotkaniu podszedł do niej, zanim zdążyła wsiąść do samochodu.

- Chłopcy urządzają w sobotę przyjęcie w Jacobsville. Zapraszają cię serdecznie.

- Nie mogę... Położył palec na jej ustach. Zrobił to tak delikatnie, że Tira poczuła się trochę dziwnie.

- Charles nie wytrzyma bez ciebie nawet jednej soboty?

- Ostatnio rzadko go widuję, bo jego brat jest w szpitalu - wyjaśniła. - Nessa nie radzi sobie z całą sytuacją i Charles jest dla niej jedynym oparciem. Kto to jest Nessa?

- Jego bratowa. Chciała opowiedzieć mu o Nessie i Charlesie, ale nie mogła zdradzić ich tajemnicy, a poza tym uznała, że Charles jako jej kochanek bardzo się przydaje w rozgrywce z Simonem. Ale przede wszystkim powinna się mieć na baczności. Ta dziwna przemiana, jak zaszła w Simonie... Czy była autentyczna? Nauczona smutnym doświadczeniem, Tira obawiała się następnego podstępu.

- Rozumiem - powiedział.

- Nie rozumiesz, ale to nieważne. Chcę jechać do domu. Zimno mi.

- Mam ciekawszą propozycję. Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Nie szukam przygód - powiedziała stanowczo. - Mówię ci to tak na wszelki wypadek, gdybyś tego nie zauważył.

Simon zbladł. Poczul się tak, jakby dostał w twarz.

- Nie? A z Charlesem to nie jest przygoda? Jakoś twój miły nie spieszy się do ślubu.

- Nie chcę znów wychodzić za mąż - odparła, nie patrząc na niego. - Nigdy.

Simon zawahał się. Dzięki ojcu Johna już wiedział, dlaczego Tira ma uraz na punkcie małżeństwa, ale bał się jej do tego przyznać. Jeszcze nie teraz.

- Czy Jill wie, że wciąż tęsknisz za żoną? A może to też tylko przelotna przygoda?

- Co ma jedno z drugim wspólnego? - spytał Simon ze złością.

- Nie ma? A to ciekawe. - Tira znacząco uniosła brew. - Jadę do domu.

- Pojedź ze mną do Jacobsville.

- Prosto do jaskini lwa? Gdzie panuje biskoptowe szaleństwo? Nie mam zamiaru stać się niewolnicą twoich braciszków - zakpiła.

- Obronię cię przed nimi - powiedział Simon stanowczo. - Dodam, że Corrigan zatrudnił gosposię. Umie wszystko ugotować i upiec.

- Z Leopoldem nie wytrzyma nawet dwóch tygodni - przestrzegła Tira.

Ucieszyło go to, że Tira tak dobrze zna jego rodzinę i interesuje się ich życiem. Kiedyś najbardziej przyjaźniła się z Corriganem. Wydawało się nawet, że coś z tego będzie, ale widocznie nie pasowali do siebie. Jednak już wtedy wciąż wokół Tiry krążył Charles Percy. Dziwne, ale Simon wcześniej tego nie zauważył.

- Od kiedy odeszłaś od Johna, zawsze jest przy tobie Charles - powiedział bez zastanowienia.

- Przyjaźnimy się.

- Przyjaźnicie... - parsknął z ironią. - Tak się to teraz nazywa?

- Sam powinieneś wiedzieć. A jak na to mówi Jill?

- Ona przynajmniej jest szczerą i nie ukrywa, czego ode mnie oczekuje - odparł ze

złością. - I wcale nie chodzi jej o pieniądze.

- Dla każdego coś miłego - zakpiła.

- Ty też się ze mną całowałeś - powiedział Simon zniecacka, przyglądając jej się uważnie.

Tira znów się zarumieniła i szybko odwróciła głowę.

- Muszę iść. Stał tuż przy niej i chociaż nie dotykał jej, czuła ciepło, kojące chłód grudniowego wieczoru.

- Przestań wreszcie uciekać! Tira przymknęła na chwilę oczy, a potem znów je otworzyła i sięgnęła do klamki, żeby otworzyć drzwi samochodu.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi - odezwała się nieswoim głosem. - Ale tak naprawdę nie byliśmy nimi, tylko mi się tak wydawało. Bo ty w najlepszym razie ledwie mnie tolerowałeś. Wprost nie mogę uwierzyć, jak przez tyle lat mogłam być aż tak ślepa. I nie widziałam, że ty mnie wciąż potępiasz... gardzisz mną. Każdym spojrzeniem dawałeś mi to do zrozumienia, ale ja byłam jak niewidoma. Ale widzisz, wreszcie przejrzałam na oczy.

- Tiro... Jednak nie pozwoliła sobie przerwać..

- O nic cię nie oskarżam, bo każdy ma prawo postępować po swojemu. Ale dowiedz się, że twoje gierki są tanie i żalotne. Naprawdę nie łamiesz mi serca, pokazując się wszędzie z Jill.

Simon przyglądał się jej i zauważył, że Tira jest jakaś inna. Ostatnio wyszczupiała i zrobiła się bardziej krucha, delikatniejsza. Ale jej słowa były twarde i raniły go.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał miękko.

- To, że już ciebie nie potrzebuję. Ani twojej litości, ani nienawiści - odparła z dumą. - Jill może opowiadać różne rzeczy, ale to tylko słowa. Naprawdę nie szukam z tobą kontaktu i chcę tylko jednego: byś zniknął z mojego życia. Na tobie świat ani się nie zaczyna, ani nie kończy. I nie można po raz drugi wstąpić do tej samej rzeki, bo woda wciąż płynie i wszystko się zmienia. Nie możemy powrócić do tego, co kiedyś już było.

Swoim postępowaniem zabiłeś naszą, nazwijmy to - przyjaźń. Zaczynam nowe życie, w którym nie ma miejsca dla ciebie. Mam swoje plany i marzenia, ale żadne z nich nie ma na imię „Simon”.

Czuł się tak, jakby rozpalone noże wbijały mu się prosto w serce. Najgorsze było to, że słowa Tiry brzmiały absolutnie szczerze.

- Rozumiem - powiedział cicho.

- Nie wiem, czy rozumiesz. Byłeś dla mnie jak narkotyk. Po prostu wpadłam w nałóg, ale teraz jestem już wyleczona. Kłopot w tym, że dla byłego narkomana nawet najmniejsza dawka stanowi wielkie zagrożenie.

- Co masz na myśli?

- Naprawdę nie rozumiesz? Nie zamierzam powtórnie się uzależnić. Mam Charlesa, a ty masz Jill. I niech tak już pozostanie. Od tej pory żyjemy w osobnych światach...

Było jej bezgranicznie smutno, ale przede wszystkim poczuła ogromną ulgę. To prawda, była bardzo zdenerwowana, ale przede wszystkim uspokojona wewnętrznie i wyciszona. Nagle się uśmiechnęła:

- I proszę cię, uwierz mi. Opowieść o myszy i pistolecie była prawdziwa. Nigdy nie miałam zamiaru zabić się z twojego powodu.

- Wiem, do cholery...

- W takim razie...

- Co, w takim razie?

- W takim razie dlaczego wciąż wszystko tak aranżujesz, że ciągle się spotykamy?

Simon wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej włosów. Tira szarpnęła głową, a on z westchnieniem cofnął rękę.

- Nigdy mi nie wybaczysz, prawda?

- Staram się - odparła spokojnie. - Tyle że za każdym razem, kiedy gdzieś się razem pokazemy, powstają plotki. Te wszystkie historie wypisywane w gazetach... Nie chciałabym jeszcze raz przez to przechodzić.

- Dawniej nie przejmowałaś się plotkami.

- Bo jeszcze nigdy to nie było takie okrutne. Ale tym razem - zostałam bardzo upokorzona.

A właściwie skąd wiesz, że cię nie pragnę? - zapytał zniechęcony.

Stała bez słowa, zaskoczona i oszołomiona.

- W sobotę przyjadę o szóstej i zabiorę cię do Jacobsville - oznajmił. - Włóż coś eleganckiego. To będzie wielki bal.

- Nie pojedę! Ani mi się śni! - wycodziła Tira przez zęby.

- Pojedziesz, choćbym miał trupem paść, ale pojedziesz - zapewnił ją.

Simon odwrócił się i ruszył do swojego samochodu, a ona stała przez chwilę, patrząc w ślad za nim.

- Jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu, panie Hart - mruknęła cicho.

Został już tylko niecały tydzień do świąt. W Wigilię Tira miała uczestniczyć w wieczorze dla dzieci. Bardzo się z tego cieszyła, przynajmniej w ten sposób poczuje atmosferę Bożego Narodzenia. W domu miała sztuczną choinkę, którą od lat ustawiała w salonie. Niestety, nie mogła kupić prawdziwej jodełki, była bowiem uczulona na drzewa iglaste. Ale

lepszą sztuczną choinką niż żadną.

Zawiesiła na niej mnóstwo pozłacanych aniołków, wstążeczek, anielskich włosów i figurek z pozytywkami. Wokół choinki rozłożyła czerwony chodnik, na którym ustawiła kolejkę.

Tą samą, którą widziała na wystawie sklepu z zabawkami. Wtedy, po odejściu Simona, wróciła do sklepu i kupiła ją, a teraz z radością obserwowała, jak dzielnie sobie radzi na trudnej trasie. Pomyślała, że warto by dostawić jeszcze kilka domków. Kupi je po świętach.

Długo podziwiała swoje dzieło. Była zadowolona, że nie musi iść na żadne przyjęcie.

Usłyszała dzwonek do drzwi i uśmiechnęła się z satysfakcją. Wiedziała, że to Simon, ale nie miała zamiaru mu otwierać. Była dumna, że wreszcie uwolniła się od niego. Satysfakcja nieco gorzka, ale jednak satysfakcja.

- Piękna choinka - usłyszała nagle za swoimi plecami. Okręciła się na pięcie i zobaczyła, że Simon, ubrany wieczorowo, stoi w drzwiach salonu i przygląda jej się z uśmiechem.

- Jak... jak tu się dostałeś? - wyjąkała.

- Pani Lester zostawiła tylne drzwi otwarte - odparł, wyraźnie uradowany. - Poprosiłem ją o to. Powiedziałem, że wychodzimy razem, a ty na pewno zapomnisz się przygotować. Bardzo ją to ucieszyło. Wiesz, ona chyba jest wielką romantyczką.

- Wyleję ją w poniedziałek i to z samego rana!

- Na pewno jej nie wylejesz. Skąd weźmiesz drugi taki skarb?

- Nie pojedę z tobą do Jacobsville!

- Oczywiście, że pojedziesz. Ubierz się albo ja sam cię ubiorę.

- Ciekawe, jak to zrobisz. Tylko się nie waż... Ignorując jej protesty, Simon zdrową ręką schwycił Tirę pod ramię i zaciągnął do sypialni. Okazało się, że i tu zdążył być, ponieważ na łóżku leżała biała, wizytowa sukienka i odpowiednio dobrana bielizna.

- Wdarłeś się do mojego domu! - krzyknęła.

- Można i tak to określić... Było to jednak bardzo pouczające doświadczenie. Stwierdziłem mianowicie, iż poza dżinsami i bawełnianymi podkoszulkami, niewiele masz w szafie. - Simon przyjrzał się Tirze krytycznie. - Wprawdzie nieźle się prezentujesz nawet w tym, co teraz masz na sobie, ale na dzisiejszy wieczór musisz się ubrać bardziej elegancko.

- Na pewno tego nie włożę!

- Oczywiście, że to zrobisz - odparł i zachichotał. - Prędzej czy później, ale włożysz.

Tira postanowiła wyjść z pokoju, lecz nagle, nim się zorientowała, co jej zagraża, znalazła się w ramionach Simona. Ta jego cholerna proteza spisywała się wprost rewelacyjnie.

- Nic ci nie zrobię. Uspokój się - powiedział cicho. - Ale pójdziesz.

- Ja nie... Nie! Co ty wyrabiasz?! Tira miała na sobie sukienkę zapinaną na suwak. Wystarczyło jedno pociągnięcie i oto ubranie opadło na podłogę, a ona stała przed nim naga jak ją Pan Bóg stworzył, jedynie skąpe bawełniane majteczki udawały, że zakrywają cokolwiek.

Simon przyglądał się jej wzrokiem artysty, kontemplującego piękno kobiecego ciała.

- Nie patrz... nie patrz na mnie! - zawołała Tira nieswoim głosem, próbując się czymś zasłonić.

- Naprawdę nie chcesz?

Tira stała jak zaczarowana. Czuła na sobie spojrzenie Simona, coraz bardziej intensywne i gorące, pełne podziwu i nieskrywanego pragnienia.

- Nie bój się - powiedział cicho. - Nawet cię nie dotknę. Przysięgam.

Oddychała z trudem. Drżała, kiedy jego dłoń najpierw musnęła jej rękę, a potem pogłaskała rozpalony policzek.

Dlaczego ona jest taka dziwna, pomyślał. Wstydzi się, czerwieni jak mała dziewczynka. Doświadczona kobieta nie reaguje tak jak ona.

Wokół nich narastała pełna niezwykłego napięcia, czarodziejska cisza. Tira bała się odetchnąć, by nie zniszczyć cudownej, tajemniczej magii tej chwili. Ale jednocześnie była przerażona.

- Tiro... - odezwał się Simon drżącym głosem. - Powiedz czego pragniesz?

- Nie wiem - wyszeptała zmieszana. - Naprawdę nie wiem.

- Ale twoje ciało wie - szepnął. - Pozwól, by przemówił za ciebie...

Milczała, ale Simon nie oczekiwał słów. Delikatnie dotknął jej piersi, a ona zadrżała i wstrzymała oddech.

- To nie będzie bolało - szepnął i zaczął ją pieścić. Trzymała go kurczowo za ramiona. Nagle głośno jęknęła.

- Co cię stało? - spytał, zdziwiony tak silną reakcją na wstępną grę.

Dotykał twarzą jej policzka, przyglądając się jej kątem oka. Wyprężyła się i odchyliła głowę do tyłu w nieśmiałym jeszcze, ale pełnym ekstazy ruchu. Próbowwała panować nad sobą, ale tłumione od dawna pragnienie najwyższych doznań zdawało się ostatecznie nią zawłaszczać. Z przymkniętymi oczami, drząc i pojękując, Tira oddała się wielkiej, ogarniającej ją rozkoszy.

Simon też miał wrażenie, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Przecież to była tylko zwykła pieszczota, a oto nagle złączyli się w potężnym, miłosnym przeżyciu, równie silnym, jakby kochali się naprawdę.

- Chodź tutaj - powiedział i pociągnął ją na łóżko. Serce biło mu gwałtownie, kiedy w pośpiechu szukał ustami jej warg.

- Simon... - wyjąkała Tira, ale nie odepchnęła go. Wręcz przeciwnie, przyciągała go do siebie i oddawała pocałunki.

Wszystko działo się tak szybko. Powietrze przeszywały jęki i westchnienia rozkoszy. Simon czuł, że teraz nie byłby w stanie przestać, nawet gdyby od tego miało zależeć jego życie. Nigdy jeszcze, przy żadnej kobiecie nie czuł tak wielkiego podniecenia. I Tira również go pragnęła.

Nie chciał, żeby ich miłość spełniła się w takim pośpiechu. Był samotny, od dawna nie miał nikogo. Dlatego rozumiał, czym jest prawdziwe, głębokie doznanie. Tira należy się coś więcej niż krótka przygoda. Tylko jak powstrzymać jej rozbudzoną namiętność?

- Tira... - jęknął. - Nie, nie tak, maleńka. Pomóż mi... Drżał cały, usiłując opanować swoje ciało i ugasić bolesny ogień, torturujący go, gdy leżał tak przy niej, dotykając ustami jej ust.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tira znalazła się w cudownym, nieznanym jej dotąd świecie i całą sobą chłonęła nowe doznania.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że jest we własnym domu, prawie naga i że dłonie Simona błądzą po jej ciele.

Raptownie wciągnęła powietrze.

- Simon! - zawołała, przerażona.

- Ćśś. Pocałował ją delikatnie w szyję, a potem uniósł głowę. On również oddychał ciężko i nierówno. Zaskoczyło ją to, co ujrzała w jego oczach - niepokój, a także brak zwykłej czujności.

- Zdaje się, że jesteś wstrząśnięta tym, co było... co może być między nami? - spytał i uśmiechnął się.

- Tak.

- Ja też. Ale nie chciałbym, żeby stało się to tak szybko, jakby przypadkiem - powiedział. Podniósł się i usiadł tyłem do niej.

Tira w panice przykryła się narzutą z łóżka i zagryzła wargi. Była zakłopotana i zawstydzona. Boże drogi, jak to się stało, że do czegoś takiego doszło? Gdyby Simon nie powstrzymał się w ostatniej chwili...

Wstał i odwrócił się do niej, patrząc na nią z uwagą. Leżała na łóżku, przykryta narzutą, z włosami rozsypanymi w nieładzie. Utkwiła w nim przestraszony wzrok.

- Nie bój się - powiedział cicho i czule. Nie chciał, by Tira się bała, nie pragnął, by czuła się zawstydzona. Odrzucił na bok narzutę i pomógł jej wstać. - Nic złego nie zrobiliśmy.

Sięgnął po stanik bez ramiączek, który wcześniej wyjął z komody.

- Sama musisz go zapiąć. Z moją protezą nie mogę ci pomóc.

Tira posłusznie robiła to, co jej kazał. Simon podał jej majteczki, pomógł włożyć sukienkę i zapiął długi suwak na plecach.

- Jesteś bardzo potargana.

Bez słowa wzięła od niego grzebień i rozczesała włosy, a następnie wysoko je upięła. Potem umalowała wargi, a on stał tuż za nią, pochłaniając ją wzrokiem.

Kiedy skończyła, podniósł ją z krzesła i obrócił twarzą do siebie.

- Od jak dawna się znamy? - zapytał, wpatrując się w nią z napięciem.

- Od bardzo dawna - odparła, uciekając wzrokiem. Była zupełnie bezwolna i przerażało ją to. - Powinniśmy już iść.

- Nie wstydz się. Nie zrobiliśmy nic złego - powiedział Simon cicho, starając się uchwycić spojrzenie Tiry.

- Przecież ty nawet mnie nie lubisz... Jej głos dziwnie się załamał. Simon przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno, kołyszając i gładząc po włosach. Potem lekko pocałował jej włosy i policzek, startł ślady łez. Przepelniała go czułość, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał w stosunku do żadnej kobiety. Ale tylko Tira miała tak miękką i delikatną skórę, tak jedwabiste włosy, tak cudowne piersi i słodki uśmiech. Była najpiękniejsza na całym świecie! Dlatego tak bardzo jej pragnął. I pożałował. Odsunął się trochę, by tego nie zauważyła.

Ona tymczasem sięgnęła po chusteczkę i głośno wytarła nos.

- Pewnie nos będę miała równie czerwony jak oczy - mruknęła.

- Pasują do twoich włosów - zażartował Simon. - Wiesz, bardzo chciałbym, żebyś dziś ze mną poszła - dodał. - Ale jeśli naprawdę nie chcesz, to przecież nie będę cię zmuszał.

- Przedtem mówiłeś coś innego - odparła podejrzliwie.

- Jeżeli masz przeze mnie płakać... - powiedział. - To ostatnia rzecz, której bym chciał.

- Miałam trudny tydzień - przyznała Tira, a jej opór malał z każdą chwilą.

- Oboje jesteśmy zmęczeni. Pojedź ze mną, tak po prostu, bez żadnych zobowiązań. Zobaczysz, że będziesz się dobrze bawiła.

Wahała się tylko przez chwilę.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Pojadę z tobą.. Wziął ją za rękę. Patrzyła na niego

niepewnym, zawstydzonym wzrokiem.

- O niczym teraz nie myśl, nie roztrząsaj tego wszystkiego - poradził. - Po prostu jedźmy.

Wziął ją za rękę i ruszyli do wyjścia.

Jakie to dziwne uczucie, gdy Simon jest dla niej tak czuły i opiekuńczy. Miłe, ale i bolesne zarazem, ponieważ zaczynała wreszcie rozumieć, czego tak bardzo jej w życiu brakowało. Z Simonem byłoby jej na pewno wspaniale, ale nie miała ochoty na żaden szybki romans. Wbrew temu, co on o niej sądził, szczególnie na podstawie małżeństwa z Johnem, w tych sprawach była dość staroświecka. Doceniała wagę formalnego związku. Nie będzie więc niczyją kochanką na jedną noc, nawet gdyby chodziło o Simona.

Mimo obaw Tiry jazda do Jacobsville upłynęła w miłej atmosferze, bez śladu napięcia i skrępowania. Przez cały czas ze sobą rozmawiali, ponieważ Simon podsuwał wciąż nowe i ciekawe, ale jednocześnie neutralne tematy, takie jak polityka, sztuka, muzyka i działalność dobroczynna.

W pewnym momencie zapytał Tirę, czy pomoże mu w pracy nad pewnym rządowym projektem, jeśli on przyjmie stanowisko prokuratora stanowego. Wtedy zapaliło się w niej ostrzegawcze światelko. Czyżby znów chciał ją wykorzystać? Tym razem wprawdzie nie chodzi o jej ciało, ale... ale musi być ostrożna.

- Jeśli znajdę czas - odparła chłodno.

- Przecież teraz nie jesteś w nic poważnego zaangażowana - powiedział wprost, zdziwiony jej reakcją.

- Niby tak... ale chciałabym przygotować następną wystawę. A to bardzo absorbujące. Nie uwierzył jej.

Posiadłość Hartów prezentowała się wspaniale. Wielka, otoczona białym płotem, z pięknym domem, przystrojonym girlandami z ostrokrzewu i sztucznych poinsecji.

- Dawniej tego nie było - zauważyła Tira. - Teraz dom wygląda jeszcze ładniej.

- To dzięki Dorie. Gdy zamieszkała tu z Corriganem, zrobiła tu trochę, jak by to powiedzieć... zamieszania.

- Chyba nie wszystkim to się podobało.

- Znasz Callaghana. Jest trochę konserwatywny.

- Niech będzie, że trochę. I uparty. Wciąż nie jada wieprzowiny?

- A jakże - odparł Simon. - Obejrzał film o śwince, która mówi, i nie jada schabowych.

Tak trzyma do dzisiaj.

- Rozumiem go - mruknęła Tira pod nosem. - Sama byłam na tym filmie ze trzy razy.

Weszli do środka, gdzie zostali serdecznie powitani przez Corriganą i Dorie.

- Przyszliście w samą porę - powiedział Corrigan. - Leopold dolał wódki do ponczu i była wielka awantura. Kilkoro z naszych wielebnych i szanownych gości, wstyd powiedzieć, ale się upiło, a potem ktoś oskarżył Tessę, że zrobiła to specjalnie. Teraz ona pakuje walizki, a Leopold na kolanach błaga ją, by została. Sprawa jest poważna, jeśli bowiem Tessa odejdzie, nie będzie biskoptów na śniadanie i na Leopoldzie wykonany zostanie wyrok śmierci. Ostry topór czeka w szopie, pieniek też się znajdzie.

Oczy Corriganą załśniły, Tira zachichotała, a Simon roześmiał się na cały głos.

- Takiego przedstawienia nie można przepuścić - . powiedział. - Chodźmy do kuchni.

Gdy tam weszli, ujrzeli Leopolda klęczącego przed szczupłą, rudowłosą i naprawdę wściekłą osobką. Callaghan stał obok i coś mówił, a Rey przyglądał się bez słowa.

- Odchodzę - powtarzała gosposia. - Żeby zrobić coś takiego! I jeszcze potem się śmiał!
- oskarżycielskim tonem zwróciła się do Simona. - Co sobie goście o mnie pomyślą.

- Teraz już nic, bo większość wyszła - odparł Corrigan. - Jutro będziemy musieli przez cały dzień dzwonić i przepraszać. A ty, Leo, jeśli nie przebłagasz Tess, szykuj się na najgorsze. Więc bierz się do roboty. A my idziemy się bawić. Poncz już jest bezpieczny. Sam zrobiłem nową porcję - zwrócił się do, Simona i Tiry.

- Ktoś mi mówił, że nie rozmawiacie ze sobą - powiedział Rey, patrząc na nich ze zdziwieniem.

- Takie tam małe nieporozumienie! - odparł Simon lekkim tonem. - Już dawno o tym zapomnieliśmy.

Spróbowali ponczu, który tym razem okazał się naprawdę bezalkoholowy. Dorie była w ciąży i promieniała szczęściem.

- Już straciliśmy nadzieję - mówiła. - A tu nagle taka niespodzianka.

- A więc będę wujkiem - powiedział uradowany Simon. - Widziałem w sklepie wielką kolejkę elektryczną. Muszę ją kupić. Dla dzieci nie ma większej frajdy. Myśmy też mieli taką.

Przez chwilę bracia wspominali dawne czasy, a Tira pomyślała, że kolejka z wystawy w San Antonio już nie jest do kupienia. Może powiedzieć o tym Simonowi? Ale po co?

Lokalny zespół zaczął grać wolną, nastrojową melodię, a Simon wziął ją w ramiona i poprowadził na parkiet. Tira drgnęła, gdy poczuła ucisk protezy na plecach.

- Za mocno? - spytał zatroskany. - Przepraszam. Wciąż nie potrafię ocenić, jakiej siły mam użyć.

- Nic się nie stało. Wcale mnie nie zabolalo - odparła.

- Wiesz, jesteś jedyną kobietą, która widziała mnie bez tego urządzenia - zauważył

ciepłym tonem. - Wtedy, w szpitalu, na samym początku... gdy leżałem jak kłoda...

- Ty chyba zapominasz, jakie miałeś szczęście - przerwała mu Tira gwałtownie. - Gdyby znaleźli cię godzinę później, wykrwawiłbyś się na śmierć.

- Od początku byłaś przy mnie - mówił dalej Simon, jakby pogrążył się we wspomnieniach. - Nauczyłaś mnie walczyć i żyję tylko dzięki tobie. A byłem w kompletnym dołku. Tak naprawdę to modliłem się o śmierć.

- Nie musisz o tym mówić. Wiem, ile Melia dla ciebie znaczyła.

Znowu te tajemnice, pomyślał Simon. To one powodują, że nie potrafimy się porozumieć. Trzeba zburzyć ten mur.

- Melia usunęła ciążę - powiedział. Tira przystanęła i zdumiona popatrzyła mu prosto w oczy.

- O czym ty mówisz?

- Zaszła w ciążę i usunęła ją, nic mi nie mówiąc - wyjaśnił. - Potem powiedziała, że nie chciała stracić figury. Oraz dodała, że wcale nie jest pewne, czy to ja byłem ojcem. Bo okazało się, że ma wielu kochanków. Wszystko to wyznała mi tamtej nocy. Jechaliśmy pustą szosą i nagle straciłem panowanie nad kierownicą. Tuż przed zderzeniem pomyślałem, że życie straciło dla mnie jakikolwiek sens. Bo umarły złudzenia.

- Jakie złudzenia? - spytała cicho.

- Moje małżeństwo było jednym wielkim złudzeniem - odparł i uśmiechnął się z gorzką ironią. - Ożeniłem się z samolubną, złą kobietą, której zależało tylko na pieniądzach. I na niczym więcej. Nie chciała mieć rodziny, dzieci, nie potrzebowała miłości, tylko forsy. Zimna ryba udająca orgazmy, bym wciąż jej pragnął. A tak naprawdę podniecało ją to, że gościła kolejnych kochanków w moim własnym łóżku.

Tira stała jak rażona gromem. Przez te wszystkie lata myślała, że Simon tęskni za Melią i że nie może pogodzić się z jej stratą. Wszyscy tak myśleli.

- Najbardziej zabolęło mnie to, że zabiła dziecko - powiedział Simon. - Uwierzyłem jej, kiedy twierdziła, że jest bezpłodna, a ona po prostu kłamała. Cała była jednym wielkim kłamstwem i tylko ja tego nie widziałem. Budowałem życie na łgarstwie i obłudzie. Okazałem się durniem.

- Przykro mi, że tyle wycierpiałeś - odezwała się Tira z oczami pełnymi łez. - To straszne.

- Kiedy to się stało, byłaś już żoną Johna, ale codziennie przychodziłaś do mnie do szpitala. Trzymałaś mnie za rękę i mówiłaś do mnie. Zmusiłaś mnie do życia. Zawsze myślałem, że przeze mnie opuściłaś Johna, i czułem się winny.

- To nie przez ciebie - powiedziała, odwracając wzrok. - Były zupełnie inne przyczyny.

- Czy kochałaś go, przynajmniej na początku? - spytał niepewnym głosem.

- Tak mi się wydawało - przyznała. - I bardzo, ale to bardzo chciałam, żeby w naszym małżeństwie wszystko ułożyło się jak najlepiej. W końcu pomyślałam... - głos jej się załamał - że może nie jestem atrakcyjna jako kobieta.

- Nie płacz - powiedział cicho. - Jesteś wspaniała. Piękna, cudowna... Przysuń się bliżej, a zaraz ci to udowodnię.

- Simon... Przycisnął ją mocniej, tak że prawie nie mogła złapać tchu.

- Tak bardzo ciebie pragnę - szepnął. - Ledwo cię dotknąłem i już... To dla mnie zupełnie coś nowego. Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie i przykro mi, że akurat twój mąż... nie, do cholery, wcale nie jest mi przykro. Cieszę się, że nigdy nie byliście razem.

Patrzyła na niego, zaskoczona, nie do końca rozumiejąc, co powiedział. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu. Ale nikt ich nie mógł usłyszeć.

- Dzisiaj otworzyliśmy puszkę Pandory, nie sądzisz? - szepnął jej do ucha. - Widzisz, pragniemy się wzajemnie.

- Ja... ja nie mogę - odparła Tira, z trudem przelękając ślinę.

- Dlaczego? Zawahała się, ale postanowiła brnąć aż do końca.

- Nie pamiętasz? Już ci to mówiłam. Nie bawię się w miłosne przygody - powiedziała stanowczo.

- Nie bawisz się w miłosne przygody? - powtórzył Simon głosem pełnym gniewu, kpiny i maskowanej zazdrości. - A jak w takim razie nazywasz to, co łączy cię z Charlesem Percym?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tira przestała tańczyć. Właściwie nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się zdenerwowała. Przecież Simon od dawna podejrzewał ją o romans z Charlesem, a ona nigdy temu nie zaprzeczyła. Poza tym pozwoliła, by między nią a Simonem wydarzyło się coś, co pozwalało mu przypuszczać, iż Tira prowadzi bujne życie. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby dowiedział się prawdy. Że przez te wszystkie lata tak rozpaczliwie i beznadziejnie marzyła o nim, iż nie chciała nikogo innego.

- Proszę bardzo - powiedział Simon z dziwnym błyskiem w oczach. - Możesz zaprzeczyć?

- Myśl sobie, co chcesz - odparła. - I tak wszystko wiesz najlepiej. Pamiętaj tylko, że nie masz żadnego prawa, żeby w ten sposób wypytywać mnie o Charlesa.

- Jak to, nie mam prawa? Po tym, do czego doszło między nami?
- To chwila słabości... - zaczęła i oblała się rumieńcem.
- Akurat, chwila słabości - zadrwił. - Byłaś podniecona jak wszyscy diabli. Co się stało?

Przestaliście to robić?

- Przestań - poprosiła. - Nie dzisiaj. Poczula, że Simon mocniej ściska jej rękę.
- A więc myślisz teraz o nim?
- Boże, nie! Z napięciem wpatrywał się w jej oczy.
- Nie tylko ja byłam podniecona - powiedziała cicho, z zawstydzieniem.
- Masz rację - odparł i pochylił się do niej. Zaczęli znów poruszać się w rytm muzyki.

Zdziwiło ją, że Simon tak otwarcie przyznał, iż też jej pragnął. Chyba weszli w jakiś nowy, poważniejszy etap znajomości. Nie bardzo wiedziała, co ma w tej sytuacji zrobić, jak się zachować, a poza tym nie ufała mu za grosz. Lecz nowe uczucie było tak przyjemne, że nie mogła mu się oprzeć. Niech się dzieje co chce! Przytuliła się do Simona i położyła dłoń na jego piersi. Zadrzał, a ona zdziwiła się, że tak gwałtownie zareagował na tę niewinną pieszczotę.

- Lepiej teraz tego nie rób - szepnął jej do ucha. Oparła się głową o jego pierś i zamknęła oczy z cichym westchnieniem.

- Jestem śpiąca - mruknęła.
- Chcesz jechać do domu?
- Dopiero niedawno przyjechaliśmy.
- Co z tego? Ja też miałem ciężki tydzień. Dyskretnie się pożegnamy i uciekniemy.

Odnaleźli Corrigan i poprosili, żeby przeprosił pozostałych w ich imieniu.

- Wciąż próbują przekonać Tess, żeby nie odchodziła - powiedział Corrigan ponuro. - Mam nadzieję, że im się uda, bo Dorie nie może teraz zajmować się biskoptami. Już sam ich zapach przyprawia ją o mdłości - dodał, patrząc na żonę z czułością.

- Życzę powodzenia - odparł Simon. - Dziękujemy wam serdecznie za gościnność. Może za rok ja coś zorganizuję i zaproszę was wszystkich?

- Trzymam cię za słowo - odparł brat. Przyjrzał się obojgu uważnie. - I co? Zawarliście rozejm?

- Na chwilę - powiedziała Tira z uśmiechem.
- Na zawsze - sprostował Simon.

- To jeszcze się okaże. Wyszli i Simon poprowadził samochód do San Antonio, ale zamiast odwiedzić Tirę do domu, pojechał prosto do swojego mieszkania. Dziwiła się sama sobie, ale nie zaprotestowała. Widocznie wygrała w niej ciekawość.

- Dlaczego o nic nie pytasz? - zagadnął Simon, kiedy wysiadali z windy.

- Myślę, że mi sam wszystko powiesz - odparła Tira, ale wzrok miała niepewny.

- Nie masz się czego bać - powiedział, otwierając drzwi. - Przecież nie uwiodę cię wbrew twojej woli. Wszystko zależy od ciebie.

Tira znowu oblała się rumieńcem. Jak długo jeszcze będzie aż tak naiwna? Jednak weszła do mieszkania.

Nigdy tu nie była. W przeszłości wiele razy liczyła, że Simon ją zaprosi do siebie, ale nigdy do tego nie doszło. Zazarcie bronił swojej prywatności. Nawet bracia nie wiedzieli o nim zbyt wiele.

Mieszkanie było obszerne i mieściło się na ostatnim piętrze. Kolorystykę utrzymaną w brązach i beżach ożywiały pomarańczowe akcenty. Na ścianach wisiało sporo obrazów, głównie pejzaży, meble były w stylu śródziemnomorskim. Tirze bardzo się tu spodobało.

Z czułością przesunęła palcami po wezglowiu wyściełanej, aksamitnej sofy, wykonanym z różanego drewna. Pozostałe meble też były antykami i na pewno kosztowały mnóstwo pieniędzy.

- Piękne - powiedziała.

- Miałem nadzieję, że ci się tu spodoba.

Nastąpiła chwila ciszy, a Tira czuła się coraz bardziej skrępowana. Spojrzała na Simona. Obserwował ją uważnie, czujnym wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie, bo się denerwuję - powiedziała ze śmiechem.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. Podszedł do niej, a ona czuła się tak, jakby szeptał jej do ucha coś dziwnego i podniecającego. Wyjął torebkę z jej dłoni i zdjął z ramion pelerynę, a potem wszystko to rzucił na sofę. Sam zdjął marynarkę, a potem ujął obie dłonie Tiry i dotknął nimi krawata.

Tira zawahała się, ale on jej nie puszczał. Zaczęła tracić oddech. Rozwiązała jego krawat i również cisnęła go na sofę, a następnie zabrała się do odpinania guzików koszuli.

Być może w tej ciszy, tak przytłaczającej, decydowały się losy tych dwojga samotnych ludzi. Lecz oni o tym nie myśleli, pochłonięci bez reszty chwilą obecną. Simon stał nieruchomo, Tira rozpiniała kolejne guziki koszuli, ale kiedy chciała ją zdjąć, Simon zaprotestował.

- Nie przejmuj się protezą - powiedziała. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że musiała oprzeć się o jego pierś. Wtedy pochylił się i pocałował ją. Inaczej niż poprzednim razem, spokojniej, delikatniej, bardziej uroczyście. Wpiła palce we włosy na jego piersi i wyprostowała się, jak tylko mogła, by być jak najbliżej jego ust.

Czuła, że ocalałą ręką zaczął rozpinąć suwak sukienki. Nie protestowała, kiedy zsunął ją z jej ramion, i pozwoliła, by materiał powoli opadł na podłogę. Również nie sprzeciwiła się, gdy odpiął jej stanik. Potem Simon pociągnął Tirę za rękę i zaprowadził do sypialni. Byłaumeblowana w podobnym stylu jak reszta mieszkania, a główne miejsce zajmowało wielkie łóżko.

Simon zatrzymał się na moment i zamknął drzwi, a potem spojrzał Tirze w oczy. Było w nich pragnienie, zmieszane z niepokojem. Wiedziała, co ma się stać, i chciała powiedzieć mu o tym, jak bardzo jest niedoświadczona, ale nie znalazła odpowiednich słów.

Podprowadził ją do łóżka. Tira sięgnęła do paska od jego spodni, które w chwilę potem opadły na podłogę. Simon usiadł na łóżku, żeby zdjąć buty i skarpetki.

- A koszula? - szepnęła.

Położył się obok i przez chwilę przypatrywał się jej w milczeniu.

- Trudno mi robić cokolwiek bez protezy, a nie chcę narażać cię na nieprzyjemny widok - odparł.

Przyglądała mu się z podziwem, gdyż z bliska wyglądał jeszcze lepiej. Uwielbiała patrzeć na niego, czuć dotyk jego ręki na swoich piersiach. Nagle, pod wpływem jego pieścizot, odrzuciła głowę do tyłu i wygięła ciało w łuk.

- Zgadzasz się? - spytał cichym, zniewalającym głosem.

- Simon... ja... sama nie wiem.

- Wiesz. Ja również wiem, że pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

Tira wahała się tylko przez moment.

- Tak - odparła. Na razie była w stanie powiedzieć tylko tyle. Jeszcze nie mogła powierzyć mu swego sekretu.

- Jesteś taka piękna - szeptał, dotykając jej. Pochylił się i chwycił wargami czubek jej piersi, a Tira zadygotała i wpiła mu palce we włosy. Simon z lekceważeniem pomyślał o Charlesie. Co z niego za kochanek, jeśli Tira co chwila wygląda na wystraszoną.

- Nic ci nie zrobię - zapewnił. Tym razem zareagowała spokojniej. Jęknęła tylko i lekko zadrżała. Simon długo pieścił ją w ten sposób - przechodził od jednej piersi do drugiej, ssał je i delikatnie drażnił, a ona nawet nie zauważyła, kiedy zdjął jej majteczki. Za moment on również był całkiem nagi.

Tira nie całkiem zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje, tak była zafascynowana ich bliskością. Chciała dowiedzieć się wszystkiego, poznać rzeczy, których dotąd nie zaznała.

Przebudzenie było przerażające i bolesne. W jednej sekundzie przeskoczyła od

rozkosznego napięcia do dojmującego, ostrego bólu. Wbiła paznokcie w ramiona Simona i krzyknęła głośno, ale teraz wszystko działa się za szybko, wymknęło się spod kontroli. Simon nie mógł już się powstrzymać i naciskał coraz mocniej, a ona, chcąc jakoś uciec od tego bólu, kręciła się i próbowała go odepchnąć, co powodowało odwrotny efekt.

- Boli cię? - wyszeptał Simon. W jego wzroku malowało się cierpienie, ale teraz nie potrafił już przestać. - Boże... nie. Nie ruszaj się tak...

Jego twarz stężała. Poruszał się coraz szybciej, coraz mocniej, jakby chciał natychmiast doprowadzić wszystko do końca.

- Tiro... Boże... przepraszam... - powtarzał Simon przez zaciśnięte zęby, z zamkniętymi oczami, aż wreszcie wyrwał mu się głośny okrzyk i drżący, wyczerpany opadł na nią.

Był tak ciężki, że Tira oddychała z trudnością. Ciało miała spocone, obolałe. Z oczu popłynęły jej łzy. To, o czym tak śniła, nie było wcale wybuchem fajerwerków ani lotem ku nieziemskiej ekstazie. Zmuszona została do cierpienia, by sprawić przyjemność mężczyźnie. To potworne i obrzydliwe. Znienawidziła Simona, a siebie jeszcze bardziej, bo sama się na to zgodziła.

- Puść mnie - wyjąkała ze szlochem. Simon podniósł głowę i patrzył jej prosto w oczy z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Nawet nie próbowała zastanawiać się, co to może oznaczać.

- Charles Percy... - zaczął powoli, ostrożnie - z całą pewnością nie jest twoim kochankiem.

Tira oblała się rumieńcem.

- Nigdy nie mówiłam, że nim jest - odparła. Simon podparł się na protezie i zdrową ręką sięgnął tam, gdzie ich mokre od potu ciała wciąż jeszcze były złączone. Na jej udzie widniała rozmazana krew.

- Simon, to boli - wyszeptała, znów zawstydzona.

- Wiem - odparł spokojnie i zaczął ją pieścić, nie zwracając uwagi na to, że w pierwszej chwili chwyciła go za rękę.

Nagle Tirą zawładnęła fala niespodziewanej rozkoszy. Oddychając ciężko, znów chwyciła Simona za ramiona. Z zamkniętymi oczami jęczała nieswoim głosem i drżała pod jego ciężarem.

- Widzisz - wyszeptał. - To nie będzie bolało. Musisz otworzyć się przede mną, żebyśmy mogli poznać się nawzajem. Nauczę cię, jak odczuwać rozkosz.

Poruszał się powoli, rytmicznie, a ona, kurczowo w niego wczepiona, oplotła nogami jego ciało, jakby chcąc być jeszcze bliżej, jak najbliżej. Wciąż czuła ból, ale teraz on się nie liczył, przyćmiony nowymi i potężnymi doznaniem. Stała się częścią Simona, jego

własnością, w tej chwili należała do niego.

Szeptał coś, ale nie rozumiała jego słów, pochłonięta tym, co się działo w jej ciele, co nadchodziło coraz szybciej, a ona biegła mu na spotkanie, aż wreszcie doznała najwyższej rozkoszy...

Tym razem nie przeszkadzał jej jego ciężar, kiedy Simon wyczerpany opadł na nią. Trzymała go w objęciach, cała drżąca, dziwiąc się, że krew w jej żyłach dudni tak głośno.

Dużo później uniósł głowę i zajął jej w oczy.

- No i co? - odezwał się z uśmiechem. - Było dobrze, prawda?

Zawstydzona, wtuliła się w jego ramię.

- Miałem nadzieję, że to się nigdy nie skończy - powiedział, zanurzając twarz w jej włosach. - Jeszcze nigdy tak się nie czułem, przez całe moje życie.

W jego wzroku Tira ujrzała taką czułość, że ogarnęła ją fala wzruszenia. Dotknęła palcami twarzy Simona i delikatnie przesunęła je od brwi aż po podbródek. Wciąż milczała.

- Pewnie byłaś jedyną dwudziestoosmioletnią dziewicą w całym Teksasie - mruknął, patrząc na nią uważnie. - Czy to na mnie czekałaś?

Domyślił się od razu, ale ona za nic się do tego nie przyzna. Co to, to nie! Tego byłoby już za wiele.

- Widocznie nigdy nie spotkałam odpowiedniego faceta - odparła. - A ty pewnie straciłeś już rachubę, ile przez ostatnie lata miałeś kobiet?

- Od śmierci Melii przez cały czas byłem sam - odparł miękko, gładząc końcami palców jej policzek. - Spotykałem się z Jill, ale do niczego między nami nie doszło.

Tira nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Myślisz, że kobiety marzą o kochanku, który nie ma jednej ręki? To mnie bardzo krępowało. Za to z tobą zawsze czułem się swobodnie - dodał, patrząc jej w oczy. - Wiedziałem, że jeśli coś mi nie wyjdzie, nie będziesz się ze mnie śmiała.

- Nigdy - odrzekła.

- Teraz ty też wiesz o mnie wszystko - szepnął i uśmiechnął się.

- Tak.

- Przykro mi, że sprawiłem ci ból. Tak długo nie miałem nikogo, że straciłem kontrolę. Nie potrafiłem już się wycofać.

- Rozumiem.

- Przepraszam cię za te wszystkie okropne rzeczy, które dawniej o tobie mówiłem. Nawet nie rozumiesz, ile dla mnie znaczy to, że byłem twoim pierwszym mężczyzną - szepnął Simon, a Tira oblana falą gorącą.

Nagle drgnęła, przestraszona.

- Co się stało?

- Nie zastosowaliśmy niczego... żadnych środków.

- Byłem pewien, że bierzesz pigułki. Przecież myślałem, że ty i Charles...

- Jak widzisz, było inaczej - odparła, czerwieniąc się. Spojrzał na nią z uroczystą powagą.

- Jeśli okaże się, że jesteś w ciąży... Nie musiał mówić nic więcej. Wiedziała, o czym myśli, i przykryła mu usta dłonią.

- Przecież mnie znasz - odpowiedziała ze śmiertelną powagą na pytanie, którego nie odważył się zadać.

Simon westchnął z widoczną ulgą. Kiedy poruszył się, żeby położyć się obok, Tira jęknęła głośno.

- Boli?

- Tak - przyznała. - Przepraszam.

- To ja cię przepraszam. Jeszcze chwila i zaraz będzie lepiej - obiecał, unosząc się powoli. - Następnym razem już nic takiego się nie wydarzy. Od razu będzie wspaniale.

No cóż, jak widać, Simon planuje ciąg dalszy. To cudownie! Przeżyła tak piękne chwile... ale z drugiej strony oznaczałoby to, że powinna zgodzić się na rolę stałej kochanki. A ona na to nigdy się nie zdecyduje. To prawda, raz się zapomniała i niczego nie żałuje. Ale ma swoje zasady i zamierza żyć zgodnie z nimi.

- Dojdiesz do siebie za dzień lub dwa, a wtedy nauczę cię wszystkiego - szepnął Simon sennym głosem, gładząc ją po ręce. - Od razu to zauważyłem, już przy naszym pierwszym pocałunku - dodał. - Poddawałaś mi się, ale nic poza tym. Ale zobaczysz, jak wiele kobieta może dać mężczyźnie... i jak wiele mężczyzna może dać kobiecie.

- Nie wiedziałam, co mam robić - przyznała Tira., Simon przeciągnął się z westchnieniem i przytulił ją do siebie.

- Zapomniałem już, jak to jest, kiedy czuje się bliskość drugiej osoby - powiedział cicho. - Nigdzie cię nie odwiozę. Zostaniesz tutaj.

- Ale ja...

- Żadnych ale! Jesteś moja i nigdzie cię nie puszcę. Powiedział to bardzo władczym tonem. Być może mężczyźni po miłosnym spełnieniu zawsze tak się zachowują, pomyślała Tira. Ale naprawdę nic nie wiedziała na ten temat. Simon leżał na boku, żeby móc ją obserwować.

- Trudno, stało się tak, jak się stało - powiedział nagle.

- Popiełniłem w życiu wiele błędów, ale ten był chyba największy. Ale nie martw się, nadrobię to - powiedział, kładąc dłoń na jej brzuchu. - Jeśli okaże się, że będziesz miała dziecko, na pewno nie będziesz wychowywała go samotnie. Ożenię się z tobą tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Jego słowa wytrąciły Tirę z równowagi. Najpierw Simon planuje, że będą żyć w grzechu i poznawać tajniki seksu, a potem mówi, że się z nią ożeni. W gruncie rzeczy były to formalne oświadczenia. Zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie chcesz mojego dziecka? - spytał wprost, ale z taką czułością w głosie, że w oczach Tiry zakręciły się łzy.

- Tak, och, tak! - wyszeptała i przestała się wahać. Przyglądał się jej, wodząc wzrokiem po jej ciele i gładząc palcami delikatną skórę.

- W takim razie nie stosujemy niczego - zapowiedział. Znów przez chwilę leżeli w milczeniu, ale zbyt wiele pytań cisnęło się im na usta.

- Dlaczego się zgodziłaś? - spytał nagle.

- Myślałam, że wiesz - odparła.

- Wciąż mam taką nadzieję. Wbrew pozorom, wcale nie miałem zamiaru zaciągnąć cię do łóżka. Chciałem całować się z tobą, może posunąć się trochę dalej, ale ty byłaś jak owieczka prowadzona na rzeź - mówił, jakby wciąż dziwił się temu, co zaszło. - Ani razu nie zaprotestowałaś. Dopiero kiedy cię zabolowało... - Podniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że sprawię ci ból. Krzyknęłaś i zaczęłaś się wyrywać, a ja zupełnie straciłem kontrolę. Nie mogłem już się zatrzymać...

- Ale... to chyba normalne za pierwszym razem, prawda? - spytała Tira niepewnie. - Zdaje się, że niektóre kobiety przechodzą przez to łatwiej, a inne trudniej. Widocznie mam pecha, bo należę do grona tych drugich.

- Za żadne skarby nie mógłbym cię skrzywdzić - oświadczył Simon. Widocznie to nie dawało mu spokoju. - Tak pragnąłem, żebyś odczuwała to co ja i miała wrażenie, że słońce ogarnia cię całą i wreszcie wybucha. - Bawił się jej włosami, pieścił wargami skórę. - Kiedy cię dotykam, przepelnia mnie czułość. Chciałbym, żebyś też ją odczuwała, żeby spłynęła na ciebie. Przez to, że przez całe lata nie byłem z kobietą, zachowałem się jak zwierzę. Myślałem, że masz duże doświadczenie...

Tira pochyliła się nad nim i obsypała czułymi pocałunkami zamknięte powieki, policzki, nos, usta. Całowała go, żeby go pocieszyć, aby czuł to, czego głośno jeszcze nie powiedziała.

- Przecież pragnąłeś mnie, a ja ciebie - szepnęła. - Poza tym za drugim razem było tak

cudownie...

- I tak będzie już zawsze, przysięgam - odpowiedział, tuląc ją w ramionach.

Tira uśmiechnęła się sennie. Być może Simon jej nie kocha, ale na pewno nie chodzi mu tylko o seks. To, co mówił przedtem, utwierdziło ją w jednym - Simon proponował jej małżeństwo, a ona powinna się zgodzić. Już w tej chwili łączyło ich wiele, mają więc chyba jakieś szanse.

- Simon? - szepnęła.

- Mhm?

- Wyjdę za ciebie.

- Spróbowałabyś tylko mi odmówić - odparł, obejmując ją mocniej.

Tira też przytuliła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Jej palce musnęły pasek, którym przymocowana była proteza.

- Dlaczego jej nie zdejmiesz? - spytała. Simon drgnął i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Usiadła, tym razem nie przejmując się swoją nagością, i pomogła mu zrzucić koszulę z ramion. Potem patrzyła, jak Simon odczepia paski i odkłada na bok protezę. Przygarnęła go do siebie.

- Czy wciąż jeszcze ją czujesz?

- I ją, i nie tylko ją - odparł z dziwnym błyskiem w oku, aż Tira zrozumiała, co miał na myśli.

Leżeli objęci, przyglądając się sobie wzajemnie.

- Naprawdę ci to nie przeszkadza? - spytał wreszcie.

- A tobie przeszkadzałoby, gdybyś był na moim miejscu?

- Nie. Myślę, że nie - odparł po chwili.

- No to masz odpowiedź. Jestem śpiąca - dodała, ziewając.

- Ja też. Zgasił lampkę i okrył kołdrą ich oboje.

- Simon?

- Tak?

- Czy ty masz gosposię?

- Mam. Przychodzi we wtorki i czwartki, a dzisiaj jest sobota. Spij. Poza tym jesteśmy przecież zaręczeni, prawda?

- Tak, jesteśmy zaręczeni.

- Możemy zaraz w poniedziałek złożyć papiery i poprosić o termin, powiedzmy na czwartek. Kogo byś chciała mieć za świadków?

- Chyba należałoby poprosić o to twoich braci - odparła z wahaniem. - Ale czy jesteś pewien, że tego chcesz?

- Oczywiście, że jestem pewien. Ty też jesteś pewna. A teraz pora spać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy rano się obudzili, nie mieli ochoty wstawać, ale z łóżka wypędził ich głód. Wzięli prysznic i zabrali się do szykowania śniadania. W świetle dnia Tira czuła się trochę skrępowana, co ogromnie podobało się Simonowi. Patrzył, jak ona smaży bekon i jajecznicę, podczas gdy sam przygotowywał kawę. Tira miała na sobie jedną z jego koszul, on zaś był ubrany tylko w spodnie.

- Jesteśmy dobraną parą - zażartował. - Ładnie ci w moich koszulach. Lubię, kiedy tak chodzisz.

- A ja lubię, kiedy jesteś bez koszuli - odparła. Simon nie założył protezy i widać było, że jest to dla niego dość trudne. Odstawiła więc patelnię z ognia, podeszła do niego i otoczyła ramionami.

- Zawsze jesteś tym samym Simonem - powiedziała cicho. - Dla mnie to bez znaczenia. Chcę, żebyś o tym wiedział. Co najwyżej mogę mieć pretensję do losu, że przytrafiło się to” właśnie tobie, że cierpiełeś i byłeś bliski śmierci. Lubię patrzeć na ciebie, na twoje ciało.

Simon uśmiechnął się ze wzruszeniem i to wystarczyło z całą odpowiedzi. Przez chwilę nad czymś głęboko się zastanawiał, aż wreszcie powiedział:

- To wszystko jest nie tak, jak należy. Powinienem zabrać cię do luksusowej restauracji, obsypać różami i czekoladkami budzić cię telefonami i opowiadać o swoich uczuciach... Na koniec powinienem kupić pierścionek i oświadczyć się. Wszystko popsulem. Zabrakło mi cierpliwości, więc przy pierwszej okazji zaciągnąłem cię do łóżka.

- Simon, jest wspaniale. Naprawdę czuję się szczęśliwa - powiedziała Tira, zaskoczona i wzruszona jego wyrzutami sumienia.

- Przepraszam - dodał i pocałował ją w czubek głowy. Uśmiechnęła się i przytuliła mocniej.

- Kocham cię - powiedziała. Słowa te uderzyły Simona jak obuchem. Kurczowo zacisnął dłoń na ramieniu Tiry. Poczul się strasznie. Nagle przypomniał sobie te wszystkie lata, gdy lekceważył i pogardzał Tira. Przypisywał jej najgorsze cechy i intencje, w okrutny sposób utrzymywał między nimi dystans, nie pozwalał zbliżyć się do siebie. Zmarnował i jej, i sobie tyle lat...

Patrzyła na niego zdumiona i przerażona. Czy tak ma wyglądać szczęśliwy narzeczonny? Dziwny, bolesny wyraz jego oczu. I ten sztuczny uśmiech.

- Zjedzmy śniadanie - powiedział.

- Dobrze. Jedli w zupełnej ciszy, a potem Tira włożyła naczynia do zmywarki, zaś on zniknął w sypialni. Domyśliła się, że poszedł się ubrać, a ona również powinna zrobić to samo.

Nie rozumiała, co mu się stało. Czyżby oświadczył się jej pod wpływem nastroju chwili, a teraz tego żałuje? Koleżanki nieraz opowiadały jej z płaczem, jak godziły się na seks tylko dlatego, że uwierzyły w miłosne deklaracje swoich partnerów. A rano okazywało się, że chodziło tylko o tę jedną noc. O „zaliczenie” kolejnej panienki. Czyżby i ona znalazła się w takiej samej sytuacji? Czyż znów, tym razem ostatecznie i nieodwołalnie, została poniżona i zbrukana? Potraktowana jak naiwna nastolatka?

W nocy wszystko było takie piękne i wzniosłe, lecz rano okazał się pospolity i przygnębiający. Spojrzała w lustro i zobaczyła twarz kobiety smutnej, zrozpaczonej i pozbawionej nadziei. Gdzie podziała się ta dziewczyna, która wczoraj wieczorem promieniała szczęściem?

Simon stanął w drzwiach. Był całkowicie ubrany, miał nawet założoną protezę.

- Odwiozę cię do domu - powiedział.

- Tak będzie najlepiej - odparła, starając się nie patrzeć na niego.

Jechali w krępującej ciszy. Kiedy Simon zatrzymał samochód przy domu Tiry i chciał zgasić silnik, powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie musisz odprowadzać mnie do drzwi - rzekła oficjalnym tonem. - Dziękuję za podwiezienie. Na razie.

Szybko wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki i pobiegła do domu. Trzęsącą się dłonią usiłowała włożyć klucz do zamka, chociaż niewiele widziała przez łzy. Chciała jak najprędzej zostać sama. Okazało się jednak, że Simon stał tuż za nią. Odebrał jej klucze i sam otworzył drzwi.

- Nie... proszę - wyjąkała.

Wziął ją w ramiona, przycisnął do siebie i trzymał, delikatnie kołysząc i całując jej włosy.

- Nie płacz, kochanie - szeptał drżącym głosem. - Proszę, przestań. Wszystko będzie dobrze.

Jego słowa sprawiły, że łzy z oczu Tiry popłynęły jeszcze obfitszą strugą. Wreszcie nieco się uspokoiła. Simon był głęboko poruszony jej gwałtowną reakcją.

- Ile dałbym za to, żeby móc wziąć cię na ręce i zanieść do łóżka - powiedział gniewnie, podtrzymując ją i prowadząc w głąb mieszkania.

Usiadł na sofie i pociągnął Tirę na swoje kolana. Oparł ją na jednym ramieniu, a zdrową

ręką sięgnął po chusteczkę i wytarł jej łzy.

- Wiem, o czym myślałaś - oświadczył z lekką irytacją w głosie. - Wszystko miałaś wypisane na twarzy. Boże drogi, myślisz, że mnie nie jest przykro?

- Rozumiem - odparła głosem przerywanym przez szloch.

- Nie potrafiłam powiedzieć „nie”. To moja, a nie twoja wina.

- O jakiej winie ty mówisz? O co ci chodzi? - spytał zdziwiony.

- Że mnie uwiodłeś.

- Ja? To ja ciebie uwiodłem?!

- A kto? Krasnoludki? Simon, ta rozmowa nie ma sensu. Ja...

- Chwileczkę! Nikt nikogo tu nie uwiódł! Oboje tego pragnęliśmy. Nie mówiłaś, że nie chcesz, wręcz przeciwnie, dążyłaś do tego. Wręcz to powiedziałaś. Więc nie mów, że cię uwiodłem, bo to nieprawda.

- To o co ci chodzi? - spytała, oblewając się rumieńcem.

- Dlaczego jest ci przykro?

- Po miłosnej nocy odstawiam cię do twojego domu, jakbyś była łatwą panienką zgarniętą z przyjęcia na szybki numer. Czuję się podle z tego powodu. Nie potrafiłem zadbać, by wszystko wyglądało tak, jak na to zasługujesz.

Który to już raz w ciągu minionych dwóch dni udało mu się ją zaskoczyć? Tira nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Wszystko w porządku. Jesteś już w domu - powiedział, dotykając jej nieumalowanych warg. - Włóż jakieś dzinsy i bluzę. Pojedziemy do Jacobsville i pojeździmy konno, a potem urządzimy sobie piknik.

- Konno?

- Przepraszam, to głupi pomysł - powiedział, wodząc wzrokiem po jej ciele i uśmiechając się znacząco.

- Simon, przestań! - zawołała, oblewając się rumieńcem.

- Nie musisz się przede mną wstydzić. Domyślam się, jak cię tam boli.

- Tak, trochę... - przyznała, nie patrząc na niego.

- W takim razie pojedziemy na piknik samochodem - zarządził stanowczo.

Podniosła na niego wzrok. Simon wydał jej się dzisiaj inny niż zwykle. Starszy, ale za to spokojniejszy, bardziej odprężony. Dotknęła palcami srebrnej smugi w jego włosach.

- Mam prawie czterdzieści lat - powiedział.

Przez chwilę znów zbierało się jej na płacz. Tyle czasu zmarnowali tylko dlatego, że nie potrafili zdobyć się na szczerą rozmowę. A teraz on dobiega czterdziestki, a ona trzydziestki.

Nie wolno im stracić nawet jednego dnia.

Simon przycisnął ją do piersi i gładził po włosach. Myślał o tym, jak bardzo się mylił w ocenie Tiry. Przez lata uważał ją za osobę lekkomyślną, upartą, niezależną i absolutnie samolubną. Teraz leżała w jego ramionach jak bezradne dziecko, delikatne i ufne, oddane mu całkowicie i potrzebujące jego pomocy.

Pocałował ją, najpierw delikatnie i czule, potem coraz mocniej i bardziej zmysłowo. Obojgu wyrwał się z ust zduszony jęk, więc oderwali się od siebie i przyglądali sobie nawzajem. Simon chciał coś powiedzieć, gdy nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Drgnęli oboje, bo tak było to nagłe i niespodziewane.

- To chyba pani Lester - powiedziała Tira niepewnie.

- W niedzielę? Mówiłaś, że weekendy spędza u siostry.

Nie, to nie mogła być jej gosposia. Tira szybko wstała i poszła w kierunku drzwi. Miała dziwne uczucie, że za chwilę stanie się coś złego.

Nie myliła się.

W progu stanął Charles Percy. Przygarbiony, z rękami w kieszeniach, wyglądał z dziesięć lat starzej niż zwykle.

- Charles! - wykrzyknęła.

- Czy nie za wcześnie na wieczorową suknię? - odezwał się, unosząc pytająco brwi. - Chyba nie wracasz o tej porze do domu?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to tak. Oboje obejrzeni się. W drzwiach do salonu stał Simon. Tira jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Wyglądał naprawdę groźnie.

- Nie za wcześnie na niespodziewaną wizytę? - spytał ironicznie.

- Muszę porozmawiać z Tirą - odparł Charles, który najwidoczniej niczego nie zauważył. - To pilne.

Simon machnął ręką, co miało oznaczać, żeby Charles szybko powiedział, o co chodzi.

- Sam na sam - dodał Charles, patrząc na Simona z naciskiem. - A właściwie co ty tutaj robisz?

Przez ostatnie dni prawie nie wychodził ze szpitala, nie wiedział więc o niczym. Myślał, że Simon i Tira wciąż są skłóceni.

- Dziwię się, że Tira w ogóle z tobą rozmawia po tym, jak ty i twoja przyjaciółka potraktowaliście ją na balu.

Tira zdążyła już zapomnieć o Jill. Teraz Charles przywołał dawne upiory. Gdy więc spojrzała na Simona, powróciło dawne uczucie wstydu i poniżenia.

Simon pomyślał, że być może w tej chwili ostatecznie traci Tirę. Charles, wspominając

o nieszczęsnej Jill, przekreślał to wszystko, co z takim trudem udało im się przez ostatnią dobę stworzyć. Patrzył więc na niego z nienawiścią i wściekłością.

- Jill to przeszłość - powiedział.

- Naprawdę? - spytał Charles z ironią. - Nie bądź śmieszny. Przecież wszyscy już wiedzą, że się jej oświadczyłeś. Jill biega po całym mieście i zaprasza gości na wesele. Wprawdzie nie ustaliliście jeszcze terminu ślubu, ale ma to być niebawem.

Tira zbladła jak ściana. Odwróciła się, nie chcąc patrzeć na Simona.

- Chyba pora, żebyś dał jej trochę spokoju, nie sądzisz? - spytał Charles, otwierając szerzej drzwi.

- Tiro, chcesz, żebym wyszedł? - zwrócił się do niej Simon.

- Myślę, że tak będzie najlepiej - odparła, wciąż nie patrząc na niego.

Głos miała słaby i drżący. Dawna Tira skoczyłaby z pazurami, pomyślał. Jednak teraz jest bezbronna i zdruzgotana. Ale Jill przecież kłamie. Robiła to już tyle razy, Tira powinna o tym pamiętać. Czy to, co ostatniej nocy zaszło między nimi, już się nie liczy? Dlaczego tak chętnie słucha Percy'ego?

A może ona kocha Charlesa? Wczoraj uległa Simonowi, bo miała chwilę słabości, a teraz chce się wycofać. I jako pretekst wykorzystuje Jill.

- Simon, idź, proszę - odezwała się.

Kłamał, cynicznie i okrutnie kłamał. Zasypał ją pięknymi słówkami, roztoczył przed nią wspaniałe iluzje. I po co to wszystko? Dla kilku nocy? Pojechaliby na piknik, gdzie znów by się kochali.

Ale po powrocie do San Antonio i tak dowiedziałyby się prawdy. Jill, ciągle ta Jill! No cóż, widocznie dobrali się z Simonem jak w korcu maku. Pasują do siebie. Są siebie warci.

Spojrzała na niego. Znów zaczęła się w niej budzić dawna Tira.

- Simon, drzwi są otwarte, nie widzisz? - powiedziała stanowczo.

Obrzucił ją lodowatym wzrokiem. Spojrzawszy na Charlesa, zrozumiał nagle, na czym polega przemożna chęć mordy. Sztywno się uklonił i wyszedł.

Tira przebrała się w dżinsy i sweter, a potem zaparzyła kawę. Nie chciała myśleć o tym wszystkim, bo bała się, że zwariuje. Simon i Jill... Simon i Jill...

- Co się stało? - zapytał Charles wprost.

- Nic takiego - odparła, siląc się na lekki ton. - Jesteś zaręczony, a potem nagle szczęście pryska jak bańka mydlana.

- Tiro? Co ty mówisz? O Boże, to moja wina! - Charles złapał się za głowę. Dopiero teraz dotarło do niego, co oznaczała wieczorowa suknia Tiry, a potem gniew Simona. - Co ja

narobiłem! Dlaczego zawsze muszę wsadzić nos tam, gdzie nie trzeba? Co mnie, do diabła, podkusiło...

- Jeżeli Jill mówi, że Simon się jej oświadczył, to chyba jest to prawda - odparła, wzruszając ramionami. - Przecież nie odważyłaby się kłamać w tak ważnej sprawie. Nawet ona musi znać jakieś granice. To musi być prawda! Czuję się jak ostatnia idiotka. Boże, co za upokorzenie...

- Po co ja tu przychodziłem! - lamentował dalej Charles. - Czemu się wtrącałem w wasze sprawy. Tiro, to wszystko może wyglądać zupełnie...

- A właściwie po co przyszedłeś? - przerwała mu gwałtownie, by zmienić temat.

- Dziś rano zmarł Gene - odparł Charles szorstkim głosem.

- Zostawiłem Nessę pod opieką pielęgniarki i załatwiałem sprawy związane z pogrzebem. Wpadłem, żeby cię poprosić o pomoc. Mogłabyś zostać z Nessą przez dzisiejszą noc? Nie powinna być sama, a ja, z oczywistych powodów, nie mogę...

- Chcesz, żebym pojechała do ciebie?

- A możesz?

- Oczywiście - odparła, odsuwając na bok swoje problemy. W tej chwili musi pomóc Charlesowi. - Tylko spakuję kilka rzeczy.

- Zawiozę cię. Nie musisz brać samochodu.

- A może Nessa przyjedzie do mnie? - zaproponowała Tira.

- Zajmiemy się nią z panią Lester.

- Świetnie! Ale to dopiero jutro, bo teraz śpi. Dostała jakieś środki na uspokojenie.

- Dobrze.

- Tiro, może zadzwonię do Simona i wytłumaczę mu wszystko? Wiesz, podejrzewam, że Jill jednak wymyśliła te zaręczyny. Przecież Simon nie mógł oświadczyć się wam obu. Tak postąpiłby tylko ostatni bydlak.

- A może on jest ostatnim bydlakiem? - odrzekła z gniewem. - Zresztą w tej chwili to nieważne.

Tira potrzebowała czasu, by przemyśleć to wszystko, a teraz była zbyt roztrzęsiona. Spakowała się, zostawiła kartkę dla pani Lester i wyszła.

Następnego dnia pani Lester zastała pusty dom i w pośpiechu nabazgrana kartkę, z której wynikało tylko tyle, że jej pracodawczyni pojechała do Charlesa. Kiedy więc zatelefonował Simon i wypytywał o Tirę, powiedziała mu, że spędziła noc u Charlesa i jeszcze nie wróciła.

- Aha, teraz jego kolej! - rzucił wściekle w słuchawkę i przerwał połączenie.

Szybko, żeby nie zostawić sobie czasu na myślenie, Simon zapakował torbę podróżną i zamówił najbliższy lot do Austin, żeby zobaczyć się z gubernatorem w sprawie propozycji objęcia stanowiska prokuratora stanowego.

Pogrzeb odbył się w środę. Ubrana w żałobny strój Nessa przez cały czas kurczowo trzymała się Charlesa i Tira ucieszyła się, że przynajmniej tych dwoje zmierza do bezpiecznego portu.

Natomiast jej sprawy przedstawiały się o wiele gorzej. Dowiedziała się, że Simon pytał o nią i kiedy usłyszał, że noc spędziła u Charlesa, wpadł we wściekłość. Z drugiej jednak strony, wzmianka o jego zbliżającym się ślubie z Jill pojawiła się w prasie. Tira miała wrażenie, jakby wstąpiła do mrocznego tunelu, który nie miał końca. Tak widziała swoje przyszłe życie.

Przez kilka dni pomagała Nessie porządkować rzeczy po zmarłym mężu, a Charles nie odstępował ich na krok. Kiedy nadeszła Wigilia, wymówiła się pilnymi zajęciami i została sama. Nie chciała ponurym nastrojem zakłócać rodzącego się szczęścia swoich przyjaciół.

Czuła się głęboko nieszczęśliwa. I po raz pierwszy w życiu straciła wszelką nadzieję.

Jednak ponieważ obiecała, że przyjedzie na wigilijną uroczystość do sierocińca, musiała na kilka godzin wziąć się w garść. Zabrała ze sobą dwa torty, które wcześniej upiekła przy pomocy pani Lester, i pojechała na Wigilię. Pozostali członkowie komitetu również się zjawili, przynosząc napoje i słodczyce oraz stosy kolorowo zapakowanych prezentów.

Była pewna, że Simon nie przyjdzie, i nie pomyliła się. Za to pokazała się Jill, ostentacyjnie obładowana całym naręczem upominków.

- Miło cię widzieć - odezwała się do Tiry. Mimo że Jill uśmiechała się słodko, starała się zbyt blisko nie podchodzić do rywalki, bowiem po pamiętnym incydencie z kawą po prostu się jej bała.

- Ja również się cieszę - odparła Tira. - Zapraszamy, przyłącz się do zabawy.

- Och, nie. Nie mogę zostać - powiedziała Jill pospiesznie.

- Wpadłam tutaj w zastępstwie Simona. Biedaczek cierpi na okropny ból głowy.

- Simon nigdy nie miewa bólu głowy - odrzekła Tira stanowczo. - Natomiast wywołuje go u innych.

- Myślałam, że wiesz, jak czuje się po podróży samolotem - powiedziała Jill z wyższością. - Ja w każdym razie musiałam kurować go wiele razy. A właśnie wczoraj wrócił z Austin, gdzie przyjął nominację na prokuratora stanowego. - Jill zamilkła i dla większego efektu dramatycznie westchnęła. - Wyobraź sobie, że będę na noworocznym przyjęciu u gubernatora. Nawet mam już sukienkę na tę okazję. Martwię się tylko tym, że, ponieważ Simon przyjął tę nominację, na kilka lat będę musiała przeprowadzić się do Austin, a tak lubię San

Antonio...

Tira zrozumiała, jakim koszmarem stało się jej życie. Gdyby jeszcze mogła cierpieć w samotności... ale nie, Jill zawsze ją gdzieś dopadnie, by zwierzyć się, jaka jest szczęśliwa z Simonem. Nawet gdy będą już zupełnie stare, ta jędrza przywlecze się do niej, postukując laską, by opowiedzieć, jakie pyszne ziółka zaparzyła mężusiowi... Patrząc na nią, Tira zrozumiała nagle, na czym polega przemożna chęć mordy.

- No to na razie! - zawołała Jill. - Muszę pędzić, bo Simon na mnie czeka. Bawcie się dobrze.

Trudno zrozumieć, jakim cudem Tirze udało się dotrzeć do końca zabawy. Robiła jednak wszystko, by nie zawieść dzieci, które tak cieszyły się z przyjęcia. Gdy pojawili się reporterzy z lokalnej telewizji, jak ognia unikała kamer, nie chciała bowiem, by jej znajomi zobaczyli, jak źle dziś wygląda. A zwłaszcza Simon, który zawsze oglądał wiadomości.

Wreszcie wróciła do domu. Przez całe przyjęcie czuła nudności, teraz wreszcie zamknęła się w łazience i wymiotowała chyba z pół godziny. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie miała takich mdłości, na pewno też nie zjadła niczego nieświeżego. Czyżby aż tak gwałtownie reagowała na stres?

Nagle oblała się zimnym potem. Matka opowiadała jej, że gdy była z nią w ciąży, wciąż przeżywała takie sensacje. A zaczęło się to na samym początku, zanim jeszcze lekarz stwierdził, że będzie miała dziecko.

Dwa tygodnie, pomyślała. Zupełnie tak samo jak u mamy.

Rozpaczliwie płacząc, padła na łóżko. Pragnęła mieć dziecko, było to jej największym marzeniem, ale... ale dlaczego jego ojcem ma być taki drań! Taki oszust i kłamca, bezczelny uwodziciel, człowiek pozbawiony skrupułów. Biedne maleństwo... będzie je wychowywać sama, a temu potworowi nie pozwoli się do niego nawet zbliżyć. Choćby godzinami skamlał przed progiem i błagał o wybaczenie.

Usłyszała ciche chrobotanie. Mysz, która przez ostanie dwa tygodnie nie dawała znaku życia, wróciła na dawne pozycje. Tira poczuła w sobie nagły przypływ energii. Wreszcie ma jakiś cel. A nawet dwa. Najpierw rozprawi się z myszą, a potem z Simonem!

Na obiad Tira kupiła koktajl mleczny, czuła się bowiem nieszczególnie i na nic innego nie miała ochoty. Ze szklanką w ręku poszła do pracowni. Ubrana w dzinsy i sweter, z niedbale zawiązanymi włosami, podświadomie ogłaszała, że tegoroczne święta jej nie dotyczą. Wprawdzie Charles i Nessa zapraszali ją do siebie, ale odmówiła. Będzie cierpieć w samotności.

Usiadła przy stole rzeźbiarskim i smętnie spojrzała na bryłę gliny. Zupełnie nie miała

nastroju do pracy, ale czymś musiała się zająć, by nie oszaleć. Nie samym cierpieniem człowiek żyje, pomyślała i bez przekonania nabrała mokrej gliny w dłonie.

Jak głupia, naiwna małolata dała się zwabić do mieszkania Simona. I sama się dopraszała o seks. Zresztą po śmierci Johna przez cała lata uganiała się za Simonem, wręcz prowokowała to, do czego wreszcie doszło. A powinna zapomnieć o tym facecie i zbudować sobie sensowne życie. Sama prosiła się o nieszczęście, więc ma za swoje. Tyle lat kochać się w mężczyźnie, który miał ją za nic... który jej nie potrzebował. No, może jednak potrzebował. Na jedną noc. A potem ożeni się z Jill...

Położyła dłonie na brzuchu i westchnęła. Przynajmniej będzie miała dziecko. Powinna zrobić test, ale i tak już wiedziała. Ciekawe, czy będzie to synek, czy córeczka? I do kogo będzie podobne? Do niej czy do Simona?

Usłyszała głośne pukanie do tylnych drzwi i zmarszczyła brwi ze zdziwienia. Większość znajomych dzwoniła od frontu. Niemożliwe, żeby to byli Charles i Nessa, a już na pewno nie Simon. No to kto? Zabłąkany przechodzień?

Ze szklanką w ręku podeszła do drzwi i uchyliła je, nie odpinając łańcucha.

Za progiem stał Simon i patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Miał podkrążone oczy i zmęczoną twarz. Ubrany był w garnitur i białą koszulę z krawatem.

- Jest Boże Narodzenie - powiedział. - Mogę wejść? Pomyślała, że jej strój zupełnie nie pasuje do jego eleganckiego ubioru, ale wzruszyła ramionami.

- Proszę - odparła głucho i wpuściła go do środka, rozglądając się wokół.

- Sądziłaś, że kogoś przyprowadzę?

- Wydawało mi się, że ostatnio prawie nie rozstajecie się z Jill. Och, przepraszam. Nic mi do twojego prywatnego życia.

- Skoro już mówimy o prywatnym życiu, to gdzie podziewa się Charles? - spytał Simon ze złośliwym uśmiechem.

- Z Nessą, oczywiście - odparła ze zdziwieniem.

- Czemu on wciąż u niej tak przesiaduje?

- Jej mąż nie żyje, a ona teraz potrzebuje Charlesa bardziej niż kiedykolwiek. Przecież on ją od dawna kocha - wyjaśniła, widząc, że Simon niczego nie rozumie. - Gene koniecznie chciał ożenić się z Nessą, bo liczył, że ona odziedziczy po swoim ojcu agencję handlu nieruchomościami. Jakoś udało mu się ją omotać, a potem ojciec Nessy zbankrutował i jej życie stało się prawdziwym piekłem. Gene mścił się na niej, obwiniał o wszystkie swoje niepowodzenia, a ona była zbyt słaba, żeby od niego odejść. Zwłaszcza że wiedziała o jego chorym sercu. Natomiast Charles kochał ją bez pamięci i przez te wszystkie lata bardzo się

wycierpiał. Teraz chcą się jak najprędzej pobrać.

- Pojechałaś do niego na noc...

- Pojechałam do niego, żeby zostać z Nessą. To było zaraz po śmierci jej męża. Nie umiała dojść do ładu z sobą i potrzebowała psychicznego wsparcia - odparła Tira cicho, nie patrząc na Simona.

Stał jak rażony gromem, myśląc o tym, że po raz kolejny zrobił coś niewybaczalnego. Wprawdzie skończył studia z pierwszą lokatą, ale wobec Tiry zachowywał się jak skończony bałwan.

- A w ogóle po co przyszedłeś? - usłyszał nagle jej zaczepny głos. - Sądziłeś, że mogę się zastrzelić? Zbytek łaski, niepotrzebna troskliwość. Mam się całkiem nieźle i dobrze mi się żyje. W każdym razie wreszcie odzyskałam spokój. Więc o co chodzi? Tylko proszę, streszczaj się.

Simon spojrział na szklankę z mlecznym napojem.

- Co to jest? - zapytał.

- Mój obiad - odparła krótko. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest blada..

- A gdzie tradycyjny indyk?

- Nie mam apetytu.

- Czyżby? - zapytał z nagłym błyskiem w oku. Cisnęła w niego koktajlem i natychmiast tego pożałowała, ponieważ Simon zdążył się uchylić. Niestety, nie trafiła go i jeszcze będzie musiała ganiać ze ścierką, by wytrzeć rozbryzgany po całym pomieszczeniu napój. To ostatecznie przelało czarę goryczy.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła. - Nienawidzę cię, ty draniu! Wykorzystałeś mnie i uciekłeś jak szczur! Casanova od siedmiu boleści, tandetny uwodziciel... Byłam głupia, ale jeszcze mi za to zapłacisz. Więc radzę ci, trzymaj się ode mnie z daleka! Wynoś się stąd i wracaj do Jill. Niech ona cię leczy z bólu głowy. Jesteście siebie warci. Intrygantka i oszust. Dobrana para, nie ma co mówić. Życzę wesołych świąt i hucznego wesela. Pozdrów ode mnie swą narzeczoną, ty... ty...

Przy ostatnich słowach nagle uleciała z niej cała furia. Wstrząsana szlochem, stała zupełnie bezradna, nieumiejąca przeciwstawić się bezmiarowi krzywdy, jakiej doznała.

Simon ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie, a Tira mimo woli przytuliła głowę do jego piersi. Gładził ją po włosach i cicho szeptał:

- Moja maleńka, uspokój się. Pierwsze miesiące mogą być trudne, ale potem będzie ci lepiej. Zobaczysz. Będę ci kupował kiszony ogórek i lody, wszystko, czego tylko zapragniesz. Rano podam ci herbatę i grzankę. To podobno bardzo pomaga.

- Co? O co ci chodzi? - zapytała przez łyżę.

- Kwiatuszku mój, przecież jesteś w ciąży - wyszeptał. - W najprawdziwszej, najwspanialszej ciąży pod słońcem A ja się czuję tak, jakbym za chwilę miał pofrunąć do nieba, by podziękować Bogu za nasze szczęście!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tira patrzyła na niego i nie wiedziała, co zrobić - skoczyć z pięściami czy rzucić mu się na szyję.

- Dlaczego... dlaczego tak sądzisz? - spytała, żeby zyskać na czasie.

- Upewnił mnie koktajl mleczny - odparł Simon, uśmiechając się szeroko.

- Ależ to zaledwie dwa tygodnie...

- Aż dwa tygodnie. Długie i samotne - odparł, gładząc ją po twarzy i włosach. - Już nie mogłem tego wytrzymać.

- Przecież miałaś towarzystwo. Simon ujął w dłonie jej podbródek i uniósł twarz, żeby na niego spojrzeć.

- Dlaczego ty zawsze wierzysz we wszystko, co opowiada Jill? Doskonale wiesz, że ona robi to z nienawiści do ciebie. Nigdy nie miałem zamiaru się z nią żenić - dodał z naciskiem. - I jeszcze te bzdurne opowieści o moich migrenach i jej samarytańskim poświęceniu... przecież dobrze mnie znasz i wiesz, że nigdy mnie nie boli głowa.

- Ale ona powiedziała...

- Po prostu przekupiła portiera - wyjaśnił Simon. - Właśnie wróciłem z Austin, czułem się straszliwie samotny, wypilem więc o jednego drinka za dużo. Wtedy w progu stanęła Jill i oznajmiła, że przyszła, by ulżyć memu złemu losowi. A ja po prostu przepędziłem ją. Po tym wszystkim, co zrobiła, zasłużyła na niezłe baty.

Tira patrzyła na niego niepewnym wzrokiem.

- Nie wierzysz mi, prawda? - spytał Simon z rezygnacją w głosie. - To moja wina, że mi nie ufasz. Popęlniłem masę błędów. Zresztą tak było przez całe życie. Ukrywałem się przed ludźmi, nigdy nie potrafiłem być otwarty na innych. Nawet z Melią było podobnie. Na swój sposób chyba ją kochałem, ale zawsze utrzymywałem dystans. Nawet w łóżku.

- Nie rozumiem...

- Zawsze starałem się nie wypaść z roli faceta, który nad wszystkim ma kontrolę - odparł, bawiąc się włosami Tiry. - Natomiast przy tobie zapomniałem o bożym świecie. To dlatego zadałem ci ból. Po raz pierwszy w życiu czegoś tak bardzo pragnąłem, że zupełnie się

zatraciłem. Nie zdawałaś sobie z tego sprawy, prawda? - dodał, uśmiechając się.

- Nie. Nie wiedziałam zbyt wiele o... o tym...

- Wreszcie to zauważyłem. Ale teraz musimy jak najszybciej wziąć ślub - powiedział stanowczo i pocałował jej usta. - Chcę, żeby nasze dziecko przyszło na świat pod nazwiskiem ojca.

- Simon... Przygarnął ją do siebie. Czowała, jak jego ciało drży, widziała, jak cierpi i jak bardzo jej pragnie.

- Tak - szepnął, jakby czytał w jej myślach. - Przez tyle lat to ukrywałem.

- Przez tyle lat? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Bardzo mi się podobałaś. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem - mówił, głaszcząc końcami palców wypukłości pod jej bluzą. - Byłem jednak żonaty i myślałem, że to tylko chwilowe pożądanie. Nie chciałem prowadzić podwójnego życia, więc...

- Sądziłeś, że jestem łatwa?

- Nie, tylko doświadczona - wyjaśnił, zawstydzony. - Zaaranżowałem historię z Johnem, żeby przestać myśleć o tobie. Nie wiedziałem, że to się tak skończy... Nigdy nie uciekałem przed problemami, ale przed tobą uciekałem przez całe lata. I nigdy nie przestałem cię pragnąć.

Tira zadrżała. Jeszcze nigdy Simon nie rozmawiał z nią w ten sposób.

- Zawsze starałem się być silny - mówił dalej. - Odporny na ciosy, jakie niesie z sobą życie.

Kiwnęła głową. Rozumiała go bardzo dobrze, postępowała bowiem tak samo.

- Charles od dawna jest moim przyjacielem i wiedział, że cię kocham. Natomiast on był równie nieszczęśliwie zakochany w Nessie, więc by ukryć nasze tajemnice, udawaliśmy, że jesteśmy parą. Najwidoczniej potrafiliśmy wszystkich zmylić.

- Kiedy znaleźliśmy się w łóżku, nie wiedziałem, że jesteś dziewicą. Wierzysz mi?

Tira skinęła głową.

- Nawet kiedy pierwszy raz krzyknęłaś, nie domyśliłem się, że to z bólu. Nigdy nie zapomnę tego momentu, kiedy zrozumiałem, co ci zrobiłem i jak się myliłem wobec ciebie. Jak się teraz czujesz? - spytał niepewnie. - Wszystko w porządku?

- Tak. Objęła go i przytuliła, a potem odsunęła się i ujęła jego dłoń.

- Chodź - powiedziała. - Musimy to wszystko naprawić. Poprowadziła go do sypialni. Czowała radość i podniecenie, ale na dnie jej duszy czaił się również strach. Pamiętała rozkosz, jaką czuła poprzednim razem, ale nie potrafiła zapomnieć o bólu.

- Nie bój się - powiedział Simon. - Już zawsze będę uważał - dodał, jakby czytał w jej myślach.

- Nie będzie bolało?

- Nie, przysięgam. Pozwoliła mu się rozebrać, trochę jeszcze zawstydzona swoją nagością. A potem spróbowała zrobić to samo z nim.

- To dla mnie coś nowego - szepnął Simon z dziwnym błyskiem w oku. - Przez tyle lat musiałem rozbierać się sam.

- I przez ten czas nie pragnąłeś żadnej kobiety?

- Tylko ciebie.

- Nigdy nie dałeś mi najmniejszego znaku...

- Wiesz, dlaczego tak było. Powiniennem długo za to pokutować.

- Nie mów tak - szepnęła Tira i dotknęła palcami jego nagiej piersi, a potem przytuliła policzek. - Tęskniłam za tobą - dodała.

- Ja też. Bardzo! Pochylił się i zaczął ją delikatnie całować, a Tira po kolei zdejmowała z niego pozostałe części ubrania. Dopiero kiedy sięgnęła do pasków protezy, Simon lekko się obruszył.

- Przecież i tak czasami będziesz musiał ją zdejmować - nie ustępowała. - Spróbujmy, jak nam wyjdzie bez niej.

- Dobrze - odparł po chwili namysłu. Pozwolił jej zdjąć sobie protezę, chociaż miał dość niepewną minę. Wydał jej się nagle bezbronny i delikatny. Potem Tira opadła na łóżko i czekała. Było zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Simon przez cały czas był niezwykle delikatny, nawet gdy ostatecznie się połączyli. Bała się tego zbliżenia, oczekiwała bólu, ale nic podobnego nie nastąpiło - może jedynie było trochę nieprzyjemnie na samym początku, ale trwało to tylko krótką chwilę.

Poruszali się powoli, leniwym rytmem, patrząc sobie nawzajem w oczy. Nagle Tira westchnęła i zaczęła napierać biodrami, ponaglona pierwszym spazmem, jaki poczuła w głębi ciała, ale Simon potrząsnął głową.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Bo nie chcę, żeby to stało się za szybko - odparł zduszonym głosem. - Niech trwa jak najdłużej... Chcę dotykać cię... pieścić... Pragnę, żebyś mnie czuła.

A ona czuła go każdym skrawkiem ciała, każdą komórką. Chwyciła dłońmi jego szyję, uczepliła się kurczowo i zagryzła wargi.

- Nie bój się - szepnął. - Mnie nie musisz się bać.

- Jeszcze tak nie było - odparła łamiącym się głosem. Zamknęła oczy, czując rozkosz

przenikającą ją od palców u nóg do czubka głowy. - O Boże... Simon...

Nie słyszała już niczego, nawet własnego głosu rozsypującego się jak stłuczone na tysiąc kawałków szkło. Wygięła się, by być jeszcze bliżej, by sięgnąć zenitu.

- Skarbie, sprawiam ci ból...

- Nie, nigdy... Och, proszę... Tira szlochała targana spazmami rozkoszy. Otworzyła oczy i napotkała wzrok Simona, utkwiony w nią, pałający zbliżającą się eksplozją miłości. I nagle znalazła się w innym świecie, przepelniona rozkoszą największą z możliwych.

- Tira? Tira!

Simon drżącą ręką dotykał jej twarzy, szyi, gładził i szukał pulsu.

- Boże drogi... Kochanie... otwórz oczy. Spójrz na mnie, proszę! Co ci się stało?

Wreszcie Tira powoli podniosła powieki i ujrzała nad sobą pełną lęku twarz Simona.

- Cześć - wyszeptła, uśmiechając się słabo. Była tak wyczerpana, że nawet trudno było jej mówić. Czowała, że on wciąż jest w niej, i westchnęła z rozkoszą.

- Boże, myślałem... Myślałem, że cię zabiłem - powiedział Simon, oddychając z ulgą.

Opadł na nią, ale jego ciężar już Tirze nie przeszkadzał. Objęła go ramionami.

- Zemdlałaś!

- To było takie wspaniałe! Nie do uwierzenia! Furtka do innego świata...

Ułożył się na plecach, pociągając za sobą Tirę. Teraz ona leżała na nim. Znow zamknęła oczy i wtuliła się w niego.

- Kocham cię - szepnęła sennym głosem.

- Jakoś to zauważyłem - zażartował.

- Simon... ja chyba naprawdę jestem w ciąży.

- W pełni popieram!

- Nic a nic nie żałujesz?

- A czego mam żałować? Szaleję ze szczęścia!

- To dobrze. Tylko nie oszalej zupełnie. Dziecko powinno mieć normalnego ojca.

Wiesz, jestem śpiąca.

- Ja też. No to śpijmy. Kiedy się obudziła, leżała przykryta kołdrą, a włosy miała rozsypane na poduszce. Simon, już ubrany, siedział na brzegu łóżka, wpatrując się w nią z niepokojem.

- Coś się stało?! - krzyknęła i usiadła.

- Słuchaj, czy... czy nie zrobiliśmy krzywdy dziecku? - zapytał z niepokojem, kładąc delikatnie dłoń na jej brzuchu.

- Nie, na pewno nie. - Uśmiechnęła się i opadła z powrotem na łóżko.

- No wiesz, kiedy kochaliśmy się...

- Uwielbiam to słowo.

- Że się kochaliśmy?

Tira skinęła głową. Simon wziął ją za rękę i zaczął przyglądać się jej dłoni.

- Wiesz, o czym myślę?

- O czym?

- Że nie zgadzam się na ślub u sędziego pokoju. To zwyczajna rejestracja i nic więcej.

Pobierzemy się w kościele. Będziesz miała piękną białą suknię, z welonem...

- Białą? Ależ...

- Białą - powtórzył z naciskiem. - Nie pozwolę, żeby ludzie plotkowali o nas, że, no wiesz... chociaż, Bogiem a prawdą, coś mamy na sumieniu.

- Co?! - spytała zdumiona.

- Dawniej chodziłem do kościoła, ale potem odszedłem od wiary... Nie, nie odszedłem od wiary, cały czas wierzę, ale przestałem się modlić do Boga. A teraz znów wszystko stało się ważne, od kiedy my... od kiedy z tobą... to znów mam do Boga wiele pytań, znów poczułem jego wzrok na sobie. Dwa razy kochaliśmy się i było to najpiękniejsze, co mogło mnie spotkać, ale teraz myślę, że nie jesteśmy w porządku wobec Boga. Mam jednak nadzieję, że kiedy spojrzy na nasze prawdziwe intencje, na to, że przez tyle lat szukaliśmy siebie, po prostu nam wybaczy.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Tira cicho, ale z pewnością w głosie. - Bóg rozumie i wybacza więcej niż ludzie.

- Bóg na pewno widzi, że chcemy jak najszybciej połączyć się przed jego obliczem, a naszym celem jest stworzyć dziecku kochającą i szczęśliwą rodzinę. Dlatego właśnie wprawilem w ruch koła maszyny.

I na poważnej dotąd twarzy Simona pojawił się szelmowski uśmiezek.

- Jakiej maszyny?! - spytała Tira, zaniepokojona, pełna jak najgorszych przeczuć.

- Zatelefonowałem do moich braci - odparł niepewnie, przetykając ślinę.

Tira usiadła na łóżku i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

- Nie! - powiedziała. - Jak mogłeś? Dzwoniłeś do braci? Przecież to szalona banda!

Jej najstraszliwsze obawy sprawdziły się.

- Nie bój się - próbował ją uspokajać. - Nie będzie tak źle. Nabrali wprawy w urządzaniu ślubów. Przypomnij sobie wesele Corrigan. O ile dobrze pamiętam, bawiłaś się fantastycznie.

- Bo to nie był mój ślub! - zawołała. - Nie potrzebuję do tego tych chuliganów. Nie

pamiętasz, jak porwali Dorie i zawieźli ją do Corrigan, całą owiniętą wstążkami, jak jakiś prezent? Bawiłam się świetnie, bo cudzym kosztem. Ale sama nie zamierzam nikomu dostarczać rozrywki - powtórzyła z gniewem. - Jeżeli ta banda dzikich kowbojów tu się pojawi, powystrzelam ich jak kaczki! Jeśli więc nie chcesz zostać jedynakiem, trzymaj ich ode mnie z daleka.

Właśnie kiedy wypowiadała te słowa, z tyłu domu otworzyły się drzwi i usłyszeli przerażający wrzask:

- Juhuuu! To my! Juhuuu!

- A więc stało się - jęknęła załamana Tira.

Po chwili w drzwiach sypialni zaroilo się od Hartów. Brakowało tylko Corrigan. Z roześmianymi gębami gapili się na Tirę, po czubek nosa zawiniętą w kołdrę.

- Ty rozpustniku! - ryknął Rey, oskarżycielsko wskazując palcem na Simona. - Jak mogłeś... jak mogłeś uczynić to tej słodkiej panience! Ale nie licz na litość i grzechów odpuszczenie. Mustangami zaciągniemy cię do ołtarza. Albo zginiesz!

- Nie masz sumienia, synu, ale my już zadbamy, byś je odzyskał - dodał Leopold z miną groźnego kaznodziei.

- Tego drania już załatwiliśmy, więc zajmijmy się czymś przyjemniejszym - powiedział Callaghan. - Uczcijmy przyszłą bratową! - Posłał Tirze całusa.

- Dobrze, chłopaki, a teraz bierzcie się do roboty - powiedział Rey rzeczowym tonem.

- Szanowna pani, musimy zdjąć z pani miarę - powiedział Leopold, wyciągając z kieszeni krawiecki centymetr.

- Precz z łapami! - krzyknęła Tira, czerwona jak burak. Ale w jej oczach lśniły iskierki.

- Pamiętajcie, że ona jest w ciąży, więc trochę poddawajcie, i tu, i tam - odezwał się Simon.

- No nie, tego już za wiele! - zamiast groźnego okrzyku, Tira zdobyła się tylko na cichy pisk.

- Wcale nie za wiele! Co rok będzie więcej! - Simon był w samczej euforii.

- W ciąży? - rozległ się chór radosnych głosów. - Brawo! Bis! A to ci numer! Chłopak! Dziewucha! Bliźniaki! Simon, nigdy nie pasuj! Jednak jesteś prawdziwym facetem!

Donośny, męski rechot zadudnił pod sklepieniem. Tira uznała, że walka z tymi bandziorami nie ma najmniejszego sensu. Jedyny ratunek w kapitulacji. Posłała im po całusie i słodziutko się uśmiechnęła.

- Będziecie zawsze przy mnie? Nie pozwolicie mnie skrzywdzić? Obronicie mnie przed tym łotrem?

- Juhuu! Simon, strzeż się! Juhuu! Rey pomknął do garderoby Tiry i po chwili wrócił, krzycząc triumfalnie:

- Rozmiar dziesięć! Ale że w brzuszku fika dzidzius, dwanaście. I dużo koronek. Ślubu udzieli ten sam ksiądz, który z Corriganą zrobił niewolnika. To sprawdzona firma. I trzeba się śpieszyć, bo sukni nie można w nieskończoność poszerzać, a przecież stan...

- To nie jest żaden stan, tylko dziecko - przerwał Simon.

- Słuchajcie, ale jak to się właściwie stało? Przecież Tira i Simon nawet ze sobą nie rozmawiali - z głupia frant spytał Leopold.

- Rozmawiać? A po co rozmawiać - skomentował Rey, a kowboje znów zarechotali.

- Dobra, chłopaki. Tak naprawdę to jeszcze nie jesteśmy pewni - powiedziała Tira.

- Jak to, a ten koktajl mleczny za świąteczny obiad? - zdziwił się Simon.

- Widziałem go na meblach i podłodze - powiedział Rey.

- To pokarm dla myszy - broniła się Tira.

- Jakiej myszy? - zdziwił się Rey.

- Szkoda czasu! Bierzmy się do roboty - uciął Simon. - Pamiętajcie, że musimy zaprosić gubernatora.

- Jak to? - spytała Tira. - Naszego gubernatora?

- A jakiego? Innego nie mamy. Wiesz, chyba zapomniałem ci powiedzieć, że przyjąłem jego propozycję. Mam nadzieję, że zgodzisz się zamieszkać w Austin?

- W Austin? - powtórzyła.

Simon zobaczył, że Tira nie jest w najlepszym nastroju, i popędził braci.

- Już was tu nie ma! I pamiętajcie o mediach. Wróciłem do gry, muszę dobrze wypaść jako głowa rodziny.

- Wszystko jasne, politykier za dychę - skarcił go Callaghan. - Chłopaki, idziemy, a ty weź na wstrzymanie. Tira ma być twoją żoną, a nie panią prokuratorową. Pamiętaj o tym.

- Kiedyś to zrozumiesz - odparł niepewnie Simon... i zaczerwienił się.

- Mam nadzieję, że nie.

- On jeszcze nigdy nie był zakochany - powiedział Simon, jakby się usprawiedliwiał. - Nigdy nikogo nie pragnął do szaleństwa, do bólu. - I nagle dodał: - Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. Rozumiem. Jesteś teraz politykiem i zrobię wszystko, by ci pomóc w karierze. Ale to teraz nieważne.

- A co jest ważne?

- Że mnie pragniesz.

- Teraz... kiedyś... tyle lat. - Patrzył jej prosto w oczy - Ale nie żenię się z tobą tylko

dlatego, że cię pożądam.

- Naprawdę?

- Tak. Ani z powodu twojej ciąży. Sama myśl o tym, że pod sercem nosisz nasze dziecko, ekscytuje mnie, uszczęśliwia, ale nie o to chodzi. Po prostu pragnę, byś została moją żoną. Na dobre i na złe. I to jest najważniejsze.

Tira była wzruszona, ale jednak... czyżby choć w części nie chodziło tu o politykę? Prokurator z radosną żoną spodziewającą się dziecka prezentuje się lepiej niż ponury, owdowiały samotnik. Dopiero teraz zrozumiała, kim będzie jej mąż. Politykiem, postacią publiczną. Będą żyli w szklanej klatce. Uśmiechnęła się do siebie. No, nie do końca w szklanej klatce. Już ona się o to postara. Wybije choćby jedną szybkę i wpuści trochę świeżego powietrza...

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Przecież Simon nie wiedział o Johnie! A to może zniszczyć jego karierę. Życzliwych nie brakuje, sprawa dostanie się do mediów, będą nachodzić jej byłego teścia... wyda się, że pierwszy mąż pani prokuratorowej był homoseksualistą. Obrzucą ich wszystkich błotem.

Simon nic nie wie i niech już tak pozostanie. Ale to może zniszczyć jego karierę. Będzie to również cios dla gubernatora... dla całej ich partii.

- Nie mogę za ciebie wyjść - powiedziała nagle Tira z rozpaczą.

- Co?!

- Nie mogę za ciebie wyjść. Po prostu nie mogę. Przepraszam. Simon przysunął się bliżej i przytrzymał jej twarz, żeby nie mogła umknąć ze wzrokiem.

- Dlaczego?

- Bo... - Zawahała się. Musi szybko coś wymyślić. - Nie mogę żyć w szklanej klatce. Nie nadaję się do tego.

Simon przez chwilę patrzył na nią zdumiony, potem zastanowił się, a wreszcie uśmiechnął. Zrozumiał bowiem, o co jej chodzi.

- Boisz się, iż prawda o Johnie może zaszkodzić mojej karierze, że wybuchnie skandal...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zdumienie na chwilę odebrało Tirze mowę.

- To... to ty wiedziałaś? - wyszeptwała.

- Tak, ale od niedawna - odparł Simon spokojnie. - Podczas twojego wernisazu powiedział mi o tym ojciec Johna. I wtedy zrozumiałem, jak okrutny byłem dla ciebie - dodał, a

twarz mu sposepniała. - Dla nas obojga. Boże, ty tak cierpiałaś, a ja ciebie potępiałem.

- Tak - przyznała. - Było mi naprawdę ciężko. Staralam się być dobrą żoną, ale jak żyć w ten sposób? Mimo wszystko robiłam, co mogłam... Wyszłam za niego, bo nie mogłam mieć ciebie. Myślałam, że w ten sposób uratuję siebie... A ty kochałeś Melię.

- To nie było do końca tak - powiedział. - Kochałem swoje marzenia o cudownej, wspaniałej, szlachetnej kobiecie. Kochałem swoje sny. A prawda była okrutna - dodał i pogładził jej brzuch.

Tira przytrzymała jego dłoń i uśmiechnęła się:

- Czy wiesz, jak kocham nasze dziecko?

- Wiem. I przeczuwam, jaką będziesz matką. Wiele razy widziałem, jak na imprezach dobroczynnych lgną do ciebie wszystkie dzieciaki. Nie jesteś aniołkiem, ale masz w sobie taką dziwną słodycz... - Na chwilę się rozmarzył. - Byłem wściekły, kiedy się okazało, że nie mogę przyjść na tegoroczną Wigilię.

Oglądałem więc wiadomości, ale ty uciekałaś od kamery jak diabeł od święconej wody.

- To przez Jill. Bardzo mi dopiekła - przyznała.

- Nie tylko tobie - odparł Simon i westchnął. - Tiro? Czy mi wierzysz, że po śmierci Melii nie byłem z żadną kobietą?

- Wierzę, zwłaszcza po dzisiejszym dniu - odparła i zarumieniła się jak piwonia. Jednak ukradkiem uśmiechnęła się z lekkim triumfem.

- Nie przeszkadza ci to, że jestem kaleką?

- Nie rozumiem... - I naprawdę nie rozumiała.

- Przecież nie mam połowy lewej ręki - przypomniał jej.

- Tak? Nie zauważyłam. Zresztą to, co najważniejsze, potrafisz robić nawet bez protezy - dodała z miną niewiniątka.

Simon roześmiał się.

- Jak to jest, że potrafisz mnie kochać po tym wszystkim, co ci zrobiłem? - spytał. - Czuję się taki winny wobec ciebie. Przez tyle lat...

- Ale wreszcie ruszyłeś do boju i zwyciężyłeś, a ja ległam na pobojuwisku. Simon, kochany, to były złe lata, ale minęły. Tylu rzeczy o tobie nie wiedziałam. Że jesteś czuły, delikatny, szczerzy... Zrzuciliśmy nasze skorupy i życie zaczęło się od nowa.

- Ja też cię nie znałem - odparł Simon, całując ją. - Tak długo kryliśmy się przed sobą.

- Wciąż boję się sprawy Johna - powiedziała. - Co będzie, jeśli jednak wybuchnie skandal i wezmą się za to różne szmatławce? Wiemy coś o tym...

- Daj spokój! To nie ma znaczenia - skrzywił się. - Kogo to dzisiaj obchodzi? Poza tym

nie jesteśmy sami, stoi za nami cała partia. A zresztą tylko samobójca ośmieli się z takiego powodu zaatakować prokuratora stanowego i jego piękną, ciężarną żonę.

- Przecież nie będę stale w ciąży!

- A właściwie dlaczego nie?

- Przechwalałaś się przed swoimi braciszkami, że co rok będzie prorok, ale mnie nie raczyłaś zapytać o zdanie. Nie chcę mieć w domu całej drużyny piłkarskiej.

- Wiesz, jakie by to było wygodne? Treningi w ogrodzie, ty co chwila lądujesz w błocie...

- To ty wciąż lądujesz w błocie. A ja sobie spokojnie stoję na bramce.

- Prawda - powiedział zgaszonym głosem. - Ty musisz stać na bramce.

- Czy naprawdę tak bardzo się tym przejmujesz? - spytała Tira cicho, dotykając jego lewego ramienia.

- Kiedyś nie - odparł. - Dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy się kochaliśmy. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się bałem, że zobaczysz proteżę. A następnym razem obawiałem się, że jak ją zdejmę, to nie utrzymam równowagi.

- Simon - powiedziała miękko - przecież są różne sposoby... Dużo o tym myślałam. Było tak pięknie i będzie jeszcze piękniej. Spróbujemy wszystkiego, znajdziemy nasz raj. Chcemy tego, prawda?

- Z tobą każda sprawa wydaje się prosta - powiedział, całując jej rękę. - A ja czuję się tak, jakbym trzymał cały świat w objęciach.

Przygotowania do ślubu szły pełną parą, ale fakt, że Simon stał się osobą z pierwszych stron gazet, bardzo komplikował sytuację.

- Chcę skompletować personel i urządzić biuro jeszcze przed pierwszym styczniem - powiedział, kiedy siedzieli razem, a Tira zaczęła podpisywać piątą setkę zaproszeń. - Wiem, że jestem tu niemal gościem, ale tyle jest do zrobienia...

- Jeśli chcesz, to możemy przełożyć ślub - zaproponowała.

- Koniecznie chcesz wystąpić w sukni ciążowej? - zażartował, lecz Tira niespodziewanie wybuchnęła płaczem.

- To nerwy, kochanie - powiedział, biorąc ją w ramiona. - Zaraz ci przejdzie.

Niestety, nie przechodziło, a łzy płynęły coraz większą strugą.

- Tiro? Co się stało?

- Simon, ja nie... - Szloch stłumił jej dalsze słowa.

- O co chodzi? Tiro, kochanie...

- Ja nie... nie jestem w ciąży. Wyjął chusteczkę i wytarł jej twarz.

- Tak mi przykro - szepnął z czułością. - Naprawdę.

- Nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Ale wreszcie powiedziałam i jeśli chcesz wszystko odwołać...

- Co odwołać, na Boga! Co odwołać? - zawołał, całkowicie zaskoczony.

- Bo nie jestem w ciąży.

- O czym ty mówisz? Kwiatuśku, jest mi tak samo jak tobie przykro, że nie jesteś w ciąży, bo bardzo chcę mieć z tobą dziecko. Dzieci. Dużo dzieci. Ale żenię się z tobą, bo cię kocham. Od tego wszystko się zaczyna. Na dobre i na złe, pamiętasz?

- Nie myślałam, że...

- Że co? Że mówiłem o tym serio? Przecież jeszcze więcej powiedziałem ci bez słów. Kochanie, musisz mi zaufać. Bezgranicznie. Jak ja ufam tobie. Ale ty wciąż mi nie wierzysz... To dlaczego zgodziłaś się wyjść za mnie, skoro myślałaś, że chcę cię poślubić tylko dla dobra dziecka?

- Bo cię kocham - odparła po prostu. - I zamierzałam walczyć o twoją miłość. A jeśliby to się nie udało, wiedziałam, że i tak będziesz kochał nasze dziecko. Ale teraz wszystko się zmieniło.

- Nic się nie zmieniło - szepnął, tuląc ją do siebie. I nagle zmarszczył brwi: - Koniec dyskusji. Kropka. Bo zawołam na pomoc moich braci! Kropka. Bierzemy ślub! Kropka. Będziemy żyli w szczęściu i miłości, kropka. Będziemy mieli dzieci! Kropka. Wszystko będzie dobrze.

- Kropka! - krzyknęła Tira i rzuciła mu się w ramiona.

Wesele udało się wspaniale. Ceremonia była dość krótka i dzięki Bogu, gdyż Tira czuła się nieszczególnie. Dzielnie jednak stawiała czoło tłumowi gości, prasie i telewizji, promieniowała szczęściem i podbiła wszystkie serca. Potem do tańca przygrywała orkiestra symfoniczna z San Antonio, serwowano wykwintne potrawy i napoje, a wszyscy bawili się znakomicie.

- Przepraszam - powiedziała Tira do swojego świeżo poślubionego męża, gdy w pewnej chwili przyłapał ją na ziewaniu. - Jestem taka zmęczona i śpiąca, że ledwo stoję na nogach.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką tu widziano - odparł i pocałował ją czule. - Wytrzymaj jeszcze trochę, a wypoczniemy na Jamajce. Jutro wylatujemy, to fantastyczne!

- Wspaniale! To będzie cudowna podróż poślubna. Wiesz, Callaghan prosił, żeby mu zostawić klucze od naszego domu.

- Chce wytoczyć armaty przeciwko tej nieszczęsnej myszy.

- To miło z jego strony - powiedziała, ale gdzieś w środku czuła wyrzuty sumienia. W końcu to dzięki tej myszy została żoną Simona. Jest więc jej coś winna. Niech sobie mieszka za

lodówką... a Tira nie zbiednieje, jeśli czasem rzuci temu stworzonku jakiś okruszek.

Nie, to absurd! Nie można mieszkać w domu z myszą.

Ale jednak ta mała spryciula zdołała ominąć wszystkie pułapki, uniknęła nawet kuli...

- Stawiam dziesięć do jednego na gryzonia, Callaghan nie ma szans - mruknęła do siebie. I zacisnęła kciuki. Za mysz.

Podróż poślubna była wspaniała, pełna miłości i słońca, ale, niestety, mieli dla siebie tylko tydzień.

- Napiłbym się kawy - stwierdził Simon, kiedy już znaleźli się w domu. - Ty też?

- Ja ją zaparzę, a ty przynieś walizki - odparła Tira i poszła do kuchni.

Otworzyła szafkę - i stanęła oko w oko z potężnym wężem. Wydała zduszony okrzyk i zemdląła. Simon usłyszał jej krzyk i natychmiast popędził do kuchni. Jego żona leżała bez czucia na podłodze, a nad nią czał się wąż.

- Kwiatuszku, słyszysz mnie? Proszę, powiedz coś. Nic ci się nie stało? Otwórz oczy! Wszystko będzie dobrze.

Gdy Tira doszła do siebie, natychmiast znów wrzasnęła:

- Wąż! Tam jest wąż! Ratunku!

- Tak, kochanie, ale to tylko zwierzątko domowe Callaghana. Ten wąż miał pokonać twoją mysz. I na pewno to zrobił, bo węże pasjami uwielbiają myszy. Więc nie będzie już gryzonia. Cieszysz się, prawda?

- Tak, cieszę się. - Ale tak naprawdę Tira wcale się nie cieszyła. - Nienawidzę węży - mruknęła na koniec.

Gdy w chwilę potem Callaghan pojawił się po swoje ulubione stworzonko, został zbesztany przez Simona i Tirę, która zarzuciła mu, że wymyślił bardzo okrutny sposób na zabicie małej, niewinnej myszki.

- Źle się czujesz? - spytał Simon, kiedy już zostali sami.

- Nie, dlaczego?

- Przecież zemdląłeś.

- To ze strachu - odparła. - Okropnie się wystraszyłam.

- Wciąż jesteś zmęczona, chociaż dużo śpisz - mówił dalej. - Ostatnio nie jesz śniadań.

Wydaje mi się... może byś tak poszła do lekarza?

- Dobrze - odparła, całując go. - Tylko nie rób sobie zbyt wielkich nadziei.

Wracali od lekarza szczęśliwi jak dzieci, gdyż potwierdziły się przypuszczenia Simona. W domu gospoia przygotowała im coś do zjedzenia i bezkofeinową kawę dla przyszłej matki. Pani Lester promieniała, bo miała jechać razem z nimi do Austin. Niedługo awansuje z gosposi

na nianię.

- Niczego już mi nie potrzeba do szczęścia - mówiła Tira rozmarzona. - Kochający mąż, dziecko, wspaniała gospodyni i dom, w którym nie ma myszy. Choć myszy jednak szkoda... Ale nie można mieć wszystkiego.

- Dom, w którym nie ma myszy? - powtórzyła pani Lester.

- Nie pamięta pani? Kiedy byliśmy w podróży poślubnej, a pani pojechała do siostry, brat Simona nasłał na nią węża.

- Węża, a jakże. - Pani Lester pokiwała głową, a potem poszła do kuchni, otworzyła jedną z szafek, wzięła coś do ręki i zaniósła do pokoju.

Zobaczyli, że na jej dłoni siedzi mysz i najspokojniej w świecie gryzie kawałek chleba.

- To specjalna, domowa mysz - oznajmiła z dumą. - Tak podejrzewałam od dawna, więc kiedyś zaniósłam ją do weterynarza. Powiedział, że pewnie poprzedni właściciel hodował ją tu i tak już zostało. Pomyślałam, że jeśli państwo nie będą mieli nic przeciwko temu, to ją sobie zatrzymam. Mogłaby pojechać z nami do Austin.

Tira i Simon spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem, a tymczasem mysz siedziała sobie na ręce swej nowej pani, zaś jej pyszczek promieniał radością.

Była to bowiem najszczęśliwsza mysz pod słońcem.